

ROSAMUNDE PILCHER

*Dziki
tymianek*

I

Piątek

Zanim zbudowano obwodnicę, szosą przecinającą Woodbridge płynął nieprzerwany strumień pojazdów. Ruch kołowy był tak intensywny, że staroświeckie domy z epoki królowej Anny drżały w posadach, a w oknach brzęczały szyby. Jeszcze nie tak dawno Woodbridge było jedną z wielu miejscowości leżących na trasie.

Po uruchomieniu obwodnicy wszystko się zmieniło - zdaniem mieszkańców — na lepsze. Gorzej na tym wyszli natomiast właściciele sklepów i garaży oraz kierownik przydrożnego baru dla kierowców ciężarówek.

Mieszkańcy Woodbridge nie musieli już przebiegać na drugą stronę ulicy z duszą na ramieniu, a psy dla bezpieczeństwa trzymać na smyczy. Podczas weekendów dzieci w toczkach dojeżdżały na kucykach kłusem na treningi w miejscowym klubie jeździeckim. Można już było urządzać przyjęcia i kiermasze dobroczynne na wolnym powietrzu. Na miejscu baru dla kierowców powstały ekskluzywne delikatesy. Podupadający sklep tytoniowy przejął młody koneser antyków. No, a pastor zaczął już planować na przyszły rok uroczyste obchody trzystulecia miejscowego późnogotyckiego kościoła.

Jednym słowem, Woodbridge wyszło dobrze na tych zmianach.

* * *

Pewnego chłodnego lutowego przedpołudnia, kiedy zegar na wieży kościelnej wskazywał za dziesięć dwunastą, zza warsztatu rymarskiego na rogu głównej ulicy wynurzyło się sfatygowane volvo. Młody mężczyzna, który prowadził samochód, miał przed sobą pustą jezdnię zamiast nieprzerwanego potoku pojazdów jak kiedyś. Jechał więc powoli, przyglądając się uroczemu bezładnej zabudowie, łukowatym portalom nad wystawami sklepów i mającym w oddali wierzbom na łąkach. Po zimowym niebie płynęły chmury, a ciszę przerywał tylko warkot samolotu lecącego w stronę Londynu.

Miasteczko wyglądało jak wymarłe. Kierowca volvo minął spokojnie bar z krzewami laurowymi w donicach przy wejściu, zakład fryzjerski „Carole Coiffures”, skład win o oknach z butelkowego szkła i sklep ze starociami, gdzie akurat odbywała się przecena. Dojechał w końcu tam, dokąd zmierzał, zaparkował wóz przy krawężniku i wyłączył silnik.

Tymczasem ucichł już warkot samolotu. Słysząc było tylko szczekanie psa i śpiew ptaka, który zmylony słabym blaskiem słońca, myślał, że przyszła już wiosna. Młody człowiek wysiadł z wozu, zatrzasnął drzwiczki i przez chwilę wpatrywał się w wachlarzowato ułożone szybki nad drzwiami domu będącego celem jego wizyty. Dom był symetrycznie zbudowany; do frontowych drzwi prowadziły kamienne schodki, a wysokie okna o przesuwanych ramach były przesłonięte tiulowymi firankami.

„No, tak - pomyślał - w tym domu nic się nigdy nie zmieni”. Wszedł na schodki i zadzwonił do drzwi. Zauważył przy tym, że szyldzik dzwonka i kołatka w kształcie lwiej głowy są z wypolerowanego mosiądzu, a na drzwiach błyszczy świeżo położona żółta farba, bez śladu zadrapań czy pęcherzy. W cieniu domu było chłodno, toteż mężczyzna drżał z zimna w swej skórzanej kurtce. Zadzwonił ponownie i tym razem usłyszał wewnątrz kroki, po czym drzwi się otworzyły.

Dziewczyna, która stanęła w progu, wyglądała na zmieszaną. Sprawiała wrażenie, jakby oderwana ją od jakiegoś zajęcia, do którego chciałyby jak najszybciej powrócić. Miała długie, jasne jak len włosy, a ubrana była w opiętą bawełnianą koszulkę, fartuszek, podkolanówki i drewniaki z czerwonej skórki.

- Słucham? - zapytała z niecierpliwością w głosie.

Kiedy jednak nieznamy z uśmiechem powiedział:
- Dzień dobry - od razu zmieniła nastawienie. Najwidoczniej zorientowała się, że ten przystojny młody człowiek - wysoki, długonogi, w spranych dżinsach i brodaty jak wiking - nie jest dostawcą węgla ani kwestującym na Czerwony Krzyż.

- Czy zastałem panią Archer? - kontynuował przybysz.

- Przykro mi - powiedziała takim tonem, jakby rzeczywistość było jej przykro. - Pani Archer nie ma w domu. Wyjechała po zakupy do Londynu.

Na oko mogła mieć około osiemnastu lat, a w jej angielszczyźnie pobrzmiwał jakiś obcy akcent - chyba skandynawski.

- Ale mam pecha! - ostentacyjnie użalił się nad sobą.

- Powinienem był najpierw zadzwonić, ale miałem nadzieję, że zastanę panią Archer w domu.

- Pan jest jej znajomym?

- Nnno tak, znamy się od kilku lat. Tylko że... przez jakiś czas nie mieliśmy ze sobą kontaktu. Ostatnio bawiłem na zachodzie kraju i właśnie, wracając do Londynu, pomyślałem sobie, że dobrze byłoby wpaść na chwilę, ale to nic ważnego.

Niezdecydowanie zaczął się wycofywać, ale, jak się spodziewał, dziewczyna go zatrzymała.

- Kiedy pani wróci, powiem jej, że pan tu był. Pani ma przyjechać na podwieczorek.

W tym momencie, jak na zamówienie, zegar na wieży kościelnej wybił południe.

- Jest dopiero dwunasta. Nie mogę czekać tak długo.

Może kiedyś znowu będę tędy przejeżdżał... - Przerwał i rozejrzał się po ulicy. - Kiedyś tu była taka mała knajpka...

- Już nie ma. Teraz są tam delikatesy.

- No to zjem kanapkę w barze, bo już dawno nic nie jadłem. - Uśmiechnął się do niej z wyżyn swego wzrostu.

- Miło mi było panią poznać. Do widzenia!

Zwrócił się do wyjścia, ale wyczuwał, że dziewczyna bije się z myślami. I rzeczywiście zaczęła:

- Mogłabym...

- Co by pani mogła? - pomógł jej, już z jedną nogą na schodkach.

- Czy pan rzeczywiście jest znajomym państwa - upewniała się, jakby chcąc, żeby to potwierdził.

- Tak, naprawdę jestem, ale nie wiem, jak mógłbym to udowodnić.

- To znaczy, szykowałam właśnie lunch. Mógłby pan zjeść z nami.

Spojrzał na nią takim wzrokiem, że aż się zarumieniła.

- Cóż za lekkomyślność! Na pewno nieraz przestrzegano panią, że nie wolno wpuszczać do domu obcych ludzi!

Speszyła się, bo pewnie rzeczywiście nieraz to słyszała.

- Ale jeżeli rzeczywiście jest pan znajomym państwa Archer, to pani na pewno chciałyby, żebym zaprosiła pana do domu.

Widać było, że jest to cudzoziemka pracująca jako pomoc domowa i że nudno jej samej w domu. Wszystkie takie dziewczyny nudziły się i czuły samotnie - widocznie należało to do ujemnych stron tej pracy.

- Ależ nie może pani pakować się w kłopoty! - udał oburzenie.

- Chyba się w nic nie pakuję! - Zdobyła się na uśmiech.

- A gdybym ukradł rodzinne srebra? Albo próbował panią zgwałcić?

Jakoś nie wzięła poważnie takiej ewentualności. Potraktowała to raczej jako dowcip i poczuła się pewniej, nawet cichutko zachichotała.

- Gdyby pan zrobił coś podobnego, zaczęłabym krzy-
czeć i całe miasteczko przybiegłoby mi na ratunek.
W Woodbridge wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich
i o wszystkim gadają. Nic nie da się ukryć!

Teraz już dziewczyna cofnęła się i zachęcającym ruchem
otworzyła szeroko drzwi do holu. Obcy udał wahanie, na
tyle długo, aby to wyglądało wiarygodnie, po czym wzru-
szył ramionami i z miną człowieka, który, choć niechętnie,
dał się przekonać, oświadczył:

- No, dobrze - i wszedł za nią do środka. - Ale w razie
czego pani poniesie konsekwencje! - ostrzegł żartobliwie.

Parsknęła śmiechem. Widać ta przygoda zaczynała ją
bawić.

- Może się pan rozbierze? - zaproponowała tonem pani
domu.

Zdjął kurtkę, którą dziewczyna powiesiła na wieszaku.

- Może pan przejdzie do kuchni i napije się piwa?

- Dziękuję, chętnie.

Poszedł za nią na zaplecze domu, gdzie znajdowała się
kuchnia, wychodząca na ogród od południa.

Kuchnia, cała z nierdzewnej stali i drzewa tekowego,
lśniła czystością. Posadzka z błękitnych i białych kafelków
miała w sobie coś ze stylu portugalskiego. Na parapecie
stały rośliny doniczkowe, a stół przy oknie był już nakryty.
Przybysz od razu zauważył wysokie dziecięce krzeselko,
a na stole barwny plastikowy obrusik, małe łyżeczki
i kubek.

- Opiekuje się pani dzieckiem? - zapytał.

- Tak - odpowiedziała. Z lodówki wyjęła puszkę piwa,
a z haczyka na ścianie kredensu zdjęła cynowy kufel. - To
wnuczek pani Archer.

- Jak ma na imię?

- Tomasz. Wołają go Tomek.

- Gdzie on jest?

- Jeszcze śpi. Zaraz po niego **pójdę, bo o tej porze**
zwykle jada lunch.

- Ile ma lat?
- Dwa. - Podała nieznanemu puszkę i kufel.
Otworzył puszkę i wlał piwo do kufła w taki sposób, żeby nie powstała piana.
- Jego rodzice wyjechali?
- Nie. - Jej uśmiechnięta twarz z dołeczkami w policzkach nagle posmutniała. - Takie nieszczęście! Jego matka nie żyje! - Zmarszczyła czoło, jakby zastanawiając się nad czymś. - Dziwne, że pan o tym nie wie!
- Tak jak mówiłem, nie byłem z Archerami w kontakcie już od dłuższego czasu. Przykro mi, ale nie miałem o tym pojęcia.
- Zginęła w katastrofie lotniczej, kiedy wracała z wakacji w Jugosławii. Była jedynym dzieckiem państwa Archerów.
- Więc teraz opiekują się wnuczkiem?
- Tak.
- A co się dzieje z jego ojcem? - indagował dalej, pociągając łyk smacznego chłodnego piwa.
Młoda gosposia pochyliła się, aby zajrzeć do piekarnika. Kuchnię wypełnił wspaniały zapach. Gościowi napłynęła ślinka do ust. Do tej pory nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo jest głodny.
- Nie wiem, bo oni się rozeszli - wyjaśniła, zamykając piekarnik i prostując plecy. Ponownie obrzuciła go podejrzliwym spojrzeniem. - Myślałam, że o tym też pan wie!
- Nie wiem o niczym, bo nie było mnie w kraju. Wyjeżdżałem do Hiszpanii i do Ameryki.
- Aha! - Spojrzała na zegarek. - Nie będzie panu przeszkadzało, jeśli zostawię pana przez chwilę samego? Muszę iść na górę po Tomka.
- Jeśli nie boi się pani, że wyniosę srebrne łyżeczki...
- Wyraźnie ją prowokował.
- Myślę, że pan tego nie zrobi! - Roześmiała się. Ze swoją jasną cerą wyglądała tak zdrowo, jakby codziennie wypijała dzbanuszek pełnotłustego mleka.

- Można wiedzieć, jak pani na imię? - spytał.
- Helga.
- A więc jest pani Szwedką?
- Tak.
- Ci Archerowie mają szczęście, że trafili na kogoś takiego jak pani.

- To ja mam szczęście, że na nich trafiłam. Dobrze mi się tu pracuje, bo są bardzo mili. Inne dziewczyny mają gorzej, mogłabym panu o tym dużo naopowiadać...

- Czy chodzi pani na kursy wieczorowe?

- Tak, uczę się angielskiego i historii.

- Pani mówi świetnie po angielsku.

- Bo studiuję literaturę angielską. Interesuje mnie szczególnie Jane Austen.

Teraz on się roześmiał, bo sprawiała wrażenie strasznie zadowolonej z siebie.

- No to leć, Helgo, na górę i przynieś dzieciaka. Nawet jeśli on nie jest głodny, to ja jestem!

Znow spłonęła rumieńcem i wybiegła, zostawiając niespodziewanego gościa samego w kuchni zalanej słońcem. Słyszał jej kroki na schodach, potem w pokoju na piętrze. Dochodził stamtąd jej cichy głos i hałas rozsuwanych zasłon. Odstawił kufel z piwem i bezszelestnie przeszedł przez hol. Otworzył drzwi pod schodami i wszedł tam. Obicia i zasłony w pokoju były z grubego francuskiego perkalu. Znajdował się w nim fortepian i regał z równo poustawianymi książkami. Na ścianach wisały jakieś bezpretensjonalne akwarelki. Do kominka nałożono już świeżych drew, ale jeszcze ich nie podpalono. I tak było ciepło, gdyż dom miał centralne ogrzewanie. W powietrzu unosiła się silna woń hiacyntów.

Wszystko było uporządkowane, drogie i w dobrym guście, że wyprowadzało młodego mężczyznę z równowagi. Takie rzeczy zawsze działały mu na nerwy. Rozglądał się za jakąś robótką na drutach, rozrzuconymi gazetami, psem, kotem lub choćby poduszką - czymś, co

stwarzałoby przytulną, domową atmosferę. Nic z tych rzeczy. O tym, że ten dom jest w ogóle zamieszkały, świadczyło jedynie tykanie zegara na parapecie kominka.

Kręcąc się po pokoju, zauważył kolekcję zdjęć na fortepianie. Na jednym był pan Archer, w cylindrze, z dumną miną stojący u boku królowej w pałacu Buckingham. Jego wąsy sterczały sztywno jak szczoteczka do zębów, a marynarka ciasno opinała wydatny brzuch. Na innym zdjęciu figurowała pani Archer jako zwiewna panna młoda, na kolejnym - gołe niemowlę na futrzanym dywaniku. A w końcu Jeannette...

Długo przyglądał się jej wizerunkowi. Ładna, to prawda - zawsze była ładna. Nawet seksowna, na swój szczególnie wyrafinowany sposób. Pamiętał jej wspaniałe długie nogi i kształt wypielęgowanych rąk, ale inne szczegóły nie zachowały się w jego pamięci - nawet jej głos czy uśmiech.

Ożenił się z nią tylko dlatego, że Archerowie nie chcieli, aby ich córka miała nieślubne dziecko. Kiedy wyszło na jaw, że ukochana jedynaczka ma romans, mało tego, że żyje z tym strasznym człowiekiem o nazwisku Oliver Dobbs - ich mały, uporządkowany światek runął w gruzy. Pani Archer dostała takiego rozstroju nerwowego, że aż musiała położyć się do łóżka. Pan Archer, jako były żołnierz, wykazał więcej opanowania. Odchrząknął, poprawił krawat i zaprosił Olivera do klubu na lunch.

Na Oliverze nie wywarło to większego wrażenia. W monologu ojca Jeannette uczestniczył jako bierny słuchacz. Przypominało to scenę ze staroświeckiej sztuki.

Jedynaczka, z którą wiązali wielkie nadzieje, upadła tak nisko - perorował pan Archer. No, ale nie ma sensu oskarżać się nawzajem ani płakać nad rozlanym mlekiem. Słyszał, że Oliver pochodzi z *dobrej* rodziny i ukończył *dobrą* szkołę. Dlaczego więc pracuje w smażalni ryb i frytek? Oliver odpowiedział na to pytanie, które brzmiało jak zarzut, że przyczyna jest bardzo prozaiczna.

Chodziło o to, że był pisarzem, a praca w smażalni była

na tyle prosta i mało absorbująca, że zarabiał na życie, mając równocześnie czas na pisanie.

Pan Archer odchrząknął i zapytał o rodziców Olivera. Dowiedział się, że mieszkają w Dorset i są nie tylko biedni, ale i uparci. Żyjąc tylko z wojskowej emerytury ojca Olivera, odejmowali sobie od ust, aby syn mógł ukończyć ekskluzywną szkołę. Kiedy ją ukończył w wieku lat siedemnastu - próbowali rozpaczliwie przekonać go, aby obrał jakąś ustabilizowaną drogę życiową. Mógłby, na przykład, wstąpić do wojska, najlepiej do marynarki... Albo zostać dyplomowanym księgowym, bankowcem lub prawnikiem... On jednak pragnął zarabiać na życie jako pisarz, bo właściwie już nim był. Gdy syn nie dał się przekonać, rodzice zerwali z nim wszelkie kontakty, zostawiając go bez przysłowiowego grosza przy duszy.

Jeżeli tak wyglądała sprawa z rodzicami Olivera, pan Archer spróbował z innej beczki. Zaczął wypytywać, czy Oliver kocha Jeannette. Czy byłby dla niej dobrym mężem?

Oliver z mety odpalił, że nie przypuszcza, aby mógł być dobrym mężem, ponieważ jest bardzo biedny.

To było sedno sprawy! Pan Archer odchrząknął po raz trzeci i ostatni, po czym ponownie zmienił taktykę. Zasugerował Oliverowi, że jeśli poślubi Jeannette i uzna dziecko, to już on się postara, aby młodzi mogli żyć na właściwym poziomie.

- Właściwym, to znaczy jakim? - spytał wprost Oliver.

Pan Archer z pozornym spokojem zaczął mu wszystko objaśniać. Nie spuszczał wzroku z Olivera, lecz równocześnie to nerwowo obracał w dłoni szklanekę, to gwałtownie wyciągał widelec albo kruszył bułkę. Pod koniec męskiej rozmowy stół przypominał pobojuwisko, ale Oliver zorientował się, że jest na dobrej drodze.

Rzeczywiście, mieszkając w londyńskim mieszkaniu Jeannette i mając stałe wpływy na koncie bankowym, mógł spokojnie rzucić pracę w smaźalni i całkowicie poświęcić

się pisaniu. Miał już w druku jedną książkę, ale teraz pracował nad sztuką teatralną, a to było całkiem co innego. Czuł, że musi ją szybko ukończyć, gdyż wypalał się wewnątrz - ta praca go unicestwiała, zżerała jak rak. Ale jak na pisarza przystało, był szczęśliwy tylko wtedy, kiedy prowadził podwójne życie. W jednym pochłaniały go całkowicie „wino, kobiety i śpiew” - na drugie życie składały się wytwory jego wyobraźni, znacznie barwniejsze i ciekawsze niż jego znajomi. A już na pewno te wymyślone postacie były bardziej zajmujące niż rodzina Archerów.

Podczas tamtego lunchu obaj panowie zawarli umowę, potwierdzoną później notarialnie. Oliver i Jeannette wzięli ślub cywilny i chyba o to głównie chodziło Archerom. Związek ich jednak nie trwał dłużej niż kilka miesięcy. Jeszcze przed urodzeniem dziecka Jeannette uciekła do rodziców, oświadczając, że mogłaby od biedy znieść nudę i samotność, ale za nic w świecie nie znieśie upokorzeń i przemocy fizycznej.

Oliver prawie nie zauważył jej odejścia, gdyż sam, w jej mieszkaniu, mógł bez przeszkód ukończyć sztukę. Kiedy ją wreszcie napisał, wyprowadził się, zamknął mieszkanie, a klucz odesłał Jeannette. Wyjechał do Hiszpanii i był tam jeszcze, gdy dziecko przyszło na świat. Tam też przeczytał w gazecie o katastrofie lotniczej w Jugosławii, w której zginęła Jeannette. W tym momencie jednak mało go to wzruszyło, gdyż dla niego Jeannette należała już do przeszłości. Pisał już następną powieść i tak go to pochłaniało, że nie poświęcił wspomnieniom o Jeannette więcej niż pięć minut. Znacznie bardziej frapujące było dla niego towarzystwo wymyślonych przez siebie postaci.

* * *

Zanim Szwedka zeszała na dół, Oliver był już z powrotem w kuchni. Siedział pod oknem, grzejąc się w słońcu i rozkoszując piwem, gdy w drzwiach ukazała się Helga

z dzieckiem na rękę. Chłopczyk był większy, niż Oliver przypuszczał; wyglądał rozkosznie w czerwonych ogrodniczkach, białym sweterku i śliniaczku. Włoski miał miedzianorude, jak nowe monety pensowe. Twarzy nie było widać, bo wtulił ją w zgrabną szyję Helgi.

- Jest nieśmiały - wyjaśniła, uśmiechając się do Olivera znad pleców Tomaszka. - Powiedziałam mu, że mamy gościa, ale on wstydzi się pokazać buzię. - Pochyliła się nad chłopczykiem i szepnęła mu do ucha: - Nie bój się, głuptasku. Popatrz, jaki miły pan zje z nami obiadek!

Dziecko wydało pomruk dezaprobaty i jeszcze szczerzej przywarło do niani. Helga ze śmiechem oderwała go od siebie i usadowiła w wysokim krzeselku. Wtedy, chcąc nie chcąc, musiał spojrzeć na Olivera. Oczy miał niebieskie i w ogóle wyglądał krzepko. Oliver nie miał pojęcia o postępowaniu z dziećmi, więc powiedział tylko: „Cześć!”

- Przywitaj się, Tomku! - namawiała chłopca Helga, lecz od razu, tytułem wyjaśnienia, dodała: - On nie jest zbyt rozmowny.

Mały wpatrywał się w obcego, nie spuszczać z niego oczu nawet wtedy, gdy Helga zakładała mu plastikowy śliniaczek. Jeden policzek miał jeszcze zaczerwieniony od poduszki i pachniał świeżym mydłem.

Helga otworzyła piekarnik i wyjęła pieróg z mięsem oraz misę brukselki. Nałożyła trochę z obu potraw na mały talerzyk, rozgniotła widelcem na jedną masę i postawiła jedzenie na blacie wysokiego krzeselka.

- Teraz ładnie jedz! - poleciła, wkładając dziecku łyżeczkę w rączkę.

- Czy on już umie sam jeść? - zainteresował się Oliver.

- Oczywiście, nie jest już malutki, ma przecież dwa latka. Prawda, Tomeczku? Pokażesz panu, jak ślicznie zjadasz obiadek?

Tomaszek odłożył łyżeczkę, nie przestając wpatrywać się w gościa. Pod spojrzeniem jego niebieskich oczu Oliver poczuł się trochę nieswojo. Odstawił kufel piwa, wziął

łyżeczkę, nabrał trochę mięsa ugniecionego z brukselką i powiedział:

- Popatrz no tutaj!

Tomek otworzył posłusznie buzię. Żując, nie spuszczał oczu z nieznanego. Oliver zwrócił chłopcu łyżeczkę, a wtedy mały uśmiechnął się do niego z pełną buzią, pokazując nie tylko pieróg z mięsem, ale także drobne białe ząbki.

Uśmiech ten zauważyła Helga, stawiając przed Oliverem talerz.

- No, proszę, jużście się zaprzyjaźnili! - oświadczyła.

Usiadła obok Tomka, aby pomagać mu przy jedzeniu.

- To bardzo miły chłopczyk.

- Co on robi przez cały dzień? - wypytywał Oliver.

- Trochę się bawi, trochę śpi, a po obiedzie idzie na spacer. Zwykle pani Archer z nim wychodzi, ale dziś ja pójdę.

- A czy on lubi oglądać jakieś książeczki czy coś takiego?

- Oczywiście, ma książki z obrazkami, ale czasem je drze.

- A zabawki? - badał dalej.

- Tak, najchętniej bawi się klockami i samochodzikami. Nie lubi natomiast żadnych pluszowych zwierzaków, misiów czy królików... Wydaje mi się, że on nie lubi dotyku futra.

Oliver zabrał się do jedzenia pieroga, gorącego i bardzo smacznego.

- Zajmowałeś się już kiedyś dziećmi? - zapytał z pełnymi ustami.

- Tak, u siebie w domu, w Szwecji, mam dużo młodszych braciszków i siostrzyczek.

- A lubisz Tomka?

- Pewnie, on jest taki grzeczny! Prawda, Tomciu, że jesteś grzeczny? - Zrobiła do niego minę. - I przede wszystkim nie płacze ciągle, tak jak niektóre dzieci!

- Takie wychowywanie przez dziadków musi być chyba strasznie nudne.

- On jest jeszcze za mały, żeby rozumieć, co jest nudne, a co nie.

- Ale kiedy podrośnie, to będzie się nudził.

- Jedyński są zawsze trochę samotne. W miasteczku jest dużo dzieci, może się z nimi zaprzyjaźni.

- A ty się z kimś zaprzyjaźniłaś?

- Tak, zjedna taką dziewczyną, która pracuje w sąsiedztwie. Chodzimy razem na kursy.

- Masz już jakiegoś chłopaka?

Przez twarz przemknął jej grymas.

- Mój chłopak został w Szwecji.

- Pewnie tęskni za tobą?

- Piszemy do siebie listy. Zresztą to nie będzie długo trwało. Przyjechałam tylko na pół roku, a potem wracam do Szwecji.

- A co będzie z Tomkiem?

- Myślę, że pani Archer znajdzie dla niego inną opiekunkę. Dołożyć panu jeszcze?

Na deser podała owoce, jogurt i sery. Tomek pił jogurt, Oliver obrał sobie pomarańczę, a Helga tymczasem nastawiła wodę na kawę.

- Mieszka pan w Londynie? - zwróciła się do Olivera.

- Tak, w suterenie, ale przy samej Fulham Road.

- To teraz pan tam wraca?

- Tak, byłem tydzień w Bristolu.

- Na urlopie?

- Skąd, kto w lutym spędza urlop w Bristolu? Grają tam moją sztukę w teatrze „Fortuna”. Musiałem dokonać pewnych poprawek, bo aktorzy skarżyli się, że trudno im wymawiać niektóre kwestie.

- To pan jest pisarzem? - Zrobiła wielkie oczy. - Pisz pan sztuki? Takie na scenę? Musi pan być w tym dobry!

- Też tak myślę - mruknął, wpychając do ust cząstki

pomarańczy. Jej smak w połączeniu z goryczką białej skórki przypominał mu Hiszpanię. - Tyle że nie to jest ważne, co ja myślę, ale to, co o tym myślą inni. Przede wszystkim krytycy i publiczność w teatrze.

- Jaki jest tytuł tej sztuki?

- „Złamany szeląg”, ale nie pytaj mnie, o czym to jest, bo musiałbym długo opowiadać.

- Mój chłopak też pisze, ale artykuły z dziedziny psychologii. Drukują je w zeszytach naukowych uniwersytetu.

- To musi być ciekawe.

- Na pewno, ale nie tak jak pisanie sztuk na scenę.

- Rzeczywiście, to nie to samo - zgodził się.

Tymczasem Tomek wypił już jogurt, więc Helga wytarła mu buzię, zdjęła śliniaczek i zsadziła z wysokiego krzeselka na ziemię. Chłopiec podszedł do Olivera i oparł się o jego kolano. Przez wytarty materiał dżinsów Oliver wyczuwał jego ciepłe paluszki. Tomek zadarł główkę i znów się uśmiechnął, pokazując perłowe ząbki i dołeczki w policzkach. Zainteresowała go broda, więc Oliver schylił się, aby umożliwić mu jej dotknięcie. Wtedy chłopczyk głośno się roześmiał, a Oliver podniósł go i postawił na swoim kolanie. Poczul przy tym jego ciężar i ciepło.

Helga przyglądała się temu z satysfakcją.

- Widzę, że już się z panem zaprzyjaźnił. Czy mógłby pan pooglądać z nim książkę, dopóki nie pozmywam? Potem wyjdę z nim na spacer.

Wprawdzie Oliver też chciał już zbierać się do wyjścia, ale przystał na tę propozycję. Helga poszła więc po książkę, zostawiając go samego z Tomaszkiem.

Chłopiec był zafascynowany przede wszystkim jego brodą. Kiedy stał na kolanach Olivera, ich oczy znajdowały się na tym samym poziomie. Oliver ostentacyjnie jęknął, kiedy Tomek pociągnął go za brodę. Rozbawiło to chłopca, więc spróbował jeszcze raz.

- To boli, ty łobuzie! - skarcił go Oliver, przytrzymując

jego rączkę. Czując na sobie badawczy wzrok małego, szepnął konfidencyjnie: - A czy ty wiesz, kim ja jestem?

Tomek roześmiał się tylko.

Helga wróciła z książką, dużą, bogato ilustrowaną, w lakierowanej okładce, z wizerunkami zwierząt gospodarskich. Oliver otworzył ją w przypadkowym miejscu i wraz z siedzącym na jego kolanach Tomkiem oglądał obrazki. Helga tymczasem oczyściła talerze z resztek jedzenia i wstawiła je do zmywarki, a potem dokładnie wyszorowała formę, w której piekł się pieróg. Oliver przewracał karty książki, wskazując Tomkowi przedmioty na obrazkach i podając ich nazwy: to jest domek, a to furтка; to drzewo, a to stóg siana... Na widok namalowanego pieska Tomek naśladował szczekanie. Kiedy na obrazku była krowa - wydawał dźwięk przypominający muczenie. Okazał się bardzo towarzyskim dzieckiem.

W końcu Helga oświadczyła, że czas już przebrać Tomka do wyjścia. Wzięła go na ręce i zaniósła na górę. Oliver został sam, rozglądając się po sterylnej czystej kuchni i nieskazitelnie wypielegnowanym ogrodzie. Wyobrażał już sobie, co to będzie, kiedy Helga odejdzie i jej miejsce zajmie inna dziewczyna do dziecka. Może się to powtarzać jeszcze kilka razy, dopóki Tomek nie ukończy ośmiu lat. Wtedy przypuszczalnie wyślą go do jakiejś ekskluzywnej szkoły przygotowawczej. Robiło mu się słabo na myśl o tym, że jego syn zostanie wtłoczony w tryby tradycyjnej angielskiej edukacji; jak konserwatywni dziadkowie pokierują jego losem, dobierając mu odpowiednich kolegów, kształtując zainteresowania i pilnując, aby nie wyłamywał się z więzów konwenansu.

On sam nie dał się tak zaszufładować. W wieku siedemnastu lat zerwał wszystkie więzi rodzinne. Po pierwsze dlatego, że chciał się poświęcić pisarstwu; a po drugie - bo zawsze dążył do niezależności. A jak da sobie radę Tomek?

Te rozważania popsuły mu humor, więc dał sobie

spokój. W końcu nic go nie obchodziło, do jakiej szkoły będzie chodził Tomek. Aby odegnać te natrętne myśli, zapalił papierosa i bezmyślnie otworzył książkę z obrazkami na stronie tytułowej. I tu doznał szoku, bo przeczytał starannie wykaligrafowaną czarnym tuszem dedykację: *Tomaszowi Archerowi z okazji drugich urodzin od kochającej babci.*

Oliver poczuł złość. Raptem okazało się, że los Tomka obchodzi go bardziej, niż mu się wydawało. Gdyby pani Archer znalazła się w pobliżu, na pewno zwymyślałby ją, a może nawet doszłoby do rękoczynów. Mruknął więc do siebie przez zaciśnięte zęby: - Jaki Tomasz Archer, ty świętoszkowata krowo! To jest Tomasz Dobbs, mój syn!

Kiedy Helga zeszła na dół, niosąc Tomka już ubranego w kombinezon i czapkę z pomponem, Oliver czekał na nią w holu. Nałożył kurtkę i stwierdził:

- No, to na mnie już czas. Muszę wracać do Londynu.
- Oczywiście, jeśli pan musi...
- To bardzo ładnie z twojej strony, że zaprosiłaś mnie na lunch.
- Powiem pani, że pan był.
- Proszę bardzo - przyzwolił z uśmiechem.
- Ale nie wiem, co mam jej powiedzieć. To znaczy... przepraszam, ale nie wiem, jak się pan nazywa.
- Wystarczy, że powiesz - Oliver Dobbs.
- Dobrze, panie Dobbs... - zawahała się, a potem szybko dodała: - Muszę jeszcze skoczyć po płaszcz i wózek Tomka. Potrzymałby go pan przez chwilę?
- Chętnie. - Wziął od niej dziecko i przytulił do piersi.
- Zaraz wracam, Tomku! - zapewniła go opiekunka i znikła za oszklonymi drzwiami w głębi holu.

„Niemądra, naiwna dziewczyno - pomyślał Oliver. - Jeśli chcesz, możesz wcale nie wracać!" Miał nadzieję, że jego postępek nie sprawi jej zbyt wielkich przykrości. Z synem na ręku przeszedł przez hol, otworzył na żółto

pomalowane drzwi od frontu i zszedł schodkami do samochodu.

Helga słyszała wprawdzie z garderoby warkot silnika, ale nie skojarzyła tego z wozem Olivera. Kiedy wróciła z wózkiem, nie zastała już ani mężczyzny, ani dziecka. Zauważyła, że nie zamknął za sobą drzwi, przez które do holu wdarło się zimno.

- Panie Dobbs! - wybiegła na dwór z krzykiem. - Tomku!

Odpowiedziała jej cisza. Ulica była pusta.

II

Ten sam piątek

Wiktoria Bradshaw odkryła, że człowiek najbardziej się męczy wtedy, kiedy nie ma nic do roboty. Wbrew pozorom nadmiar pracy jest dużo mniej męczący. Dzisiejszy dzień był tego dowodem. W lutym źle się działo w handlu konfekcją - a właściwie w handlu czymkolwiek. Szał gwiazdkowych zakupów dawno minął, a o styczniowych wyprzedażach już zapomniano.

Mdłe poranne słońce i lekki przymrozek dawały pewne nikłe nadzieje na pogodny dzień, ale już po południu zachmurzyło się, zaczęło padać i zrobiło się tak zimno, że nikt przy zdrowych zmysłach nie wybierał się w taką pogodę po zakupy. Każdy wolał siedzieć w domu przy kominku lub kaloryferze, rozwiązywać krzyżówki, piec ciasto lub oglądać telewizję niż chodzić po sklepach.

Zbliżała się piąta po południu. Na dworze szybko się ściemniało i tylko przez szybę wystawową od wewnątrz widać było odwrócone litery szyldu Sally SHARMAN. Okna wychodziły na zalany strugami deszczu Beauchamp Place, przez który przemykali przechodnie pod parasolami, zmagając się z wiatrem i ciężarem niesionych pakunków. Przy skrzyżowaniu z Brompton Road sznur samochodów czekał na zielone światło. Po schodkach do sklepu biegła jakaś osoba ubrana w płaszcz od deszczu. Sadziła susami, jakby ją ktoś gonił. Jednak mimo pośpiechu,

z jakim zamknęła przeszklone drzwi, do środka wdarło się zimne powietrze.

Była to Sally, właścicielka firmy, w czarnym, nieprzemakalnym płaszczu i czapce z rudego lisa.

- Ależ psia pogoda! - powiedziała zadyszana, zamykając parasolkę. Zdjęła rękawiczki i powoli rozpinała płaszcz.

- Jak ci poszło? - zagadnęła Wiktoria.

Sally była na roboczej naradzie z młodym projektantem konfekcji, który postanowił przestawić się na hurtową sprzedaż swoich modeli. Zajął jej to całe popołudnie.

- Nieźle - stwierdziła, wieszając płaszcz na mokrej parasolce. - Całkiem nieźle. Facet ma dobre pomysły i umie dobrać kolory. Byłam zaskoczona, że przedstawił kolekcję dla osób w dojrzałym wieku, bo sądziłam, że taki młody człowiek projektuje tylko džinsy i bluzy.

Dopiero kiedy zdjęła lisią czapę i otrząsnęła ją z deszczu - można było stwierdzić, że jest szczupła i elegancka. Miała na sobie wąskie spodnie wpuszczone w kozaczki i sweter ze zgrzebnej wełny, który na każdej innej kobiecie wyglądałby jak szmata do podłogi, ale na Sally leżał cudownie.

Sally zaczęła swoją karierę zawodową jako modelka - do tej pory zresztą zachowała tyczkowatą figurę i nazbyt wyraziste, lecz fotogeniczne kości policzkowe. Z wybiegu dla modelek awansowała do działów mody w pismach kobiecych. Następnym szczeblem w jej karierze, dzięki rozległym znajomościom i głowie do interesów, był już własny sklep. Ta praktycznie myśląca, dobiegająca czterdziestki rozwódka miała bardziej czułe serce, niż mogłoby się wydawać. Wiktoria pracowała u niej prawie dwa lata i przez ten czas bardzo się polubiły.

- Uuuuch, jak ja nie znoszę służbowych spotkań! - ziewnęła Sally - Mam potem kaca przez resztę dnia!

Z przepastnej torby wyjęła paczkę papierosów i popołudniową gazetę. Rzucając to wszystko na kontuar, zmieniła temat:

- A co u ciebie?

- Właściwie nic się nie działo. Sprzedałam tę strojną beżową sukienkę, no i jakaś dama przez pół godziny zastanawiała się nad tym wełnianym płaszczem w jodełkę. W końcu powiedziała, że się jeszcze namyśli, bo ten płaszcz ma kołnierz z norki, a ona jest działaczką ruchu ochrony zwierząt.

- Powiedz jej, że możemy go wymienić na kołnierz ze sztucznego futra - poradziła Sally, przechodząc do swojego kantorka na zapleczu sklepu. Usiadła przy biurku i zaczęła przeglądać korespondencję. - Wiesz co, Wiktorio? - mówiła dalej. - Pomyślałam, że powinnaś wziąć teraz ze dwa tygodnie urlopu. Później zacznie się ruch w interesie i nie dam sobie rady bez ciebie, a nie brałaś wolnego już od niepamiętnych czasów. Tyle tylko że luty nie jest zbyt atrakcyjnym miesiącem. Chyba żebyś wyskoczyła gdzieś na narty albo do twojej mamy w Sotogrande. Jak tam jest w lutym?

- Też zimno i deszczowo.

- Po twoim głosie poznaję, że wolałabyś nie brać urlopu w lutym - domyśliła się Sally, a Wiktoria nie oponowała. - Wiesz, gdyby to moja matka miała dom w Sotogrande, siedziałabym u niej przez cały rok. Poza tym potrzebujesz wypoczynku, jesteś taka blada i chuda. Kiedy patrzę na ciebie, mam wyrzuty sumienia, że cię za bardzo eksploatuję.

Mówiąc to, otworzyła następną kopertę.

- Sądziłam, że zapłaciłyśmy już ten rachunek za prąd - zmieniła temat. - Nawet jestem pewna, że zapłaciłyśmy. Komputer musiał się pomylić, a może to sprawa wirusa?

Wiktoria ucieszyła się, że szefowa przestała już poruszać problem jej urlopu w lutym. Podniosła gazetę, którą Sally wyjęła z torby, i bezmyślnie ją przeglądała. Przebiegła wzrokiem nagłówek, wyławiając mniej i bardziej ważne wiadomości. Hrabstwo Essex nawiedziły powodzie,

a gdzieś w Afryce znowu wybuchł pożar. Jakiś stary hrabia żenił się po raz trzeci, a w Bristolu odbyła się właśnie próba generalna przed premierą nowej sztuki „Złamany szeląg” pióra... Olivera Dobbsa!

To był zupełny przypadek, że zwróciła uwagę na tę wiadomość, złożoną drobną czcionką i upchniętą u dołu kolumny. Nie miała ani nagłówka, ani zdjęcia, tylko grubą czcionką wydrukowane nazwisko Olivera Dobbsa.

- ...i to jest już ostatnie upomnienie, masz pojęcie? A niech to! Pamiętam przecież, że w zeszłym miesiącu wypisałam im czek! - Sally nadal roztrząsała temat rachunku za prąd, ale urwała, widząc brak reakcji Wiktorii. - Ej, co z tobą, nie słyszysz? Na co się tak gapisz?

- Nic takiego, tylko znalazłam wzmiankę o facecie, którego kiedyś znałam.

- Mam nadzieję, że nie wsadzili go do więzienia?

- Nie, napisał sztukę teatralną. Słyszałaś kiedyś o Oliverze Dobbsie?

- Owszem, wiem, że pisze sztuki dla teatru telewizyjnego. Któregoś wieczoru oglądałam jakąś jego jednoaktówkę. Napisał też scenariusz świetnego filmu dokumentalnego o Sewilli. A co o nim piszą?

- W Bristolu mają wystawiać jego sztukę.

- Jaki on jest? - od niechcienia spytała Sally, będąc wciąż myślami przy wygórowanych rachunkach wystawianych przez londyński Zakład Energetyczny.

- Przystojny.

To wywołało zainteresowanie Sally, która gustowała w przystojnych mężczyznach.

- Podobał ci się? - indagowała.

- Miałam wtedy osiemnaście lat i łatwo było mi za imponować.

- Nie tobie jednej, wszyscy byliśmy tacy w tym wieku. Zresztą ty, szczęściaro, nadal wyglądasz jak młódka!

Raptem Sally straciła zainteresowanie dla Olivera Dobbsa, rachunku za prąd i wszystkiego innego. Ten dzień sta-

nowczo dłużył się niemiłosiernie! Przeciągnęła się i ziewnęła.

- Wiesz co? Do diabła z tym wszystkim! Zamykamy budę i idziemy do domu. Chwała Bogu, że są weekendy. Nic nie robić przez dwa dni, to cudowne! Przesiedzę chyba cały wieczór w wannie albo przed telewizorem.

- Myślałam, że gdzieś wychodzisz.

Sally prowadziła dosyć bujne życie towarzyskie. Otaczał ją wianuszek adoratorów, z których żaden nie miał pojęcia o istnieniu rywali. Sally dokonywała cudów zręczności, aby nie pomylić ich imion, więc na wszelki wypadek zwracała się do każdego per „kochanie”.

- Na szczęście nie. A ty?

- Chyba będę musiała pójść na drinka do znajomych mojej mamy. Nie zapowiada się to zbyt interesująco.

- Skąd możesz wiedzieć? - zaprotestowała Sally. - Życie jest pełne niespodzianek.

* * *

Praca na Beauchamp Place miała tę dobrą stronę, że z zaułka Pendleton, gdzie Wiktoria zajmowała mieszkanie swojej matki, można tam było przejść spacerkiem. Przeważnie chodziła piechotą do pracy, gdyż na skrót było to tylko pół godziny marszu. Ruch na powietrzu zwykle działał na nią bardzo odświeżająco. Jednak dziś była taka plucha, że perspektywa marszu w ulewnym deszczu i przy lodowatym wietrze nie należała do przyjemnych. Wprawdzie Wiktoria na ogół wystrzegała się jeżdżenia taksówkami, ale tym razem zdecydowała się złamać zasadę. Podeszła w górę Brompton Road i zatrzymała nadjeżdżający samochód.

Jazda jednokierunkowymi ulicami w godzinach szczytu trwała o dziesięć minut dłużej niż pokonanie tej samej trasy piechotą. Licznik wybił tyle, że z banknotu funtowego kierowca wydał jej tylko kilka drobniaków reszty.

Od taksówki musiała jeszcze przejść kawałek po kałużach i mokrych kocich łbach, nim dotarła do pomalowanych na niebiesko drzwi swego domu. Otworzyła je, weszła na górę po schodkach przykrytych wytartym beżowym chodnikiem i skierowała się do małego saloniku.

Odłożyła parasolkę i koszyk. Zaciągnęła story z grubego perkalu, przez co pokój od razu zrobił się bardziej przytulny. W kuchni postawiła czajnik na gazie, aby napić się kawy. Wróciła do pokoju i włączyła telewizor, ale zaraz go wyłączyła. Nastawiła płytę z uwerturą Rossiniego i przeszła do sypialni, aby zdjąć mokry płaszcz i buty.

Z dźwiękami uwertury zmieszał się gwizdek czajnika. Wiktoria zalała wrzątkiem kawę rozpuszczalną i z kubkiem w ręku usiadła przed gazowym kominkiem. Sięgnęła do koszyka po gazetę kupioną przez Sally. Jeszcze raz przeczytała notatkę o nowej sztuce Olivera Dobbsa. Wprawdzie powiedziała Sally, że kiedy miała osiemnaście lat, łatwo jej było zaimponować, ale prawda była taka, że czuła się wtedy samotna i rozdygotana jak dojrzały owoc na gałązce, który zaraz urwie się i spadnie. Trzeba trafu, że Oliver stał wtedy pod drzewem...

* * *

Była wtedy studentką pierwszego roku Akademii Sztuk Pięknych. Nieśmiała i zakompleksiona, jeszcze się nie zdążyła z nikim zapoznać, toteż niespodziewane zaproszenie na imprezę zaskoczyło ją, ale też mile połechtало. Jakaś starsza koleżanka, może litując się nad nowicjuszka, rzuciła w jej stronę luźną uwagę:

- Diabli wiedzą, co to ma być, ale mówili, że mogę zaprosić, kogo zechcę. Dobrze by było, gdybyś przyniosła flachę, ale jeśli nie przyniesiesz, to też się nic nie stanie. Wiesz, będziesz tam mogła poznać masę fajnych ludzi. O, tu masz adres. Ten chłopak nazywa się chyba Sebastian,

ale to mało istotne. Jeśli będzie ci się chciało, to wpadnij. Obojętne, o której.

Jeszcze nigdy w swoim życiu Wiktoria nie spotkała się z takim zaproszeniem. Najpierw zdecydowała, że z niego nie skorzysta, potem kilka razy zmieniała zdanie - raz była gotowa iść, to znów ogarniał ją strach. W końcu znalazła jakieś czyste džinsy, zabrała matce butelkę czerwonego wina i pojechała pod wskazany adres.

Było to mieszkanie na najwyższym piętrze budynku na zachodnim Kensingtonie. Wiktoria znalazła się wśród nie znanych sobie ludzi, ściskając w garści butelkę. Po jakichś dwóch minutach ktoś zauważył: „O, jak to ładnie z twojej strony!” i wziął od niej wino. Potem nikt już się do niej nie odezwał. W zadymionym pokoju znajdowało się kilku młodzieńców obwieszonych sznurami paciorków, dziewczyny o ziemistej cerze i z włosami w strąkach, a nawet kilkoro brudnych dzieci. Nie widać było niczego do jedzenia ani do picia.

Wiktoria nie mogła nigdzie dostrzec tej dziewczyny, która ją zaprosiła na imprezę. Krępowała się przyłączyć do którejś z grupek towarzyskich, porozsiadanych na podłodze, poduszkach lub na jedynej kanapie, z której wystawały sprężyny. W równym jednak stopniu wstydziła się wziąć płaszcz i wyjść. W powietrzu unosił się słodki i przenikliwy zapach marihuany, stanęła więc w oknie, zadrezczając się wizją tego, co się stanie, jeśli wtargnie tu policja. Wtem ktoś ją zagadnął:

- My się chyba nie znamy?

Wiktoria, przestraszona tym nagłym odezwaniem, odwróciła się tak niezręcznie, że o mało nie wytrąciła nieznajomemu szklanki z ręki.

- Och, przepraszam! - wyjąkała.

- Nie szkodzi, nic się nie wylało - uspokoił ją, ale zaraz się poprawił: - Przynajmniej niedużo.

Uśmiechnął się, jakby opowiedział dobry kawał. Odwzajemniła uśmiech, wdzięczna, że ktoś się do niej przyjaź-

nie odezwał. Mało tego, w całym tym towarzystwie tylko on jeden nie był brudny, spocony ani pijany. Odwrotnie, był wybitnie przystojny, a nawet atrakcyjny: wysoki, szczupły, o rudawych włosach spadających na kołnierz swetra i z oryginalną brodą.

- Nie masz drinka - zauważył.

- Nie.

- Przynieść ci?

Odmówiła; naprawdę nie miała ochoty na drinka, a poza tym obawiała się, że jeśli ten chłopak odejdzie, to już więcej nie wróci.

- Nie lubisz? - rozbawiony wskazał na swoją szklankę.

Wiktoria krytycznie przyjrzała się jej zawartości.

- Nie wiem, co to jest.

- Wątpię, czy ktokolwiek to wie. W każdym razie przypomina... - pociągnął łyk i jak zawodowy kiper trzymał przez chwilę w ustach - ...czerwony atrament z anyżkiem!

- A jak to działa na żołądek?

- O tym pomyślimy jutro! - Przyjrzał się jej z wyrazem skupienia. - Chyba się nie znamy - powtórzył.

- Myślę, że nie. Nazywam się Wiktoria Bradshaw.

Wymówiła swoje nazwisko z uczuciem zażenowania, ale on zdawał się tego nie dostrzegać.

- A co robisz?

- Jestem na pierwszym roku Akademii Sztuk Pięknych.

- Aha, to dlatego się tu znalazłaś. I jak ci się podoba?

- Nieszczególnie. - Rozejrzała się znacząco wokół.

- Wprawdzie miałem na myśli twoje studia, ale jeśli ci się tu nie podoba, to dlaczego nie pójdziesz do domu?

- Sądziłam, że byłoby to nieuprzejme.

Rozbawiło go to stwierdzenie.

- W tym towarzystwie nikt nie myśli o uprzejmości.

- Zresztą jestem tu dopiero od dziesięciu minut.

- A ja od pięciu.

Skończył drinka, wysączając ostatnie krople podejrze-

nego napoju tak dokładnie, jakby to było pyszne chłodne piwo. Potem odstawił szklankę na parapet okna i zakomenderował:

- Wychodzimy!

Ujął ją pod ramię i skierował w stronę drzwi. Opuścili mieszkanie bez słowa pożegnania czy choćby najbłahszej wymówki.

U szczytu ciemnej i brudnej klatki schodowej odwróciła się i spojrzała mu w oczy.

- Nie miałam tego na myśli! - zaprotestowała.

- Czego znów nie miałas?

- No, żebyś ty także wyszedł. To ja chciałam wyjść!

- A skąd wiesz, że ja nie chciałem?

- Przecież przyszedłeś się zabawić!

- Takie imprezy przestały mnie bawić już dość dawno.

Chodźmy stąd szybko zaczerpnąć świeżego powietrza!

Kiedy byli już na dole i owiało ich ciepłe powietrze letniego wieczoru, Wiktoria znów się zatrzymała.

- No to bardzo ci dziękuję - oświadczyła.

- Jak to?

- Mogę już wziąć taksówkę i pojechać do domu.

Uśmiechnął się.

- Boisz się czegoś?

- Nie, skąd! - Wiktoria poczuła się zakłopotana.

- No więc, przed czym uciekasz?

- Przed niczym. Chciałabym po prostu...

- Jechać do domu?

- Tak.

- Ale nie pojedziesz.

- Dlaczego?

- Bo pójdziemy teraz do knajpy, włoskiej czy jakiejś innej. Zamówimy dużą butelkę wina, a ty opowiesz mi historię swojego życia.

Nadjechała wolna taksówka. Nieznajomy wepchnął do niej Wiktorię i poinstruował kierowcę, dokąd ma jechać. Jechali w milczeniu przez jakieś pięć minut. Na miejscu

pomógł jej wsiąść i zapłacił za kurs. Zaprowadził ją do podrzędnej knajpki ze stołami ustawionymi wzdłuż ścian. W powietrzu mieszał się zapach dymu papierosowego i gotujących się potraw. Zajęli stolik w rogu sali, gdzie było dosyć ciasno. Młody człowiek umieścił jakoś swe długie nogi tak, aby nie potykali się o nie kelnerzy. Zamówił butelkę wina i przypalając papierosa, poprosił o kartę. Potem odwrócił się do Wiktorii i zagaił:

- No więc...

- Co: „no więc?”

- No więc, proszę, opowiedz mi historię swojego życia.

Przyłapała się na tym, że się uśmiecha.

- Ależ ja nic o tobie nie wiem, nie znam nawet twojego nazwiska! - zaprotestowała.

- Oliver Dobbs - przedstawił się uprzejmie. - Musisz mi wszystko opowiedzieć, bo jestem pisarzem. Takim prawdziwym, który ma agenta reklamowego i duży dług w banku, a przy tym mocną potrzebę wysłuchiwania zwierzeń. Mało kto dzisiaj umie naprawdę słuchać, wszyscy chcieliby tylko mówić. Nie sądzisz?

- Chyba tak - odpowiedziała, gdyż pomyślała w tej chwili o swoich rodzicach.

- A widzisz? „Chyba” - to znaczy, że nie jesteś pewna. Nikt nie jest niczego pewien, bo nie umie słuchać innych. Ile masz lat?

- Osiemnaście.

- Kiedy cię zobaczyłem, myślałem, że jesteś młodsza. W tamtej obskurnej dziurze, stojąc w oknie, wyglądałaś najwyżej na piętnaście. Już miałem powiadomić pogotowie opiekuńcze, że jakaś małolata włóczy się sama po nocy.

Kelner postawił na stole odkorkowaną już litrową butelkę. Oliver nalał wina do kieliszków i wypytywał dalej:

- Gdzie mieszkasz?

- W zaułku Pendleton.

- Gdzie to jest? Fiu, fiu! - Aż zagwizdał, kiedy mu wyjaśniła. - A więc panienka z dobrego domu! Nie

przypuszczałem, że takie też studiują na uczelniach artystycznych. Musisz być cholernie nadziana.

- Wcale nie jestem.

- To jakim cudem stać cię na mieszkanie w Pendleton?

- Bo mieszkam w domu mojej mamy, która wyjechała do Hiszpanii.

- Coraz ciekawiej. Co pani Bradshaw robi w Hiszpanii?

- Jeśli już, to pani Paley, bo moi rodzice się rozwiedli pół roku temu i mama wyszła drugi raz za męża. Ojczym nazywa się Henry Paley i ma dom w Sotogrande, gdzie może przez cały rok grać w golfa. - Wiktoria postanowiła wyrzucić z siebie wszystko jednym tchem. - A mój ojciec wyjechał z kuzynką, która ma podupadający majątek ziemski w południowej Irlandii. Zapowiedział, że będzie tam hodował kuce do gry w polo, ale wątpię w to, bo on zawsze dużo gada, a mało robi.

- A biedną małą Wiktorię zostawili samą w Londynie?

- Mała Wiktoria ma już osiemnaście lat.

- Dobrze więc, stara i doświadczona. Mieszkasz sama?

- Tak.

- I nie czujesz się samotnie?

- Wolę mieszkać sama niż z dwojgiem ludzi, którzy drą ze sobą koty.

- Rodzice bywają czasem okropni, prawda? - Puścił do niej oko. - Moi też są okropni, ale nie mogli się zdecydować na rozwód. Zaszli się w najbardziej zabitym kącie Dorset i o wszystko złe - że gorzej się im powodzi, ceny rosną, a kury kiepsko się niosą - obwiniają albo mnie, albo rząd.

- Ja kocham swoich rodziców - zaoponowała Wiktoria.

- To tylko oni przestali kochać siebie nawzajem.

- Masz rodzeństwo?

- Nie, jestem jedynaczką.

- Więc nie ma kto się tobą zająć?

- Wystarczająco dobrze zajmuję się sobą sama.

- To teraz ja się tobą zajmę - oświadczył pompatycznie.

Od tego wieczoru upłynęły dwa tygodnie, a Oliver się nie pojawił. Wiktoria straciła nadzieję, że jeszcze go kiedykolwiek zobaczy.

W piątkowe popołudnie postanowiła dla zabicia chandry zrobić generalne porządki w mieszkaniu, choć było czysto. Po sprzątaniu poszła do łazienki umyć włosy. Właśnie kłęzczała w wannie pod prysznicem, kiedy usłyszała dzwonek do drzwi. Owinęła się ręcznikiem i pobięła otworzyć.

Przed drzwiami stał Oliver. Wiktoria aż rozplakała się ze szczęścia. Wpuściła go do środka, a on wziął ją w ramiona - tak jak stała, całą moką - i osuszył jej twarz rogiem ręcznika. Potem poszli na górę. Oliver wyciągnął z kieszeni kurtki butelkę wina, a Wiktoria przyniosła kieliszki. Usiedli przy kominku i popijali wino, a kiedy w butelce pokazało się dno, Wiktoria poszła do sypialni ubrać się i rozczesać długie, wilgotne sploty jasnych włosów. Oliver siedział w nogach łóżka i przyglądał się jej. Potem zabrał ją na kolację, ale nawet nie próbował usprawiedliwić swojej dwutygodniowej nieobecności. Wspomniał tylko, że był w Birmingham i to musiało Wiktorii wystarczyć. Nawet nie przyszło jej na myśl zapytać, co tam robił.

Wkrótce okazało się, że taki właśnie charakter będą miały ich stosunki. Oliver to pojawiał się w jej życiu, to znikał; był nie tylko nieprzewidywalny, ale również tajemniczy. Nigdy nie wiedziała, gdzie był i co robił. Mógł być zarówno w Ibizie, jak i na farmie u kolegi w Walii. Nie mówił też nic o swojej pracy ani o swoim mieszkaniu. Wiktoria wiedziała tylko, że jest to suterena gdzieś przy Fulham Road.

Oliver miewał zmienne humory i Wiktoria nieraz była świadkiem wybuchów jego nieokiełznanego temperamentu. Tolerowała to, gdyż sądziła, że artysta ma prawo być chimeryczny. Tym bardziej że potrafił być równocześnie świetnym kumplem, dowcipnym i kochającym mężczyznę.

Właściwie był dla niej czymś w rodzaju starszego brata, na dodatek bardzo przystojnego.

Kiedy Oliver długo nie przychodził, Wiktoria wmawiała sobie, że na pewno pracuje. W myślach widziała go przy maszynie do pisania, jak wciąż przerabia swoje utwory, kreśli, dopisuje, poprawia, nie mogąc osiągnąć wymarzonych efektów artystycznych. Czasem miał przy sobie trochę pieniędzy, a czasem nie miał wcale. Wtedy Wiktoria sama kupowała produkty i przyrządzała posiłki w domu. Kupowała także wino i cygara, które lubił.

Najcięższy okres nastał, kiedy Oliver nie miał zbytu na swoje utwory. Musiał wtedy podjąć dorywczą pracę przy zmywaniu naczyń w małej restauracyjce. Potem sytuacja się poprawiła, gdyż udało mu się zawrzeć umowę z telewizją na wystawienie jego sztuki. Dalej jednak dorabiał zmywaniem, aby mieć z czego opłacić komorne.

Wiktoria nie miała poza Oliverem innych partnerów i nie czuła takiej potrzeby. Nie wyobrażała więc sobie, że może go coś łączyć z innymi kobietami. Dotąd nie miała okazji być o niego zazdrosna. Nie dawał z siebie zbyt wiele, ale jej to wystarczało.

Po raz pierwszy usłyszała z jego ust nazwisko Jeannette Archer, kiedy oświadczył jej, że ma zamiar się ożenić.

Stało się to wczesnym latem, kiedy okna w mieszkaniu Wiktorii były szeroko otwarte. Piętro niżej pani Tingley spod czternastki przesadzała pelargonie do ozdobnych doniczek, a lokator z mieszkania obok mył samochód. Na dachu gruchały gołąbki, a ulistnione korony drzew tłumiły odgłosy ruchu ulicznego. Oboje siedzieli przy oknie. Wiktoria przyszywała guzik do marynarki Olivera. Niby jeszcze się trzymał, ale widać było, że niedługo odleci, więc zaofiarowała się go wzmocnić. Nawlokła igłę, zawiązała supełek na końcu nitki i właśnie wbijała igłę w wytarty sztruks, kiedy Oliver ni z tego, ni z owego wypalił:

- Co byś zrobiła, gdybym ci powiedział, że się żenię?

Wiktoria z wrażenia trafiła igłą wprost w swój wielki

palec. Ból był słaby, ale bardzo uporczywy. Szybko wyciągnęła igłę i obserwowała, jak na czubku palca wzbiera czerwona kropelka. Oliver tak na to zareagował:

- Wyssij szybko, bo mi poplamisz marynarkę!

Ponieważ nie usłuchała, wzięła ją za rękę i sam wepchnął jej kciuk do ust. Napotkał przy tym jej wzrok, więc nie powstrzymał się od uwagi:

- Co się tak na mnie patrzysz?

Wiktoria patrzyła nie tyle na niego, co na swój palec, w którym wzbierał pulsujący ból, jakby ktoś uderzył weń młotkiem. Odrzekła więc spokojnie:

- Nie umiem inaczej.

- No to powiedz coś, nie patrz takim cielejącym wzrokiem!

- A co według ciebie powinnam powiedzieć?

- Mogłabyś, na przykład, życzyć mi szczęścia.

- Nie wiedziałam, że... to znaczy... że ty... - Nawet w takiej chwili próbowała zachowywać się rozsądnie i taktownie, ale Oliver gardził wszelkimi eufemizмами. Przerwał jej brutalnie:

- Masz na myśli, że nie wiedziałas, że kogoś mam? Wiesz, jak to brzmi? Jak cytat ze staroświeckiej powieści, jakie czytuje moja matka.

- Co to za dziewczyna?

- Nazywa się Jeannette Archer, pochodzi z bardzo dobrej rodziny, ma dwadzieścia cztery lata, ładne mieszkanie, niezły samochód i posadkę. Żyjemy ze sobą już od czterech miesięcy.

- Myślałam, że mieszkasz w Fulham.

- Od czasu do czasu tam mieszkam, ale ostatnio nie.

- A kochasz ją? - spytała Wiktoria, bo po prostu chciała to wiedzieć.

- Widzisz, ona spodziewa się dziecka. Jej rodzice naciskają, żebym się z nią ożenił, bo zależy im, żeby dziecko miało prawowitego ojca.

- Myślałam, że nie przejmujesz się rodzicami.

- Moimi nie, bo to wiecznie narzekający nieudacznicy. Natomiast jej rodzice mają kupę szmalu, a mnie ten szmal jest potrzebny, żebym mógł swobodnie pisać.

Wiktoria czuła, że za chwilę się rozpłaczę. Łzy napływały jej do oczu, więc opuściła głowę, żeby Oliver tego nie widział. Próbowała nadal przyszywać guzik, ale łzy spływały jej po policzkach i wielkimi kroplami spadały na sztruksową marynarkę Olivera.

- Nie płacz - powiedział, ujmując ją pod brodę i unosząc jej zalaną łzami twarz.

- Kocham cię! - załkała Wiktoria.

Pochylił się i pocałował ją w policzek.

- Ale ty nie spodziewasz się dziecka i na tym polega różnica.

* * *

Zegar na parapecie kominka melodyjnie wydzwonił godzinę siódmą. Wiktoria z niedowierzaniem sprawdziła na swoim zegarku - rzeczywiście, była już siódma. Płyta z Rossinim dawno się przegrała, a fusy w kubku po kawie wystygły. Na dworze wciąż padało, a Wiktoria uświadomiła sobie, że za pół godziny powinna być na koktajlu w Campden Hill.

Oczywiście przez chwilę popadła w panikę, jak każdy, kto stracił rachubę czasu. Natychmiast jednak zapomniała o Oliverze Dobbsie i zaczęła w pośpiechu wykonywać po kilka czynności naraz. Odniosła do kuchni kubek po kawie, napuściła wody do wanny i zaczęła wyciągać z szafy różne części garderoby. Początkowo nie mogła zdecydować się na żadną z nich, lecz w końcu wybrała kilka rzeczy i rozejrzała się za odpowiednimi rajstopami. Przez myśl przeleciało jej najpierw, żeby zamówić taksówkę, a potem, żeby zadzwonić do pani Fairburn i wykręcić się bólem głowy. Przemyślała ten wariant i doszła do wniosku, że nie może tego zrobić, gdyż Fairburnowie byli dobrymi

znajomymi jej matki i bała się ich urazić. W łazience było już pełno pary, kiedy zakręciła kurki i wlała do wody parę kropel olejku do kąpieli. Wepchnęła swoje długie włosy pod czepek kąpielowy, nałożyła na twarz grubą warstwę kremu nawilżającego, zebrała nadmiar serwetką i weszła do pachnącej, parującej wody.

Po piętnastu minutach wyszła z łazienki i zaczęła się ubierać. Na czarny jedwabny golf nałożyła haftowaną tunikę, do tego czarne rajstopy i także pantofle na bardzo wysokich obcasach. Pociągnęła tuszem rzęsy, założyła klipsy i spryskała się perfumami.

Odsunęła zasłony i otworzyła okno, żeby sprawdzić, jaka jest pogoda. W ciemnościach świszczął wiatr, lecz deszcz chyba chwilowo ustał. Mokre brukowce lśniły, a w kałużach odbijało się światło staroświeckich latarni. Od strony głównej ulicy, pod łukowatym sklepieniem pasażujechał jakiś samochód. Wiktoria cofnęła głowę, zamknęła okno i zaciągnęła zasłony. Z szafy wyciągnęła stare futro, otuliła się w nie, sprawdziła, czy ma klucze i portfel, wyłączyła gaz i wszystkie światła.

Zeszła z pierwszego stopnia, gdy usłyszała dzwonek do drzwi.

- O, kurczę! - westchnęła zirytowana, bo sąsiadka, pani Tingley, lubiła w najmniej odpowiednich momentach przychodzić pożyczyć mleka. Zawsze kupowała go za mało i pod tym pretekstem zatrzymywała się na dłuższą pogawędkę. Wiktoria zbiegła po schodach i otworzyła drzwi.

Po drugiej stronie uliczki, pod latarnią, stał zaparkowany duży samochód, ten sam, który widziała z okna. Kierowcy nie było nigdzie widać, więc zaskoczona rozglądała się wokół, gdy z ciemności, bezszelestnie, wynurzyła się jakaś postać. Wiktoria o mało nie umarła ze strachu, kiedy tajemniczy osobnik wymówił jej imię. Poczowała się tak, jakby zjeżdżała bardzo szybko windą z dwudziestego któregoś piętra. A kiedy na jezdni zaszeleścił poruszony wiatrem kawałek gazety - serce podeszło jej do gardła.

- Nie byłem pewien, czy jeszcze tu mieszkasz... - zaczął nocny gość.

No nie. Takie rzeczy zdarzają się chyba tylko w książkach, ale nie normalnym ludziom!

- Myślałem, że się wyprowadziłaś. Nawet byłem tego pewien... - ciągnął dalej.

Wiktoria tylko potrząsnęła przecząco głową.

- Kopę lat się nie widzieliśmy...

- Tak - wykrztusiła przez wyschnięte gardło.

To był Oliver Dobbs. Nic się nie zmienił. Miał takie same włosy, brodę, jasne oczy i miły, głęboki głos. Ubierał się też w tym samym stylu, ale na jego szczupłej sylwetce dobrze leżały nawet te znoszone łąchy.

- Wyglądasz, jakbyś gdzieś wychodziła.

- Bo wychodzę. Już jestem spóźniona. Ale... - cofnęła się w stronę drzwi - wejdz, nie stój na tym zimnie.

- A mogę?

- Tak, ale ja muszę wyjść - powtórzyła z naciskiem, jakby chciała jak najszybciej uciec od tej kłopotliwej sytuacji. Gestem zaprosiła go na górę. Oliver szedł już za nią, lecz zatrzymał się, przypominając sobie:

- Zostawiłem papierosy w samochodzie.

Wiktoria czekała na niego w połowie wysokości schodów. Po chwili wrócił, zamykając za sobą drzwi. Zapaliła światło u szczytu schodów, weszła do mieszkania i stanęła tyłem do wygasłego kominka.

Oliver wszedł za nią, badawczo rozglądając się po pokoju. Obrzucił spojrzeniem jasne ściany, zasłony z kwiecistego materiału i sosnowy kredens, który Wiktoria wypatrzyła w sklepie ze starociami. Książki i obrazy też były te same co przedtem.

- Nic tu się nie zmieniło - stwierdził z zadowoleniem.

- Wszystko wygląda dokładnie tak samo, jak zapamiętałem. To wspaniale wracać do miejsca, które się wcale nie zmieniło. - Przeniósł wzrok na jej twarz i dodał: - Myślałem, że wyszłaś za mąż i już dawno wyprowadziłaś

się stąd. Byłem pewien, że zobaczę za tymi drzwiami jakąś obcą twarz. To zupełny cud, że cię tu zastałem.

Wiktoria złapała się na tym, że nie wie, co powiedzieć. Kompletnie ją zatkało. Kiedy szukała w myśli odpowiednich słów, równocześnie rozglądała się po pokoju. W którymś momencie jej wzrok padł na barek.

- Może się czegoś napijesz?
- Owszem, chętnie.

Postawiła więc torebkę na podłodze i podeszła do kredensu. W barku znajdowała się butelka sherry, opróżniona do połowy butelka jakiegoś wina i prawie pusta butelka whisky. Wyjęła ją i spoglądając na resztkę na dnie, oceniła:

- Mało już tego zostało.
- Wystarczy. - Oliver wyjął jej butelkę z ręki. - Ja się tym zajmę.

Poszedł do kuchni tak pewnym krokiem, jakby dopiero wczoraj opuścił ten dom. Dał się słyszeć brzęk szkła i chlupot nalewanego płynu.

- Nalać ci? - krzyknął z kuchni.
- Nie, dziękuję.

Wrócił ze szklanką w ręku.

- Gdzie jest ta impreza, na którą się wybierasz?
- W Campden Hill. To u znajomych mojej mamy.
- Długo to ma trwać?
- Myślę, że nie.
- Na kolację wrócisz?

Wiktoria rozśmieszyło, że Oliver zaprasza ją na kolację w jej własnym domu.

- Chyba tak - odpowiedziała.
- No to leć na tę swoją imprezę, a ja poczekam. - Widząc wyraz jej twarzy, dodał szybko: - To dla mnie ważne, bo muszę z tobą spokojnie porozmawiać.

Zabrzmiało to podejrzenie, tak jakby ścigała go policja lub gangsterzy.

- Chyba nie stało się nic złego? - upewniła się na wszelki wypadek.

- Aleś się przestraszyła! Nie, nic się nie stało - uspokoił ją, po czym zaraz dodał, ze swoją zwykłą praktycznością:
- Masz coś do jedzenia?

- Oczywiście, jest zupa, jajka i bekon. Ewentualnie zrobię sałatkę albo możemy gdzieś pójść. Tu za rogiem jest grecka restauracja, niedawno otwarta.

- Nie, nie możemy stąd wyjść! - Powiedział to z takim naciskiem, że Wiktoria znów się zaniepokoiła, lecz zaraz rozwinął tę myśl: - Nie chciałem od razu mówić wszystkiego, dopóki nie zobaczyłem, w jakim jesteś nastroju. Chodzi o to, że nie jestem sam. Jest nas dwoje.

- Dwoje? - Wiktoria już wyobraziła sobie pozostawioną w samochodzie dziewczynę, pijanego kumpla albo psa.

Oliver bez słowa odstawił szklanekę i zbiegł po schodach. Dał się słyszeć odgłos otwieranych drzwi na dole i jego kroki w zaułku. Wiktoria czekała na niego u szczytu schodów. Zauważyła, że wybiegając zostawił drzwi otwarte, a wracając ostrożnie zamknął je nogą. Okazało się, że obie ręce miał zajęte, ponieważ w ramionach trzymał rozkosznie śpiącego małego chłopca.

III

Ciągle ten sam piątek

Ponury dzień miał się już ku końcowi, był już jakiś kwadrans po siódmej, gdy John Dunbeath wjechał swoim samochodem na Cadogan Place. Między ciasno zaparkowanymi autami znalazł lukę. Wjechał w nią, wyłączył silnik, zgasił światła i sięgnął na tylne siedzenie po pękatą teczkę i nieprzemakalny płaszcz. Wysiadł z wozu i zatrzasnął drzwiczki.

Z pracy wychodził w strugach ulewnego deszczu, ale teraz jakby przestawało padać. Po wieczornym niebie, rozjaśnionym przez światła wielkiego miasta, silny wiatr przeganiał ponuro wyglądające chmury. Po dziesięciu godzinach spędzonych w dusznym biurze chłodne wieczorne powietrze podziałało na Johna odświeżająco. Idąc od samochodu do domu, wykonał kilka wdechów i wydechów.

Dochodząc po schodkach od drzwi frontowych, ścisnął w garści kółko z kluczami. Drzwi były pomalowane na czarno, z mosiężną klamką i skrzynką na listy, codziennie czyszczoną do połysku przez dozorcę. Była to typowa londyńska kamienica czynszowa, w której przed kilku laty wyodrębniono samodzielne mieszkania. Dlatego też w holu na parterze i na klatce schodowej, mimo wysiłków utrzymania ich w czystości, stale panował zaduch i czuć było stęchlizną. Ten zapach co wieczór witał Johna wracającego z pracy. Nie inaczej było i dziś. John zatrzasnął

drzwi od wewnątrz, wyciągnął ze swojej przegródki korespondencję i wszedł na schody.

Mieszkał na drugim piętrze, w umeblowanym mieszkaniu, które wynalazł mu kolega, kiedy John przyjechał z Nowego Jorku, aby podjąć pracę w londyńskim oddziale banku inwestycyjnego. Wprowadził się natychmiast i po sześciu miesiącach zdażył się do tego miejsca przyzwyczać. Nie czuł się tu jak w domu, lecz było to mieszkanie w sam raz dla samotnego mężczyzny.

Kiedy zapalił światło w przedpokoju, dostrzegł pozostawioną na stoliku notatkę od pani Robbins, sprzątaczkii na przychodne. Jej usługi polecił mu dozorca i John widział tę starszą panią tylko raz, kiedy wręczał jej klucz od mieszkania i tłumaczył, jakiego rodzaju pracy od niej oczekuje. Ta szacowna niewiasta w lot dała mu do zrozumienia, że niepotrzebnie się trzyma. Nosiła się z uroczystą godnością i w czasie rozmowy zdawała się taksonować swojego nowego pracodawcę. Na szczęście ocena wypadła pozytywnie i pani Robbins zaczęła go traktować poważnie, na równi z uprzywilejowanymi mieszkańcami tego domu. Od tej pory John więcej jej nie widział; porozumiewali się za pomocą zostawianych na widocznych miejscach karteczek i w ten sam sposób przekazywał jej cotygodniową wypłatę. John postawił teczkę na podłodze, przewiesił płaszcz przez oparcie krzesła i zabrał do salonu liścik od pani Robbins wraz z całą pocztą.

Salon był urządony w tonacji beżowo-brązowej, a obecny lokator nie nadał mu jeszcze osobistego charakteru. Na ścianach wisały obrazy po poprzednim lokatorze, w spadku po kimś zostały także książki na półkach. John nie miał zamiaru zmieniać tego stanu rzeczy.

Co prawda, czasem odczuwał pustkę, brakowało mu miłości i ciepła rodzinnego. Wtedy oddawał się wspomnieniom. W wyobraźni widział swoje luksusowe mieszkanie w Nowym Jorku, urządzone z wyrafinowanym smakiem przez Lizę, która przykładała większą wagę do

szczegółów wystroju wnętrza niż do stanu konta bankowego męża. Najczęściej wspominał początkowy okres swojego małżeństwa, więc w wyobraźni widział Lizę piękną, wytwornie ubraną, w obłoku egzotycznych zapachów i czekającą na niego. Marzył, że znowu wita go ciepłym pocałunkiem i szklaneczką martini.

Natomiast w taki dzień jak ten John był raczej zadowolony, że wraca do cichego mieszkania. Cieszył się na myśl, że w spokoju i ciepłe wysączy drinka, przejrzy pocztę i odpocznie po całodziennej pracy. Pozapalał wszystkie lampy w salonie i włączył elektryczny kominek, w którym żarzyły się sztuczne kłody drzewa. Zaciągnął brązowe pluszowe story, nalał sobie szkockiej whisky i dopiero wtedy zabrał się do czytania liściku od pani Robbins.

Pozostawiane przez nią notatki były pisane stylem telegraficznym, lakonicznie i skrótami.

„Pranie brakuje 1 p. skarp, i 2 chust. Panna Mansell dzwoniła, prosiła zadzw. do niej dziś”.

John pobieżnie przejrzał korespondencję. Był tam wyciąg z konta bankowego, sprawozdanie z działalności firmy, dwa zaproszenia na jakieś imprezy i list lotniczy od matki. Odłożył to wszystko na później, usiadł na poręczy kanapy, żeby mieć bliżej do aparatu telefonicznego, i wykręcił numer.

Odebrała telefon natychmiast i po jej zdyszonym głosie poznał, z jakim pośpiechem podbiegała do aparatu.

- Halo?
- Tania?
- Ach, kochanie, myślałam, że już nie zadzwonisz...
- Przepraszam, dopiero wróciłem z pracy i znalazłem wiadomość, że dzwoniłaś.
- Biedaku, na pewno jesteś strasznie zmęczony! Słuchaj, z naszego spotkania nici, bo powstał pewien problem. Rano zadzwoniła Mary Colville i prosiła, żebym koniecznie przyjechała do niej na wieś. Kompletny obłąd. Mają się odbyć jakieś tańce, a któraś z dziewcząt dostała grypy

i biedna Mary nie wie, co robić. Po prostu nie mogłam odmówić, chociaż powiedziałam jej o naszych planach na dziś wieczór. Zaproponowała, żebyś ty także przyjechał...

Urwała, nie dlatego, że nie miała nic więcej do powiedzenia, tylko po prostu zabrakło jej powietrza. Właśnie ten jej wieczny pośpiech, bałaganiarstwo i niepohamowane gadulstwo najbardziej podobały się Johnowi, może dlatego, że Tania stanowiła dokładne przeciwieństwo jego byłej żony. Dzięki temu, że sama była taka roztrzepana, nie próbowała wtłoczyć Johna w jakiś schemat.

John spojrzął na zegarek.

- No, jeśli chcesz jeszcze dziś dojechać na tę imprezę - stwierdził - to masz bardzo mało czasu.

- Wiem, kochanie, że już jestem spóźniona, ale chyba nie to miałeś na myśli. Chciałeś na pewno powiedzieć, że jesteś rozczarowany.

- No bo jestem!

- Ale przyjedziesz jutro do nas?

- Nie mogę, Taniu, bo dopiero dziś się dowiedziałem, że muszę jutro rano lecieć na Bliski Wschód.

- No nie, tego już za wiele. Jak długo tam będziesz?

- Kilka dni, najwyżej tydzień. To zależy od tego, jak szybko uda mi się załatwić sprawy.

- Ale zadzwonisz do mnie natychmiast po powrocie?

- No pewnie!

- Dzwoniłam już do Imogeny Fairburn i przeprosiłam ją, że nie będę mogła dzisiaj do niej przyjść. Ona to rozumie i prosiła, żebyś przyszedł nawet sam, bo chce się z tobą zobaczyć. Powiedz, czy to wszystko nie jest okropne? Na pewno jesteś wściekły!

- Ano, jestem.

- Ale rozumiesz mnie, prawda?

- Oczywiście. Podziękuj Mary w moim imieniu i przepraszam, że nie mogę skorzystać z zaproszenia.

- Dobrze, powiem jej wszystko i...

Jedną z charakterystycznych cech Tani było to, że

trudno jej było skończyć rozpoczętą rozmowę. John musiał jej stanowczo przerwać.

- W porządku, Taniu, ale skoro chcesz jeszcze dziś dojechać na tę imprezę, to kończmy już rozmowę i pakuj manatki. Przy dobrych układach spóźnisz się do Colville'ów tylko dwie godziny.

- Och, najdroższy, jak ja cię kocham...

- Zadzwoń do ciebie, gdy tylko wrócę.

- O, tak, proszę! - Głośnym cmoknięciem przesłała mu pocałunek. - Cześć!

W końcu odwiesiła słuchawkę. John zastanawiał się przez chwilę, co w tym dziwnego, że czuje się rozczarowany tym, iż taka atrakcyjna kobieta wystawiła go do wiatru. Zadzwoił do restauracji, w której miał zamówiony stolik, i odwołał rezerwację, potem dokończył drinka i poszedł wziąć prysznic.

* * *

Już chciał wychodzić do Fairburnów, kiedy zadzwonił wiceprezes firmy. Wracał właśnie do domu służbowym cadillakiem - opowiadał - i po drodze przyszło mu do głowy kilka pomysłów w związku z delegacją Johna do Bahrajnu. Połączył się więc z nim przez telefon komórkowy w samochodzie, aby je z nim przedyskutować. Rozmowa trwała około piętnastu minut i John przybył do Campden Hill spóźniony o trzy kwadransy.

Przyjęcie już trwało w najlepsze. Pobocze ulicy przed domem Imogeny było zatłoczone samochodami, toteż John przez dalsze pięć minut szukał miejsca do zaparkowania. Zza wysokich, przysłoniętych firankami okien pierwszego piętra padało światło i dobiegał gwar rozmów. Kiedy zadzwonił do drzwi, otworzył je natychmiast wynajęty lokaj w białej marynarce. Przywitał Johna uprzejmie i podprowadził ku głównym schodom w holu.

Dom był kosztownie i przytulnie urządzone. Grube

dywany, którymi wyłożone były podłogi, stwarzały ciepłą atmosferę. Im bardziej John zbliżał się do salonu Imogeny, tym dochodzący stamtąd szum nasilał się. Przez otwarte drzwi zobaczył tłum rozgadanych ludzi, popijających drinki, palących papierosy i jedzących kanapki. U szczytu schodów siedziała jakaś parka. John z uśmiechem przeprosił młodych ludzi, gdyż o mało na nich nie wszedł, na co dziewczyna, jakby chciała się usprawiedliwić, wyjaśniła:

- Wyszliśmy zaczerpnąć trochę świeżego powietrza.

Przy drzwiach John natknął się na stół, pełniący funkcję bufetu. Stał przy nim lokaj, gotów do usług.

- Dobry wieczór panu. Czym mogę służyć?

- Proszę o whisky z wodą sodową.

- I naturalnie z lodem, prawda?

To „naturalnie” oznaczało, że barman zdemaskował go jako Amerykanina. Odpowiedział więc: - Naturalnie - wziął drinka i zapytał: - Gdzie mogę znaleźć panią Fairburn?

- Oj, obawiam się, że łatwiej by było znaleźć igłę w stogu siana!

John przyznał mu rację. Pociągnął łyk whisky dla kurażu i wmieszał się w tłum gości.

Okazało się, że nie jest tak źle, jak się spodziewał. Od razu rozpoznano Johna, wciągnięto do towarzystwa, poczęstowano cygarem i kanapką z łososiem. Ktoś dawał mu typy na wyścigi: - Absolutny pewniak, chłopie, jutro o wpół do czwartej w Doncaster. - Dziewczyna, którą przypominał sobie jak przez mgłę, cmoknęła go w policzek, pozostawiając ślad szminki. Jakiś wysoki facet, młody, lecz już łysiejący, przecisnął się do niego i oświadczył:

- Pan John Dunbeath, prawda? Nazywam się Crumleigh. Znałem pańskiego poprzednika. Co słyhać w bankowym świecie?

John pilnował swojej szklanki, ale lokaj wyrastał jak spod ziemi i ukradkiem ją dopełniał. Ktoś nadepnął mu na nogę. Okazało się, że to jakiś młodzieniec w kolorowym

krawacie holuje pod rękę opierającą się dziewczynę. Miała około siedemnastu lat i puszystą fryzurę przypominającą kulę mlecza.

- Moja dziewczyna chciałaby cię poznać. Wypatruje za tobą oczy z drugiego końca sali.

- Och, Nigel, jesteś okropny!

Na szczęście John tymczasem wypatrzył gospodynię przyjęcia i skorzystał z pretekstu. Przeprosił gości i nie bez kłopotów przecisnął się na drugą stronę pokoju.

- Imogeno!

- John, kochanie!

Imogena mimo starszego wieku była wciąż piękną kobietą. Przy srebrnych włosach i niebieskich oczach cerę miała gładką jak u młodej dziewczyny, a zachowywała się w sposób wręcz prowokujący.

Przywitał ją pocałunkiem, czego najwyraźniej oczekiwała, gdyż nadstawiła ku niemu twarz, jak słońce do słońca.

- Impreza jak się patrzy! - pochwalił John.

- O, jak miło cię widzieć! Żałuję, że Tania nie mogła przyjść. Dzwoniła i usprawiedliwiała się, że coś pilnego jej wypadło. Szkoda, bo spodziewałam się was obojga. Dobrze, że choć ty przyszedłeś. Rozmawiałeś już z Reggie'em? On strasznie chce podyskutować z tobą o giełdzie czy czymś podobnym.

Jakaś parka niezdecydowanie przestępowała z nogi na nogę, chcąc się pożegnać z panią domu.

- Nie odchodź! - rzuciła dyskretnie Imogena w stronę Johna, po czym zwróciła się z promiennym uśmiechem ku gościom:

- Ach, kochani, czy już naprawdę musicie iść? Jaka szkoda... Miło mi było was widzieć... Cieszę się, że dobrze się bawiliście...

I już znów mówiła do Johna:

- Słuchaj, skoro jesteś sam, bez Tani, to może mógłbyś dotrzymać towarzystwa jednej panience? To nie będzie

przykre, bo śliczna jak obrazek. Nie zna tu nikogo. Prawdę mówiąc, zaprosiłam ją tylko dlatego, że przyjaźnię się z jej matką, ale wydaje mi się jakaś nierozgarnięta. Zrób to dla mnie i bądź dla niej miły.

Imogena wiedziała, że John odebrał od swej matki, Amerykanki, staranne wykształcenie w dziedzinie dobrych manier. Nie zdziwiła się więc, gdy oświadczył, że chętnie się tym zajmie. Trzeba było tylko rozejrzeć się za tą dziewczyną.

Imogena była niskiego wzrostu, więc stanęła na palcach i rozglądała się wokoło.

- O, jest tam, w kącie! - Delikatną rączką ścisnęła nadgarstek Johna jak w imadle. - Chodź, przedstawię cię.

Nie zwalniając chwytu, torowała sobie drogę przez zatłoczony pokój, więc John, chcąc nie chcąc, włókł się za nią jak statek za holownikiem. Dotarli w końcu na miejsce. Okazało się, że jest tu wręcz zacisznie, a przestrzeni tyle, że można nie tylko stać, ale także rozpiierać się łokciami, a nawet usiąść.

- Wiktorio! - Dziewczyna, której imię wymówiła Imogena, siedziała na poręczy fotela i rozmawiała z jakimś starszym panem, wystrojonym w wieczorowy garnitur i czarny krawat. Najwidoczniej wybierał się jeszcze na inne przyjęcie.

Na głos Imogeny dziewczyna wstała, ale nie wiadomo, czy przez grzeczność dla pani domu, czy chciała już uwolnić się od swego towarzysza.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam - zagaiła Imogena. - Chciałabym przedstawić ci Johna. Jest dziś nieszczęśliwy, bo jego dziewczyna nie mogła z nim przyjść. Musisz być dla niego bardzo miła, żeby go pocieszyć.

John poczuł się zakłopotany, ale starał się robić dobrą minę.

- On jest Amerykaninem i jednym z moich najlepszych przyjaciół - kontynuowała Imogena.

Tymczasem starszy pan w wieczorowym garniturze wstał, chrząknął, ukłonił się i dyskretnie ulotnił.

- Johnie - Imogena zwróciła się wprost do niego, nie zwalniając uścisku ręki na jego nadgarstku. Może już zahamowała krążenie krwi i zaraz zaczną odpadać mu palce...? - To jest Wiktoria. Jej matka jest jedną z moich najlepszych przyjaciółek. W zeszłym roku, kiedy byliśmy z Reggie'em w Hiszpanii, zatrzymaliśmy się u nich w Sotogrande. Mają tam najbardziej uroczy dom, jaki można sobie wyobrazić. Z pewnością będziecie mieli o czym pogadać.

Nareszcie puściła jego nadgarstek. John poczuł się jak więzień, któremu zdjęto kajdanki. Powiedział do Wiktorii: - Cześć - a ona odpowiedziała mu tak samo.

Imogena użyła złego określenia, bo dziewczyna nie była wcale „śliczna jak obrazek”, tylko wymyta i higieniczna, w czym przypominała amerykańskie dziewczęta z czasów jego młodości. Włosy miała jasne i jedwabiste, długie i proste, wokół twarzy starannie wymodelowane. Jej oczy były niebieskie, kości policzkowe w sam raz, szyja długa, a ramiona wąskie. Miała dość pospolity, rozczulająco piegowaty nos i ładnie wykrojone usta z dołeczkami w kącikach.

Była to twarz, która nie raziłaby przy sterze żaglówki lub na nartostradzie, ale nie pasowała do towarzystwa zebranego w tym salonie.

- Imogena wspomniała o Sotogrande... - zagaił John.
- A, tak.
- Od jak dawna twoja mama tam mieszka?
- Mniej więcej od trzech lat. Byłeś tam kiedyś?
- Nie, ale mam kolegów, którzy lubią grać w golfa, więc jeżdżą tam, kiedy tylko mogą.
- Mój ojczym codziennie grywa w golfa, właśnie dlatego wybrał to miejsce. Ich dom stoi tuż przy polu golfowym. Wychodzisz z ogrodu i od razu możesz celować w dziesiąty dołek.

- Grasz w golfa?
 - Nie, ale można tam robić wiele innych rzeczy. Pływać, grać w tenisa, jeździć konno.
 - A co ty robisz?
 - Nie jeżdżę tam często, ale kiedy już jestem, to poważnie gram w tenisa.
 - Czy twoja matka przyjeżdża czasem do kraju?
 - Tak, mniej więcej dwa-trzy razy do roku. Zalicza wtedy wszystkie możliwe wernisaże, ogląda ze sześć sztuk teatralnych, kupuje sobie trochę ciuchów i wraca.
- John uśmiechnął się, słysząc tę relację. Wiktoria odpowiedziała mu uśmiechem. Na tym konwersacja się urwała - chyba temat Sotogrande został wyczerpany. Wiktoria spojrzała gdzieś w przestrzeń ponad ramieniem Johna, lecz zaraz, aby nie uchodzić za osobę źle wychowaną, przeniosła wzrok na jego twarz. John przypuszczał, że może na kogoś czeka.
- Znasz tych wszystkich ludzi? - spytał.
 - Tak naprawdę to nikogo. - Po krótkiej przerwie dodała: - Szkoda, że twoja znajoma nie przyszła.
 - Tak jak Imogena powiedziała, musiała nagle gdzieś wyjechać.
 - Aha. - Wzięła garść orzeszków z misy ustawionej na niskim stoliku i co jakiś czas wkładała po jednym do ust.
 - Imogena powiedziała, że jesteś Amerykaninem.
 - Chyba tak.
 - Wcale nie masz amerykańskiego akcentu.
 - A jaki?
 - Jakiś taki... środkowoatlantycki, w typie Alistaira Cooke'a.
 - Masz dobry słuch - stwierdził z uznaniem. - Moja matka jest Amerykanką, a ojciec Anglikiem... nie, przepaszam, Szkotem!
 - Ale jesteś obywatelem Wielkiej Brytanii?
 - Mam podwójne obywatelstwo, bo urodziłem się w Stanach.

- A gdzie konkretnie?
- W stanie Kolorado.
- Czy twoi rodzice tam mieszkają?
- Tak, mają tam ranczo.
- Nie bardzo się orientuję, gdzie to jest.
- Na północ od Nowego Meksyku, na zachód od Gór Skalistych, a na wschód od San Juan.
- Przydałby się atlas, ale brzmi to obrazowo.
- Bo to bardzo malowniczy teren.
- I pewnie dosiadłeś konia, zanim nauczyłeś się chodzić?
- Coś w tym rodzaju.
- Mogę to sobie wyobrazić - podsumowała, a John był w stanie uwierzyć, że rzeczywiście mogła. - Kiedy stamtąd wyjechałeś?
- Miałem jedenaście lat, kiedy wysłano mnie do szkoły na Wschodnim Wybrzeżu. Potem uczyłem się w Anglii, bo mój ojciec znalazł tu pracę. Studiowałem w Cambridge.
- To rzeczywiście jesteś obywatelem świata. A co było po Cambridge?
- Na jakiś czas wróciłem do Nowego Jorku, ale od tego lata pracuję w Londynie.
- Pracujesz w amerykańskiej firmie?
- W banku inwestycyjnym.
- Ale czasem jedziesz do Kolorado?
- Oczywiście, kiedy tylko mogę, ale dawno tam nie byłem, bo miałem masę roboty.
- A podoba ci się Londyn?
- Tak, bardzo. - Widząc wyraz jej twarzy, dodał: - A tobie nie?
- Mnie też, ale myślałam, że to dlatego, bo tak dobrze go znam. To znaczy, nie mogę wyobrazić sobie życia gdzie indziej.

W rozmowie znów nastąpiła przerwa. Wiktoria ponownie spojrzała w bok - tym razem tylko na swój złoty zegarek. Tego już było za wiele dla Johna Dunbeatha. To

on wyłazi ze skóry, żeby ją zabawić, a ona patrzy na zegarek?! Rozbawiło go to zamiast rozżłościć.

- Czekasz na kogoś? - Był ciekaw.

- Nie.

Wyraz jej twarzy, choć uprzejmy i opanowany, wskazywał, że prawda jest inna. John zastanawiał się, czy ona zawsze tak się zachowuje, czy też specyficzna atmosfera przyjęcia skłoniła ją do przybrania takiej pozy. Wiktoria podsyciała te wątpliwości. Zadała mu kilka zdawkowych pytań, ale zdawała się nie słuchać odpowiedzi. Wymieniali grzecznościowe frazesy, z których nie dowiedzieli się o sobie niczego. Może o to jej właśnie chodziło? Trudno ocenić, czy była to z jej strony zamierzona obojętność, czy po prostu nieśmiałość. Znow zaczęła rozglądać się po sali, jakby szukała drogi ucieczki. John nie mógł zrozumieć, po co ona tu w ogóle przyszła. Już chciał zapytać ją o to wprost, lecz uprzedziła go, oświadczając bez wstępów, że musi już iść.

- Robi się późno, zasiedziałam się...

W tym momencie zdała sobie sprawę, że mówiąc to, robi przykrość rozmówcy, więc szybko się poprawiła:

- To znaczy, nie miałam na myśli, że jest nudno, tylko że za długo już tu siedzę... Bardzo miło mi było cię poznać, ale nie mogę tak późno wracać.

Ponieważ John nie reagował, dodała jeszcze z ciepłym uśmiechem:

- Muszę już iść do domu.

- A gdzie mieszkasz?

- W zaułku Pendleton.

- To blisko mnie, bo ja mieszkam na Cadogan Place.

- O, to bardzo miłe i spokojne miejsce. - W jej głosie pobrzmiwała determinacja.

- Rzeczywiście, jest tam bardzo spokojnie.

Wiktoria dyskretnie odstawiła swoją szklanę, obciągnęła na ramieniu pasek od torebki i stwierdziła:

- No to do widzenia.

John jednak nie mógł się opędzić od uporczywej myśli, że byłby idiotą, gdyby dał się w ten sposób spławić. Nie miał już nic do picia, nie było przy nim Tani - więc co jeszcze miał tu robić. Jutro czekał go lot do Bahrajnu, przed którym musiał się jeszcze spakować, przejrzeć dokumenty i wydać ostatnie polecenia pani Robbins.

- Też już wychodzę - zdecydował.
- Przecież dopiero przyszedłeś.
- Odwiozę cię do domu - zadeklarował się, dopijając drinka i odstawiając pustą szklankę.
- Ależ nie musisz mnie odwozić!
- Pewnie, że nie muszę, ale chyba mogę, prawda?
- Przecież mogę wziąć taksówkę.
- A po co, skoro jedziemy w tym samym kierunku?
- Naprawdę nie trzeba...

Johna zdziwiła już ta bezprzedmiotowa dyskusja.

- To żaden kłopot - oświadczył. - Mnie też się spieszy. Mam jutro samolot wcześniej rano.

- Do Ameryki?
- Nie, na Bliski Wschód.
- Po co tam jedziesz?
- Odbić ważne rozmowy - wyjaśnił, biorąc ją pod ramię i popychając w kierunku drzwi wyjściowych.

Imogena nie posiadała się ze zdumienia, że Johnowi tak szybko udało się dojść do porozumienia z córką jej najlepszej przyjaciółki. Była jednak trochę zła, że tak wcześniej opuszcza jej przyjęcie.

- Ależ kochanie, przecież dopiero co przyszedłeś...
- próbowała go zatrzymać.
- Bardzo tu miło, ale jutro wcześniej rano lecę na Bliski Wschód.

- Coś podobnego, kazać komuś lecieć tak daleko w sobotę! No, ale jeśli ktoś jest dobrze zapowiadającym się rekinem biznesu... Szkoda, mógłbyś jeszcze zostać.

- Też bym chciał, ale naprawdę muszę już iść.
- W każdym razie bardzo nam było miło, że przyszedłeś.

Rozmawiałeś z Reggie'em? Nie? To nic ważnego, ale powiem mu, że coś ci wypadło. No i oczywiście będziesz musiał przyjść na kolację, jak tylko wrócisz... Do widzenia, Wiktorio. To cudownie, że przyszłaś. Napiszę do twojej mamy, że ślicznie dziś wyglądałaś!

Na podeście schodów John zapytał Wiktorię:

- Masz jakiś płaszcz?

- Tak, zostawiłam go na dole.

Rzeczywiście, na krześle w holu leżała góra okryć. Wiktoria wygrzebała spomiędzy nich niemodne i mocno znoszone futro. John pomógł jej się ubrać, lokaj w nakrochmalonej białej marynarce otworzył im drzwi i znaleźli się na dworze. W ciemności, przy porywistym wietrze przeszli do miejsca, gdzie stał zaparkowany samochód.

Czekając przed skrzyżowaniem na zielone światło, John poczuł, że kruczy mu w brzuchu. Nie miał nic w ustach od lunchu, a wtedy zjadł tylko kanapkę. Na zegarze dochodziła już dziewiąta wieczór. Światła się zmieniły i John włączył się do ruchu w kierunku Kensington Gore.

Patrząc na siedzącą przy nim Wiktorię, nabierał coraz większej ochoty na kolację w jej towarzystwie. Jej powściągliwość i tajemniczość stanowiły dla niego rodzaj wyzwania. Zaprzagnął rozszyfrować, co kryje się za tym powierzchownym chłodem. Było to coś takiego jak mur z napisem: „Wstęp wzbroniony”, odgradzający atrakcyjny ogród z cienistymi alejkami. „Właściwie, co szkodzi spróbować?” - myślał, przyglądając się jej twarzy z profilu, z podbródkiem wciśniętym w kołnierz palta.

- Może poszlibyśmy gdzieś na kolację? - zaproponował.

- O, jak to miło z twojej strony - odwróciła się ku niemu.

- Po prostu jestem głodny, więc gdybyś chciała mi towarzyszyć...

- Chętnie bym skorzystała, ale dziś naprawdę nie mogę. Mam w domu wszystko przygotowane do kolacji.

Drugi raz w ciągu tego wieczoru użyła słowa „dom”. Zbiło go to z tropu, gdyż nasunęło skojarzenia z rodziną. Ciekawe, kto na nią czeka w tym „domu” - siostra, kochanek czy mąż? Każda z tych możliwości była prawdopodobna.

- W porządku, po prostu myślałem, że nie masz nic innego do roboty.

- Dziękuję za zaproszenie, ale niestety nie mogę...

Zapanowała cisza, którą z rzadka przerywała Wiktoria, dając wskazówki Johnowi, jak ma dojechać do Pendleton. Kiedy podjechali pod łukowato sklepiony pasaż, przez który wjeżdżało się w zaułek, zaproponowała:

- Możesz mnie tu wysadzić. Dalej pójde spacerkiem...

Tym razem on się uparł, aby choć podwieźć ją pod same drzwi, jeśli już nie chce zjeść z nim kolacji. Wjechał w wąską uliczkę między garażami i frontowymi drzwiami domów, przy których stały wielkie donice na kwiaty. Deszcz całkiem ustał, lecz bruk był mokry i odbijał światło latarni.

- Pod którym numerem mieszkasz?

- To tam, na samym końcu. Będziesz musiał wycofać, bo nie da się stąd wyjechać.

- Nie szkodzi.

- O, to tutaj!

W domu paliły się wszystkie światła, nawet lampa nad drzwiami wejściowymi. Wiktoria z niepokojem spojrzała w górę, jakby spodziewała się, że zaraz otworzy się któreś okno i ktoś przekaże przez nie złe wieści. Ponieważ jednak nic takiego się nie stało, wysiadła z samochodu i John także wysiadł. Nie liczył na to, że Wiktoria zaprosi go do środka - po prostu dobre wychowanie nie pozwalało mu zostawiać dziewczyny pod drzwiami. Uważał, że należy poczekać, aż osoba, którą odprowadzał, znajdzie klucz, otworzy drzwi i bezpiecznie wejdzie do domu.

Wiktoria znalazła klucz i otworzyła drzwi, ale jakby bała się wejść na górę.

- Jeszcze raz dziękuję ci za podwiezienie - powiedziała grzecznie. - To było bardzo ładne z twojej strony, ale nie rób już sobie więcej kłopotu...

Urwała w pół zdania, bo z góry dobiegł przeraźliwy płacz dziecka. Oboje stanęli jak wryci, spoglądając po sobie. Tak jak John się spodziewał, na twarzy dziewczyny odmalowało się zdziwienie. Płacz przybierał na sile, jakby w dziecku narastało rozdrażnienie. John oczekiwał jakichś wyjaśnień, ale się nie doczekał. W świetle padającym z klatki schodowej spostrzegł, że Wiktoria nagle zbladła. Powiedziała: „Dobranoc” z dziwnym napięciem w głosie. Po prostu dawała mu do zrozumienia, żeby sobie poszedł. John pomyślał: „Niech cię cholera”, a głośno powiedział:

- Dobranoc, Wiktorio.

- Baw się dobrze w Bahrajnie.

„Do diabła z Bahrajnem” - zaklął w myślach, a głośno powiedział:

- Postaram się.

Wiktoria zamknęła mu przed nosem drzwi frontowe i zgasła światło. John spojrział w górę, ale okna były szczelnie zasłonięte, „...i do diabła z tobą!” - dokończył przerwana myśl.

Wsiadł do samochodu, wrzucił wsteczny bieg i na pełnym gazie wycofał się z zaułka, o centymetry mijając ściany pasażu. Zatrzymał się na chwilę, próbując odzyskać dobry humor.

„Ciekawe, co to za dziecko. Pewnie jej. Właściwie, dlaczego nie miałyby mieć dziecka? To, że sama wygląda jak dziewczynka, nie świadczy jeszcze, że nie może mieć męża albo kochanka. Albo być panną z dzieckiem. Tania uśmieje się, gdy jej o tym opowiem - myślał. - Przez to, że nie poszła ze mną do Imogeny, o mało nie dałem się złapać jakiejś pannie z dzieckiem”.

Wraz ze złością przeszedł mu także głód. Zdecydował, że da sobie spokój z kolacją na mieście, raczej pojedzie do domu i zrobi sobie kanapkę. Ruszył naprzód i zaczął już na zapas martwić się, że jutro o świcie będzie musiał dojechać na lotnisko i zdążyć na samolot do Bahrajnu.

IV

Nadal jeszcze ten sam piątek

Kiedy Wiktoria weszła na górę, Oliver siedział na kanapie, tyłem do drzwi, trzymając dziecko na kolanach. Chłopczyk miał zaczerwienioną od płaczu buzię. Zaskoczony jej nagłym wejściem, na chwilę umilkł, ale rozdarł się ponownie, gdy stwierdził, że to jakaś nieznajoma pani.

Oliver próbował go uspokoić, ale z nikłym skutkiem. Wiktoria rzuciła w ką torebkę i podbiegła do nich, rozpinając po drodze palto.

- Dawno się obudził? - indagowała.
- Jakies dziesięć minut temu.

Dziecko wydzierало się wniebogłosy, więc Oliver musiał podnieść głos, by je przekrzyczeć.

- Coś mu dolega?
- Myślę, że jest po prostu głodny.

Wstał, trzymając na rękach chłopczyka ubranego w śpioszki i biały sweterek robiony ściągaczem. Miedzianorude włoski malca były na karku wilgotne i zlepione. Jedyną informacją na jego temat, jaką Wiktoria zdołała wyciągnąć od Olivera przed wyjściem do Fairburnow, było to, że jest to jego syn. Dodał jeszcze, że powinna się z tego cieszyć. Kiedy zostawiała ich samych, dziecko spało spokojnie na kanapie, a Oliver dopijał whisky.

Natomiast to, co się działo teraz, budziło w niej rosnący niepokój. Nie miała pojęcia o dzieciach, chyba nigdy w życiu nie trzymała żadnego na ręku. Zachodziła w głowę,

co można dać jeść takiemu malcowi, i co spowodowało tak rozdzierający płacz.

- Jak on się nazywa? - Od czegoś trzeba było zacząć.

- Tomek. - Oliver podniósł małego i próbował obrócić go w swoich ramionach. - Tomku, przywitaj się z panią Wiktoria!

Tomek popatrzał spod oka na Wiktoria i kolejną serią wrzasków dał do zrozumienia, co o niej myśli.

- Ile on ma lat? - wypytywała dalej, zdejmując palto i rzucając je na krzesło.

- Dwa.

- Jeśli jest głodny, to trzeba dać mu jeść.

- Niezły pomysł.

Widząc, że Oliver na nic się nie przyda, Wiktoria sama poszła do kuchni, licząc, że znajdzie w swoich zapasach coś odpowiedniego. Przejrzała kredens i półki z przyprawami. Była tam marmolada, mąka, musztarda, soczewica, kostki rosołowe...

W poszukiwaniach towarzyszyły jej natrętne myśli: co ten człowiek robi w jej mieszkaniu po trzech latach milczenia? I skąd się wzięło to dziecko? Gdzie jest jego matka?

Wróciła do przeszukiwania kredensu. Dżem, cukier, płatki owsiane... O, właśnie! Matka kupiła je, kiedy ostatnio była w Londynie, bo potrzebowała ich do jakiegoś szczególnego rodzaju ciastek.

- Czy on zjadłby owsiankę?! - krzyknęła do Olivera.

Mały ryczał jednak tak głośno, że Oliver nie usłyszał pytania, więc Wiktoria musiała przejść do pokoju i powtórzyć je.

- Myślę, że tak. Zresztą wydaje mi się, że w tej chwili zjadłby cokolwiek.

Kipiąc wściekłością, wróciła do kuchni. Postawiła na gazie ronderek z wodą i wsypała do niej trochę płatków owsianych. Wyciągnęła z kredensu miseczkę i łyżkę, a z lodówki dzbanuszek mleka. Kiedy owsianka zaczęła wrzeć,

zmniejszyła płomień i wróciła do salonu, aby stwierdzić, że niepodzielnie zawładnął nim Oliver - pusta szklanka, niedopałki papierosów, wreszcie jego syn! Ubranko dziecka walało się na podłodze, poduszki z kanapy były zgniecione i porozrzucane, a powietrze wibrowało od rozpaczliwego płaczu.

Wiktoria nie mogła już dłużej tego znieść.

- No, chodź do mnie! - powiedziała do zapłakanego chłopczyka i wzięła go na ręce. - Uważaj, żeby owsianka się nie przypaliła - przykazała Oliverowi, a sama zanosła Tomka do łazienki i posadziła go na podłodze.

Nastawiła się już na to, że będzie musiała zmienić zasikane pieluchy, lecz kiedy zdjęła dziecku śpioszki, ze zdziwieniem stwierdziła, że po pierwsze, mały nie używa pieluch, a po drugie - o dziwo - ma sucho! Oczywiście w mieszkaniu, w którym nie ma dzieci, nie ma także nocniczka, więc z pewnym wysiłkiem skłoniła chłopca do skorzystania z sedesu. I chyba tego właśnie potrzebował, gdyż od razu przestał płakać. - Grzeczny chłopczyk - pochwaliła go Wiktoria. Wtedy podniósł ku niej buzię, jeszcze mokrą od łez, i rozczulająco się uśmiechnął. Potem porwał gąbkę i zaczął ją gryźć, ale Wiktoria cieszyła się, że przestał płakać, więc nie przeszkadzała mu w tym. Pozapinała śpioszki i sweterek, umyła mu buzię i rączki, po czym zaprowadziła z powrotem do kuchni.

Tomek zrobił siusiu! - zameldowała

Oliver nalewał sobie następnego drinka, wytrząsając ostatnie krople z butelki. W jednej ręce trzymał szklankę, a w drugiej - drewnianą łyżkę, którą mieszał owsiankę.

- Chyba jest już gotowa - stwierdził.

I rzeczywiście była. Wiktoria nalała owsianki do miseczki, wymieszała ją z mlekiem i usiadła przy stole z Tomkiem na kolanach. Okazało się, że chętnie zajął się zawartością miski. Kiedy przełknął pierwszą porcję, Wiktoria na wszelki wypadek szybko zawiązała mu na szyi ściereczkę. Niepotrzebnie, bo po chwili miseczka była pusta,

a Tomek sprawiał wrażenie, jakby chętnie pochłonał drugie tyle.

Oliver odsunął się od kuchenki i oświadczył:

- Muszę wyjść na chwilę.
- Och, nie, nie zgadzam się! - zaprotestowała Wiktoria, w strachu, że Oliver nie wróci i zostawi jej dziecko.
- Dlaczego nie?
- Nie mogę z nim zostać, bo przecież on mnie nie zna!
- Mnie też nie zna, a mimo to wygląda na zadowolonego. Najadł się tak, że ma już dość.

Oliver oparł dłonie na stole obok Wiktorii i pochylił się, aby ją pocałować. Ostatni raz zrobił to trzy lata temu i wtedy też czuła to samo - mdłości i falę gorąca. „Och, nie, tylko nie to!” - powtarzała w myśli, trzymając na kolanach chłopca, który coraz bardziej jej ciążył.

- Za jakieś pięć minut będę z powrotem - obiecał.
- Kupię tylko papierosy i butelkę wina.
- Ale wrócisz?
- Cóż za podejrzliwość! Nie bój się, wrócę. Tak łatwo się mnie nie pozbędziesz.

Nie było go dokładnie piętnaście minut. Podczas jego nieobecności Wiktoria doprowadziła do porządku salon, wyrównała poduszki, powiesiła okrycia na wieszakach i opróżniła popielniczki. Kiedy wrócił, stała w fartuszk przy zlewie i płukała sałatę.

- Gdzie jest Tomek?- spytał.
- Położyłam go na moim łóżku - odpowiedziała, nie odwracając głowy. - Pewnie zasnął, bo nie słyhać, żeby płakał.

Oliver ocenił, że od tyłu Wiktoria wygląda na bardziej nieprzejednaną. Postawił więc na podłodze torbę z zakupami i spróbował skłonić ją, aby spojrzała na niego.

- Gniewasz się? - naciskał.
- Nie, tylko jestem ostrożna.
- Ja ci wszystko wyjaśnię!
- Myślę, że nawet musisz - **powiedziała oschle i wróciła do mycia sałaty.**

- Nic ci nie powiem, jeżeli nie zechcesz mnie uważnie wysłuchać. Zostaw tę sałatę i usiądź przy mnie.

- Myślałam, że będziesz chciał coś zjeść. Robi się późno.

- Pora nie ma znaczenia. *Nasza jest noc i oprócz niej nie mamy nic.* Chodź tu i usiądź.

Okazało się, że przyniósł wino i butelkę whisky. Zanim Wiktoria odwiązała fartuszek i odwiesiła go na miejsce - zdążył już przygotować dwa drinki z kostkami lodu. Tymczasem ona przeszła do salonu i usiadła na niskim stołeczku przy kominku, plecami do paleniska. Na jej twarzy nie widać było uśmiechu, więc aby ją rozruszać, podał jej szklankę i uniósł w górę swoją.

- Za nasze spotkanie! - zaproponował toast.

Zabrzmiało to dosyć niewinnie, więc podjęła hasło. Napiła się trochę i od razu poczuła się lepiej. Teraz już łatwiej mogła strawić to, co miał jej do powiedzenia.

Oliver usiadł na wprost niej, na brzegu kanapy. Dżinsy miał artystycznie połatane, a zamszowe buty zdeptane i zaplamione. Wiktoria zastanawiała się, na co wydał zarobione pieniądze. Może je przepił, a może wynajął mieszkanie w lepszym punkcie niż Fulham Road? Przypomniała sobie wielki samochód volvo zaparkowany pod domem, a na szczupłym nadgarstku Olivera zauważyła złoty zegarek.

- Musimy porozmawiać - powtórzył.

- No to mów.

- Myślałem, że wyszłaś za męża.

- Już raz to mówiłeś, kiedy ci otworzyłam drzwi.

- Ale nie wyszłaś?

- Nie.

- A dlaczego?

- Pewnie dlatego, że nie znalazłam nikogo, za kogo chciałabym wyjść. Nie trafił się też nikt, kto chciałby się ze mną ożenić.

- Nadal malujesz?

- Nie, rzuciłam studia już po pierwszym roku, bo

okazało się, że nie byłam w tym wystarczająco zdolna. Podobno miałam pewien talent, ale za mały. Nie ma nic gorszego niż mieć „za mały talent”.

- Więc co teraz robisz?

- Pracuję w magazynie mody na Beauchamp Place.

- Niezbyt ambitne zajęcie.

- Mnie to wystarczy. - Chciała już zmienić temat. Mieli przecież rozmawiać o nim, nie o niej. - Oliverze...

On jednak nie miał ochoty odpowiadać na jej pytania - widocznie nie był jeszcze na to przygotowany. Szybko przerwał jej i zaczął z innej beczki:

- Jak było na imprezie?

Od razu zorientowała się, że próbuje odwrócić jej uwagę. Z niewinną miną wytrzymał jej spojrzenie. „Co mi tam - pomyślała. - Podobno nasza jest noc. Prędzej czy później sam mi powie”.

- Normalnie. Kupa ludzi popijających drinki, gadających o wszystkim i o niczym.

- Kto cię odwiózł do domu?

Zdziwiła się, że interesują go takie rzeczy. Potem jednak przypomniała sobie, że zawsze interesowali go ludzie, bez względu na to, czy ich znał i lubił, czy nie. Nieraz podsłuchiwał rozmowy pasażerów w autobusie. Lubił rozmawiać w barach z zupełnie obcymi ludźmi, a w restauracjach z kelnerami. Zasłyszane kwestie magazynował w swojej pamięci, aby potem wkładać je w usta bohaterów swoich utworów. Odpowiedziała więc:

- Jakiś Amerykanin.

Najwyraźniej go to zaintrygowało.

- Jaki znów Amerykanin?

- Normalny.

- To znaczy jaki? Łysy, w średnim wieku, obwieszony aparatami? Jakiś poważny gość? Powiedz, musiałaś przecie coś zauważyć!

To prawda, zauważyła niejedno. Był wysoki, choć niższy od Olivera, ale mocniejszej budowy, szerokimi barami

i płaskim brzuchem. Wyglądał, jakby w wolnych chwilach namiętnie grywał w squasha albo co rano biegał po parku w dresie i tenisówkach. Zapamiętała jego ciemne oczy i prawie czarne włosy, gęste i grube, z gatunku tych, które muszą być bardzo krótko strzyżone, bo inaczej się nie układają. Widać było, że chodził do jednego z najlepszych londyńskich fryzjerów, bo włosy przylegały mu do czaszki jak gęste futerko.

Wiktoria zapamiętała także wydatne rysy Johna, jego opaleniznę i śnieżnobiałe zęby. Pomyślała wtedy nawet: „Ciekawe, czy wszyscy Amerykanie mają takie piękne zęby?”

- Nie, to nie był nikt w tym rodzaju - odpowiedziała Oliverowi.

- A jak się nazywał?

- John... jakiś tam. Pani Fairburn niewyraźnie mi go przedstawiła.

- A on sam tego nie zrobił? To jakiś nietypowy Amerykanin. Oni zawsze mówią, kim są i co robią, zanim zdązysz ich o to zapytać.

Zaczął parodiować nowojorski akcent:

- To tak wygląda: „Cześć, jestem John Hackenbacker, spółka Zjednoczone Aluminium. Fajnie, że się poznaliśmy”.

Wiktoria musiała się uśmiechnąć, choć było jej wstyd z tego powodu. Czuła, że powinna stanąć w obronie człowieka, który odwiózł ją do domu swoim opływowym alfa romeo.

- On wcale nie jest taki. A poza tym leci jutro do Bahrajnu - dodała, jakby ten fakt miał świadczyć na korzyść Amerykanina.

- Aha, nafciarz!

- Nie mam pojęcia. - Czuła się już zmęczona tymi żartami.

- Chyba nawiązałaś z nim słaby kontakt. O czym, do licha, rozmawialiście? - W tym momencie przyszła mu do

%

głowy myśl, która go bardzo rozśmieszyła. - Już wiem, pewnie o mnie!

- Z całą pewnością nie mówiliśmy o tobie. Natomiast uważam, że ty powinienes już zacząć mówić o sobie i o Tomku.

- A co tu ma do rzeczy Tomek?

- Och, przestań się już wymigiwać!

Rozśmieszyło go jej zdenerwowanie.

- Nie jestem zbyt uprzejmy, a ty aż się skręcasz z ciekawości, prawda? No więc, już mówię. Ukradłem go.

Wiktoria musiała zaczerpnąć powietrza, bo to było gorsze, niż myślała. Dopiero głęboki wdech i wydech uspokoiły ją na tyle, że mogła zapytać:

- Komu go ukradłeś?

- Pani Archer, matce Jeannette. To znaczy, mojej byłej teściowej. Aha, ty przecież nie wiesz, że Jeannette zginęła w katastrofie samolotowej w Jugosławii. To było niedługo po urodzeniu Tomka i od tej pory opiekują się nim dziadkowie.

- A ty go przynajmniej odwiedzałeś?

- Nie, nigdy. Dzisiaj po raz pierwszy go zobaczyłem.

- Dlaczego właśnie dzisiaj?

Oliver skończył drinka, poszedł więc do kuchni i nalał sobie drugiego. Wiktoria słyszała z pokoju dźwięk otwieranej butelki, stukot wpadających do szklanki kostek lodu i szmer lejącego się płynu. Po chwili Oliver wrócił i wyciągnął się wygodniej na kanapie, wsparty na miękkich poduszkach i z nogami wyciągniętymi daleko przed siebie.

- Siedziałem cały tydzień w Bristolu - zaczął. - Teatr „Fortuna” wystawia tam moją sztukę. Musiałem popracować jeszcze nad trzecim aktem. Dziś rano, wracając do Londynu, myślałem cały czas o sztuce i nie zwracałem uwagi na drogę. Raptem uświadomiłem sobie, że jestem na szosie A-30, przy znaku sygnalizującym skręt do Woodbridge. Tam właśnie mieszkają Archerowie i w tym momencie coś kazało skrócić. To był jakby palec boży.

- Widziałeś się z panią Archer?
- Nie, akurat była w Londynie. Pewnie kupowała bieliznę pościelową u Harrodsa albo coś podobnego. Natomiast w domu była szwedzka niańka, której nie trzeba było długo namawiać, żeby zaprosiła mnie na lunch.
- Czy ona wiedziała, że jesteś ojcem Tomka?
- Nie.
- I co dalej?
- Zostawiła mnie w kuchni i poszła do sypialni po Tomka. Zjedliśmy razem lunch - taki dobry, zdrowy posiłek. Wszystko tam jest dobre, zdrowe i sterylnie czyste, jakby cały dom był jednym wielkim autoklawem. Nie mają psów, kotów ani dobrych książek do czytania. Nawet krzesła wyglądają tak, jakby nikt nigdy na nich nie siedział. Grządki w ogrodzie są wytyczone pod sznurek jak nagrobki na cmentarzu. Zdażyłem już zapomnieć, że w tym domu nigdy nie było życia.
- Ale to jest dom Tomka!
- Skoro ja się tam dusiłem, to on też by tam nie wytrzymał. Wziąłem jego książeczkę z obrazkami i znalazłem w niej dedykację: *Tomaszowi Arclwroni od babci*. To mnie całkiem dobiło, bo przecież to nie jest żaden Tomasz Archer, tylko Tomasz Dobbs! Kiedy więc ta dziewczyna poszła po wózek spacerowy złapałem chłopaka, wsadziłem do samochodu i wywiozłem.
- A Tomek nie protestował?
- Sprawiał wrażenie, jakby mu się to podobało. Po drodze zatrzymaliśmy się i poszliśmy do parku. Huśtał się, bawił w piaskownicy i głaskał jakiegoś psa. Ale zaczęło padać, więc kupiłem mu ciasteczek, wsiedliśmy do wozu i pojechaliśmy do Londynu, do mojego mieszkania.
- Nadal nie wiem, gdzie to jest.
- Tam gdzie przedtem, przy Fulham. Wiem, jeszcze u mnie nie byłaś. To nie jest prawdziwe mieszkanie, tylko pracownia w głębokiej suterenie, jak w jaskini. Umówiłem się z taką grubą babą, rodem z Indii Zachodnich, że będzie

co tydzień u mnie sprzątać, ale to nic nie daje. W każdym razie przywoziłem tam Tomka, a on zasnął na moim łóżku jak aniołek. Zadzwoiłem wtedy do Archerów...

Przyszło mu to całkiem łatwo. Najwidoczniej tchórzostwo nie leżało w jego naturze. Natomiast Wiktorii zrobiło się słabo na samą myśl o tym.

- No, wiesz... - zaczęła.

- Miałem prawo tak postąpić. W końcu to jest mój syn.

- Ale pani Archer odchodzi od zmysłów z rozpacz!

- Powiedziałem tej szwedzkiej służącej, jak się nazywam, więc pani Archer wie, że mały jest u mnie.

- Ależ...

- Zaczynasz mówić całkiem jak moja teściowa. Tak jakbym miał złe intencje, chciał zrobić dziecku krzywdę, może nawet roztrzaskać mu główkę o mur?

- Dobrze wiesz, że nic takiego nie miałam na myśli. Po prostu żał mi jej.

- No więc niech ci nie będzie jej żal.

- Ona na pewno chciałyby, żeby wrócił.

- Chcieć to może, ale powiedziałem jej, że na razie Tomek zostanie u mnie.

- Ale czy masz do tego prawo? Czy ona nie naśle na ciebie policji, adwokatów, a może nawet sędziów Sądu Najwyższego?

- Oczywiście, groziła mi sprawą sądową, kuratorem i Bóg wie czym jeszcze. Ale nikt mi nic nie zrobi, bo jestem jego ojcem, a nie żadnym kryminalistą. Nie pozbawiono mnie praw rodzicielskich, prawda?

- Ale przecież ty nie możesz się nim zająć!

- Dlaczego nie, jeśli zapewnię mu właściwe warunki?

- W tej suterenie na Fulham?

Zapadła długa chwila ciszy, podczas której Oliver, głęboko się nad czymś zastanawiając, zdusił papierosa w popielniczkę.

- Właśnie dlatego przyjechałem tutaj - wykrztusił w końcu.

Ach, więc o to chodziło! Nareszcie wyłożył karty na stół. To dlatego przypomniał sobie o niej!

- Przynajmniej szczerze! - nie wytrzymała.

- Zawsze jestem szczerzy! - obruszył się Oliver.

- I pewnie chcesz, żebym zaopiekowała się Tomkiem?

- Moglibyśmy opiekować się nim razem. Chyba nie chciałaś, żeby żył w tej zatęchłej dziurze?

- Ale ja nie mogę się nim zająć.

- Dlaczego?

- Nie mam czasu, przecież pracuję. Poza tym tu nie ma miejsca dla dziecka.

- I pewnie boisz się, co powiedzą sąsiedzi, prawda?

- dodał ironicznie.

- Sąsiedzi nie mają tu nic do rzeczy.

- Mogłabyś powiedzieć, że jestem twoim kuzynem z Australii, a Tomek to moje tubylcze dziecko.

- Przestań się wygłupiać, bo to wcale nie jest śmieszne. Wykradłeś dziecko i nie mam pojęcia, dlaczego jeszcze nie zapłakało się na śmierć. Pani Archer na pewno szaleje z niepokoju, lada chwila możemy mieć na karku policję, a ciebie nie stać na nic innego tylko na kiepskie dowcipy!

Rysy jego twarzy ściągnęły się.

- Jeżeli tak to widzisz, zabieram dziecko i idę sobie.

- No, coś ty, skądże! Chciałabym tylko, żebyś był rozsądny!

Już jestem rozsądny. Popatrz, zrobiłem najpoważniejszą minę, na jaką mnie stać!

Wiktorii wcale to nie śmieszyło.

- No już dobrze, nie gniewaj się. Gdybym przypuszczała, że cię rozgniewam, nie przyjeżdżałbym tu.

- Nadal nie wiem, dlaczego przyjechałaś.

- Ponieważ wydawało mi się, że ty jedna możesz mi pomóc. Miałem zamiar najpierw zadzwonić, ale wyobraziłem sobie, że ktoś obcy albo, co gorsza, twój mąż podnosi słuchawkę. I co miałbym wtedy powiedzieć? „Tu mówi Oliver Dobbs, znany pisarz i dramaturg. Czy pańska

żona mogłaby zająć się moim dzieckiem? Dałoby się to załatwić?"

- A co byś zrobił, gdybyś mnie nie zastał?

- Nie wiem, pewnie pomyślałbym o innym rozwiązaniu. Ale na pewno nie odwiózłbym Tomka do Archerów.

- Może będziesz musiał, bo nie dasz rady sam się nim zająć.

Nie zważając na jej słowa, Oliver wystąpił ze swoją sugestią:

- Mam pewien plan. Wprawdzie Archerowie nie mają do tego prawa, ale mogą uprzykrzyć nam życie. Powinniśmy na jakiś czas wyjechać z Londynu. Z tą moją sztuką, którą mają wystawić w Bristolu, zrobiłem już wszystko, co mogłem. W poniedziałek premiera, a reszta i tak jest w rękach krytyków i publiczności. Moglibyśmy pojechać gdzieś do Walii, północnej Szkocji albo do Kornwalii przywitać wiosnę...

Wiktoria patrzyła na niego z niedowierzaniem, zaszkokowana i oburzona. Czy on sobie wyobraża - o ile w ogóle ma wyobraźnię - że ona nie ma za grosz godności? Czyżby nie zdawał sobie sprawy, jak głęboko ją wówczas zranił? Trzy lata temu wtargnął w jej życie, zburzył w gruzy cały dotychczasowy ład, a potem ulotnił się, pozostawiając ją samą, aby mogła się pozbierać. Przypomniwał sobie o niej dopiero wtedy, kiedy była mu potrzebna do opieki nad jego dzieckiem. I po tym wszystkim ma czelność siedzieć tu i w najlepsze snuć plany, kusząc ją pięknymi słówkami, jakby był pewien, że złamanie jej oporu jest tylko kwestią czasu.

- ...o tej porze nie ma tam jeszcze turystów, szosy są puste. Nie trzeba rezerwować miejsc w hotelach, bo wszędzie czekają na klientów...

Wabił Wiktorię ponętną wizją beztroskiego życia nad błękitną taflą morza, wśród łąk żółtych od żonkili. Słuchała, nie posiadając się ze zdumienia nad jego bezbrzeżnym egoizmem. Porwał swojego syna, bo taką miał

fanaberię. Zatrzyma go, póki mu się nie znudzi. Potrzebował kogoś do opieki nad nim - znalazła się Wiktoria. Wszystko pasowało, jak we wzorze matematycznym.

Oliver przerwał swoje wywody z rozjaśnioną twarzą, jakby nie było żadnych przeszkód w realizacji jego programu. Wiktoria nie mogła się powstrzymać, żeby nie zapytać z prostej ciekawości:

- Powiedz prawdę, dlaczego pomyślałeś właśnie o mnie?
- Pewnie dlatego, że jesteś taka, jaka jesteś.
- To znaczy: głupia?
- Wcale nie mówię, że głupia.
- Więc taka, co to wszystko wybaczy?
- Ty nie umiałabyś być zawzięta. To zupełnie nie w twoim stylu. Zresztą było nam chyba dobrze razem. I widzę, że cieszysz się z mojego powrotu, bo inaczej nie wpuściłabyś mnie pod swój dach.
- Oliverze, nie wszystkie urazy są widoczne.
- Co masz na myśli?
- To, że kochałam cię i ty wiedziałeś o tym.
- A ty wiedziałeś - przypomniał jej - że ja po prostu nie potrafię kochać nikogo.
- Oprócz siebie.
- Może jeszcze tego, co robię.
- Zrozum, nie chciałabym zostać porzucona po raz drugi. Nie mam ochoty powtórnie przeżyć rozczarowania.
- To brzmi zdecydowanie! - Lekki uśmiech wykrzywił mu usta.
- Nie mam zamiaru nigdzie z tobą jechać.

Nie odpowiedział od razu, ale też nie spuszczał oczu z jej twarzy. Na zewnątrz wiatr kołatał ramą okienną, słysząc było zapuszczanie silnika samochodu, dziewczęcy głos wołający kogoś i oddalone odgłosy ruchu ulicznego.

- Nie możesz przejść przez życie unikając rozczarowań - perorował. - Jeśli będziesz próbować czegoś takiego, to odwrócisz się w ogóle od ludzi.
- Miałam na myśli, że nie chciałabym drugi raz przeżyć

rozzarowania z twojego powodu - sprecyzowała. - Jesteś specjalistą od takich rzeczy.

- Czy to jedyny powód, dla którego nie chcesz ze mną jechać?

- Myślę, że wystarczający, ale nie jedyny. Przemawiają przeciw temu względy praktyczne, chociażby moja praca...

- Sprzedawanie ciuchów jakimś durnym babom? Wielka rzecz! Zadzwoń do szefowej i wymyśl jakąś wymówkę, na przykład, że ci babcia umarła. Albo że masz dziecko. To akurat będzie prawda. A jeszcze lepiej - w ogóle się zwolnij. Mam teraz pieniądze, będę mógł zadbać o ciebie.

- Już kiedyś to obiecywałeś, a potem zniknąłeś.

- Pamiętliwa jesteś!

- Pewnych rzeczy się nie zapomina.

Zegar na gzymsie kominka wydzwonił jedenastą. Wiktoria wstała i odstawiła szklankę na półkę obok zegara. W lustrze na ścianie zobaczyła wpatrującego się w nią Olivera.

- A może się boisz? próbował odgadnąć przyczyny jej odmowy.

- Owszem.

- Mnie czy siebie samej?

- I jedno, i drugie. Odwróciła się od lustra. - Lepiej coś zjedzmy.

Zaimprovizowany posiłek przeciągnął się do północy. Wiktoria była już taka zmęczona, że nie miała siły zebrać ze stołu i pozmywać naczyń. Oliver nalał sobie reszkę wina i sięgnął po następnego papierosa, najwidoczniej zamierzając zostać na noc.

- Ja już kładę się spać - oświadczyła Wiktoria, wstając od stołu i wsuwając krzesło na miejsce.

- Taka jesteś nietowarzyska? - Był tym nieco zaskoczony.

- Może i jestem, ale jeśli się zaraz nie położę, to zasnę na stojąco.

- A co ja mam robić?

- Nic.
- Muszę wiedzieć - *zaczął* jej cierpliwie tłumaczyć - czy chcesz, żebym wrócił na Fulham, czy spędził noc w samochodzie. A może powinienem obudzić Tomka, zabrać go i nie pokazywać się tu więcej? Powiedz, co mam według ciebie zrobić.
- Tomek śpi, więc nie możesz go zabrać.
- To może zostawię go tutaj, a sam pojadę do siebie?
- O, nie! Obudzi się w nocy i będzie płakać.
- No więc zostanę tutaj - oświadczył z miną człowieka, który zgadza się na wszystko bez względu na koszty.
- Gdzie mam spać? Na kanapie czy pod drzwiami twojej sypialni, jak wierny pies albo niewolnik?

Wiktoria nie dostosowała się do jego żartobliwego tonu.

- W garderobie jest kozetka - oświadczyła. - Pełno tam walizek i strojów mojej mamy, ale będzie ci wygodniej niż na kanapie. Pościelę ci.

Zostawiła go samego z papierosem, szklanką wina i stołem brudnych naczyń. W ciasnej garderobie odszukała koc i poduszkę. Usunęła z kozetki stertę pudeł z różnymi fatałaszkami i zasłała ją świeżą pościelą. W pokoju czuć było stęchlizną i naftaliną, pewno stare futro matki wydzielało ten zapach. Otworzyła więc szeroko okno, aż chłodny wiatr zatrzepotał firankami.

Z kuchni dobiegał brzęk naczyń. Pewnie Oliver zbiera talerze ze stołu. Może nawet zmywa. Zaskoczyło to Wiktorię, gdyż przedtem niezbyt palił się do prac domowych. Wzbudziło to w niej ciepłe uczucia do tego stopnia, że mimo zmęczenia miała ochotę wrócić tam i pomóc mu. Nie zrobiła tego jednak, gdyż wtedy nie byłoby końca rozmowie i Oliver znów próbowałby ją przekonać, żeby wyjechała w nieznanne z nim i Tomkiem. Zdecydowała więc, że zostawi wszystko tak jak jest i poszła do sypialni.

Lampka na nocnym stoliku oświetlała Tomka śpiącego na połówce podwójnego łóżka, z jednym ramionkiem odrzuconym do tyłu i wielkim palcem w buzi. Wiktoria

rozebrała go do koszulki i majteczek. Poskładane w kostkę ubranko położyła na krześle, a buciki i skarpetki na podłodze. Delikatnie wzięła śpiącego chłopca w ramiona, czując jego ciężar, ciepło i miękkość. Zniosła go do łazienki i posadziła na sedesie, namawiając, aby się załatwił. Zrobił siusiu na wpół śpiąc, ze zwisającą bezwładnie głową i kciukiem w ustach. Kiedy Wiktoria zniosła go z powrotem do łóżka - westchnął z ulgą i spał dalej. Wiktoria modliła się, żeby tak spał do rana.

Nadsłuchiwała odgłosów, które wskazywały, że Oliver skończył zmywanie i przeszedł do saloniku. Próbował dokąś się dodzwonić - tylko on mógł telefonować do kogoś o północy! Wiktoria rozebrała się, wyszczotkowała włosy, nałożyła nocną koszulę i ostrożnie wśliznęła się do łóżka. Tomek nawet się nie poruszył. Leżała na plecach i patrzyła w sufit, potem zamknęła oczy w nadziei, że zaśnie. Jednak sen nie przychodził, pewnie dlatego, że w jej mózgu kłębiły się różne myśli i wspomnienia. Oliver wprowadził Wiktorię w stan podniecenia. Denerwowało ją to, gdyż było to ostatnie uczucie, jakiego chciałyby teraz doznawać. W odruchu desperacji otworzyła oczy i sięgnęła po książkę, licząc na to, że lektura zmieni tok jej myśli, co pozwoli jej zasnąć.

Oliver wprawdzie przestał telefonować, ale włączył telewizor. Na szczęście o tej porze kończyła się już większość programów. Wiktoria słyszała, jak kręci się po pokoju, gasi światło, a potem idzie do łazienki. Odłożyła książkę, gdy posłyszała zbliżające się kroki. Klamka poruszyła się i w otwartych drzwiach ukazała się wysoka sylwetka.

- Nie śpisz? - spytał Oliver.
- Jeszcze nie.

Mówili przyciszonym głosem, żeby nie obudzić dziecka. Nie zamykając drzwi, Oliver podszedł do łóżka i usiadł na brzegu.

- Ja tylko tak, nic ważnego - usprawiedliwiał się.
- Masz już przygotowane łóżko.

- Wiem, widziałem.

Najwyraźniej nie zamierzał się ruszyć.

- To co zrobisz z Tomkiem? - zapytała.

- O tym pomyślę jutro - obiecał z uśmiechem. Zerknął na książkę i zagadnął: - Co czytasz?

Wiktoria odwróciła książkę okładką ku niemu, żeby mógł odczytać tytuł.

- To jedna z takich książek, do których się wraca - wyjaśniła. - Zaglądam do niej mniej więcej raz do roku i wtedy czuję się, jakbym spotkała starego znajomego.

- „Wiek orłów” - odczytał na głos Oliver.

- Czytałeś to?

- Może i czytałem.

- Autor nazywa się Roddy Dunbeath. To właściwie jego autobiografia. Wspomina dzieciństwo w Szkocji przed wojną. Wychowywał się razem z braćmi w pięknym majątku Benchoile.

Podczas gdy mówiła, Oliver położył rękę na jej nadgarstku. Uchwyt jego palców był ciepły i mocny, lecz ich pieszczota łagodna.

- To było gdzieś w Sutherland - ciągnęła Wiktoria.

- Majątek był zewsząd otoczony górami. Mieli nawet własne jezioro. Roddy miał oswojonego sokoła, który wybierał mu jedzenie z ust...

W tym czasie Oliver przesuwiał swą dłoń coraz wyżej po jej nagim ramieniu, uciskając lekko, jakby masował czyjąś bezwładną kończynę.

- ...oswojoną kaczkę i psa, który nazywał się Bertie i lubił jabłka.

- Ja też lubię jabłka - wpadł jej w słowo Oliver.

Odgarnął długie pasmo włosów z szyi Wiktorii, a ona poczuła, jak serce zaczyna jej mocniej bić. Pod dotykiem jego rąk czuła alarmujące mrowienie. Rozpaczliwie próbowała zagłuszyć instynkt i przywołać rozsądek.

- Był tam też wodospad - opowiadała dalej - przy którym lubili urządzać pikniki. Plażę przecinał strumyk,

a po pagórkach hasały jelenie. Autor nazywa ten wodospad sercem Benchoile...

Oliver zamknął jej usta pocałunkiem. Wiktoria zdała sobie sprawę, że wcale nie słuchał jej opowiadania. Odsunął koc, którym była przykryta, podłożył ręce pod jej plecy i zaczął wodzić wargami od jej ust przez policzek aż po zgięcie szyi.

- Oliver! - wypowiedziała bezdźwięcznym głosem jego imię. Ponieważ ją odkrył - zrobiło się jej zimno, lecz zaraz ogrzał ją ciepłem swego ciała. Pobudził przy tym drzemiące w niej od dawna popędy. „Och, nie, tylko nie to!” - pomyślała i próbowała odepchnąć go, ale był oczywiście o wiele od niej silniejszy, toteż jej opór na nic się nie zdał.

- Oliverze, nie!

Nie wymówiła już głośno tych słów, bo Oliver, jakby nigdy nic, rozpoczął delikatną grę miłosną. Tak się jakoś stało, że i jej ręce ześliznęły się z jego ramion, zawędrowały pod marynarkę i oplotły się wokół pleców. Pachniał czystością i świeżością, tak jakby jego bielizna suszyła się na wolnym powietrzu. Przez cienką bawełnę koszuli wyczuwała żebra i mięśnie prężące się pod skórą. Usłyszała, jak mówił:

- No, nareszcie przestałaś udawać!

Resztką zdrowego rozsądku wyszeptwała:

- Oliverze, uważaj, przecież Tomek...

- Zaraz coś z tym zrobimy - obiecał z tłumionym śmiechem i wziął ją na ręce z taką łatwością, z jaką podnosił swego synka. Poczuła się jak w stanie nieważkości. Ściany zawirowały wokół niej, gdy Oliwer niósł ją do ciemnej garderoby, w której przygotowała łóżko dla niego. Pachniało tam kamforą, a kozetka była twarda i wąska, szeleściły poruszane łagodnym powiewem firanki, a nakrochmalona poszewka poduszki była przyjemnie chłodna.

W kierunku jego ukrytej w mroku twarzy Wiktoria wypowiedziała słowa:

- Nigdy nie przypuszczałam, że do tego dojdzie.

- A ja wiedziałem, że tak - odparł Oliver.

Powinna się rozgniewać, ale było już na to za późno.

Poza tym ona też chciała, by do tego doszło.

Kiedy zegar w salonie wydzwonił drugą nad ranem, Oliver dzwignął się na łokciu i przechylił nad Wiktoria, aby z kieszeni marynarki wyjąć papierosy. Płomyk zapalniczki na chwilę oświetlił pokój, a potem w ciemności migotał już tylko ogieniek papierosa.

Wiktoria leżała, opierając głowę o jego nagie ramię.

- Może zaczniemy układać plany? - zaproponował.

- Jakie plany?

- No, co będziemy robić. Ty, ja i Tomek.

- To ja niby jadę z wami?

- Tak.

- A powiedziałam, że jadę?

Oliver roześmiał się i pocałował ją, odpowiadając za nią:

- Tak!

- Słuchaj, ja naprawdę nie chciałabym przeżyć drugi raz tego samego.

- Nie możesz ciągle się bać. To nic strasznego, tylko takie małe wakacje, z dala od ludzi, pełne radości i miłości.

Wiktoria nic na to nie odpowiedziała. W głowie miała zamęt. Wiedziała tylko tyle, że jutro albo pojutrze wyjeżdża z Oliverem. Wyszło na to, że znowu się zaangażowała. Może tym razem z lepszym skutkiem. On mógł się przecież zmienić, bo wszystko się zmienia. Jeżeli był w stanie tak pokochać Tomka, to niewykluczone, że potrafi wykrzesać równie ciepłe uczucia także dla niej. Może będzie już zdolny związać się z kimś na stałe... Tak czy siak, kości zostały rzucone. Wiktoria zdała sobie sprawę, że nie ma już odwrotu.

Westchnęła głęboko, ale oznaczało to raczej, że czuje się niepewnie, a nie, że jest nieszczęśliwa.

- To dokąd pojedziemy? - zapytała wprost.

- Dokąd zechcesz. Nie ma tu jakiejś popielniczki?

Wiktoria pamiętała, że kiedyś popielniczka stała na nocnej szafce, więc sięgnęła po nią.

- Jak się nazywał majątek... - mówił dalej Oliver - opisany w tej książce, którą mi streszczałaś, kiedy tak i chciałaś, i bałaś się kochać ze mną?

- Benchoile.

- Chciałabyś tam pojechać?

- Co z tego, kiedy nie możemy.

- Dlaczego nie?

- Przecież to nie hotel, nie znamy tych ludzi, żeby do nich ot, tak sobie, przyjechać.

- A może ja ich znam?

- Kogo?

- Roddy'ego Dunbeatha. Poznałem go jakieś dwa lata temu na bankiecie z okazji wręczenia nagród telewizji. On dostał nagrodę za swoją ostatnią książkę, a mnie obdarowali jakąś bezwartościową statuetką za scenariusz do filmu o Sewilli. Siedzieliśmy na tym bankiecie zdani na własne towarzystwo, bo wokół kręciły się tylko jakieś głupkowate aktoreczki albo drapieżni agenci. Pod koniec wieczoru byliśmy już przyjaciółmi i Roddy dał mi bezterminowe zaproszenie do Benchoile. Dotychczas nie skorzystałem, ale gdybyś chciała właśnie tam pojechać, mamy dobry pretekst.

- Mówisz poważnie?

- Jak najbardziej.

- A nie wydaje ci się, że to było tylko zdawkowe zaproszenie? Ludzie nieraz z grzeczności mówią takie rzeczy pod koniec miłego wieczoru, a potem zapominają albo do końca życia żałują.

- Nie w tym przypadku. Roddy mówił to absolutnie poważnie. Dał mi nawet swoją staroświecką wizytówkę. Mogę ją odszukać i zadzwonić do niego.

- Ale czy on cię jeszcze pamięta?

- Oczywiście. Powiem mu, że wraz z moją żoną i dzieckiem chcielibyśmy zatrzymać się u niego kilka dni.

- Nie jestem twoją żoną.
- To powiem, że z kochanką i z dzieckiem. On się na pewno ucieszy. Polubisz go, zobaczysz. To taki dobroduszny grubas i pijaczyna w typie Gargantui. Przynajmniej takie sprawił na mnie wrażenie. Musisz wiedzieć, że Roddy Dunbeath po pijanemu jest dziesięć razy sympatyczniejszy niż niejeden facet na trzeźwo.

- A długo trzeba jechać do tego Sutherland?

- Będziemy jechać etapami. Nie musimy się spieszyć, mamy masę czasu.

Zdusił papierosa i ponownie pochylił się nad Wiktoria, tym razem po to, aby odstawić popielniczkę na podłogę. Wiktoria zdała sobie sprawę, że uśmiecha się w ciemności.

- Wiesz - szepnęła - wydaje mi się, że pojedę do Benchoile chętniej niż gdziekolwiek indziej.

- Zyskasz na tym jeszcze więcej, bo pojedziesz do Benchoile ze mną.

- I z Tomkiem!

- Tak, pojedziesz do Benchoile ze mną i z Tomkiem.

- Nie mogę sobie wyobrazić nic wspanialszego.

Oliver delikatnie położył dłoń na jej brzuchu, a potem powoli przesunął ją w górę, aż zamknął w ręku jej drobną, nagą pierś.

- A ja mogę! - oświadczył.

V

Niedziela

W połowie lutego nastąpiło ochłodzenie. W Boże Narodzenie była słoneczna pogoda, na Nowy Rok - bezwietrznie i łagodnie. Przez prawie całą zimę padały deszcze i tylko od czasu do czasu chwycił lekki mroźnik. Ludzie nie znający się na rzeczy cieszyli się, że zima przejdzie bokiem. Jednak starzy górale i pasterze wiedzieli lepiej - że najgorsze jeszcze przed nimi. Z wyglądu nieba i po zapachu wiatru odgadywali, że zima tylko się przyczaiła i czeka na odpowiedni moment, żeby zaatakować.

Prawdziwe mrozy zaczęły się na początku lutego. Najpierw padał deszcz ze śniegiem, potem śnieg, a na końcu rozszalały się zawieje i zamiecie. „Chyba prosto z Uralu” - zwykł mawiać Roddy Dunbeath, słuchając wycia wiatru. Toń morska przybrała ponurą szarą barwę, a spienione bałwany zalewały plaże Creagan, zostawiając wraz z falą odpływu puszki po konserwach, porwane sieci, kawałki lin, plastikowe butelki po detergentach, łyse opony, wykrzywione buty.

Na ciemnym zimowym niebie zacierały się kontury wzgórz. Śnieg tworzył zaspę i za wiewał drogi. Owce, pokryte grubym runem, dobrze znosiły zimno, natomiast bydło szukało osłony. Farmerzy musieli dwa razy dziennie dowozić zwierzętom paszę.

Mieszkańcy tych okolic byli przyzwyczajeni do ostrych zim i znosili je ze stoickim spokojem. Położone wyżej

działki i samotne farmy zostały odcięte od świata. Jednak tamtejsze domy miały grube ściany, a zapasy torfu na opał, żywności i paszy dla inwentarza były wystarczające, toteż życie toczyło się zwyczajnie. Czerwona pocztowa ciężarówka kursowała regularnie do najodleglejszych dolin, a dzielne gospodynie, zakutane w kilka swetrów, wychodziły na dwór karmić kury lub wieszać upraną bieliznę.

* * *

Była niedziela i w kościele rozbrzmiewał psalm:

*Pan mym pasterzem,
nie brak mi niczego...*

Kaloryfery były ledwo letnie, a przeciągi hulały na całego. Z całej wspólnoty parafialnej została na porannej mszy, wskutek złej pogody, tylko garstka. Nieliczni, śpiewając ostatni psalm, z samozaparciem próbowali przetrząść szum wiatru.

Jock Dunbeath, sam jeden w kolatorskiej ławce, reprezentował majątek Benchoile. Trzymał w dłoniach psalterz, lecz nie zaglądał do niego. Po pierwsze dlatego, że śpiewał ten psalm przez całe życie i znał go na pamięć, a po drugie - zapomniał wziąć z domu okularów.

Jego wierna gospodyni Ellen zrzędziła:

- Chyba pan oszalał, żeby w taką pogodę jechać do kościoła! Wszystkie drogi zawiane. Może wstąpiłby pan do Daveya, żeby pana podwiózł?

- Davey i bez tego ma dosyć roboty.

- A nie wystarczyłoby usiąść sobie przy kominku i posłuchać mszy przez radio?

Jock jednak nie dał się przekonać, więc Ellen tylko westchnęła, wzniosła oczy do nieba i wygłosiła ostrzeżenie:

- Tylko proszę nie mieć do mnie pretensji, jeśli pan po drodze utknie w zaspie.

Podniecała ją sama myśl o możliwości takiego obrotu

sprawy. Nieszczęścia, przydarzające się innym, ubarwiały monotonne życie Ellen. Dzięki nim miała tę satysfakcję, że zawsze mogła powiedzieć: „A nie mówiłam?” Jock tak się zdenerwował tą dyskusją, że wyszedł czym prędzej z domu, i w pośpiechu zapomniał okularów, a był zbyt uparty, aby po nie wrócić. Starym landroverem wygrzebał się jakoś z doliny i dotarł bezpiecznie do kościoła. Wprawdzie zmarzył i bez okularów słabo widział, ale miał satysfakcję, że dopiął swego.

Przez całe życie, z wyjątkiem przypadków choroby, wojny lub innych nadzwyczajnych wydarzeń, regularnie co niedziela uczęszczał do kościoła. Jako dziecko chodził na msze, bo rodzice mu kazali; jako żołnierz - bo potrzebował pociechy duchowej; jako dziedzic na Benchoile - bo wypadało, żeby kultywował tradycję i świecił przykładem. Natomiast teraz, w starszym wieku, uczestnictwo w praktykach religijnych dawało mu komfort psychiczny i poczucie bezpieczeństwa. Stary kościół, słowa liturgii i melodie psalmów były tymi nielicznymi elementami jego życia, które nie ulegały żadnym zmianom - a teraz, pod koniec drogi, tylko wiara mu została.

*Dobroć i miłosierdzie będą ze mną
do końca dni moich...
aż zamieszkać w domu Pana!*

Jock zamknął psałterz, z pochyloną głową przyjął błogosławieństwo, wziął swoje rękawice i tweedową czapkę, zapiął palto, owinał szyję szalem i skierował się ku wyjściu.

- Dzień dobry panu! - usłyszał znajomy głos.

W tym kościele panowała swobodna atmosfera, ludzie mówili do siebie normalnym głosem, a nie namaszczoneym szepem, jakby w pokoju obok leżał nieboszczyk.

- Cóż za fatalna pogoda! Witam, pułkowniku, jak sytuacja na drogach? To bardzo ładnie z pana strony, że w taki dzień wybrał się pan do kościoła!

Stał za nim pastor, wielebny Christie. Był dobrze

zbudowanym mężczyzną o barach zawodowego gracza w rugby, ale Jock przewyższał go o pół głowy.

- Sądziłem, że mało kto dzisiaj przyjdzie. Cieszę się, że mnie się udało.

- A ja myślałem, że Benchoile jest odcięte od świata.

- Telefon nie działa, musi być gdzieś awaria na linii. Na szczęście landrover jest sprawny.

- Taki nieprzyjemny dzień! Może wstąpiłby pan do nas na szklaneczkę sherry?

Pastor był bardzo dobrym człowiekiem, a jego żona - życzliwa i gościnna. Jock wyobraził sobie przytulny salonik na plebanii, fotel, który dla niego postawiono by przy kominku, i unoszący się w powietrzu zapach niedzielnej pieczeni baraniej. Pastorstwu zawsze dobrze się powodziło. Jock pomyślał o ciemnym, słodkim i rozgrzewającym sherry i miłym towarzystwie pani Christie. Wizja była kusząca, głośno jednak powiedział:

- Nie, dziękuję. Wolę być w domu, zanim pogoda się popsuje. Ellen niepokoiłaby się o mnie. No, i gdyby policjant miał mnie znaleźć zamrożonego w zaspie, to lepiej, żeby nie wyczuł ode mnie alkoholu.

- Tak, rozumiem.

Życzliwa mina i rubaszny ton głosu pastora maskowały jego rzeczywistą intencję. Zaniepokoiło go, że Jock usiadł dziś samotnie w swojej ławce. Większość wiernych stłoczyła się w tyle kościoła, podczas gdy pan dziedzic siedział sam jak wyrzutek społeczeństwa. Poza tym chyba się postarzał. Po raz pierwszy wielebny Christie zauważył, że jego parafianin wygląda na bardzo starego człowieka. Tweedowe ubranie zwisało luźno na tyczkowej figurze pułkownika, palce u rąk miał czerwone i spuchnięte od mrozu, a kołnierzyk koszuli zdawał się za luźny. A kiedy sięgał po psałterz lub funta na tacę, jego ruchy były zwolnione.

Ile Jock Dunbeath mógł mieć lat? Sześćdziesiąt osiem czy dziewięć? Jak na dzisiejsze czasy, nie był stary. W tych

stronach mężczyźni jeszcze po osiemdziesiątce bywali żywotni i aktywni - pracowali w ogródkach, hodowali kury i co wieczór człapali do gospody na kieliszeczek. Jednak zeszłego lata Jock przeszedł lekki zawał i od tej pory wyraźnie się posunął.

Co można było dla niego zrobić? Gdyby był zwykłym mieszkańcem wioski, wielebny Christie mógłby go od czasu do czasu odwiedzić, przynieść bułeczki wypieku swojej żony czy zaproponować narąbanie drewek na podpałkę. Jock nie był jednak zwykłym wieśniakiem, ale podpułkownikiem Rathbone Dunbeath, weteranem pułku strzelców szkockich, sędzią pokoju i dziedzicem na Benchoile. Był może stary i samotny, ale przede wszystkim dumny. Posiadał wielki dom i majątek o powierzchni około pięciu tysięcy hektarów, z gruntami ornymi, pastwiskami dla tysiąca owiec, terenami łowieckimi i rybnymi rzekami. Jeżeli dom był zapuszczony, a właściciel nosił koszule z wystrzępionymi kołnierzykami, to nie dlatego, że był biedny. Był bezdzietnym wdowcem, a stara Ellen Tarbat, prowadząca dom Jockowi i jego bratu Roddy'emu, nie dawała już sobie rady. No i czasem starszy pan sprawiał wrażenie, jakby ogarnęło go zniechęcenie.

Pastor zastanawiał się nad wyborem jakiegoś zręcznego zwrotu, który pomógłby mu kontynuować rozmowę. Nie mógł spytać o zdrowie rodziny, gdyż Jock poza Roddym nie miał nikogo. „Nie mam innego wyjścia” - pomyślał duchowny i zadał sztamkowe pytanie:

- A jak zdrówko szanownego braciszka? Czy ciągle tak świetnie zakonserwowany?

- Ksiądz mówi o nim jak o beczce śledzi! - żartobliwie zaprotestował Jock. - Wydaje mi się, że wszystko u niego w porządku, ale rzadko się widzimy. Każdy z nas ma swój dom i tylko w niedzielę jemy razem lunch. To ma swoje zalety.

Wielebny Christie próbował sobie wyobrazić, o czym też dwaj starsi panowie rozmawiają w czasie lunchu. Nigdy

jeszcze nie widział rodzonych braci, którzy by tak dalece różnili się od siebie. Jeden był powściągliwy, a drugi wylewny. Roddy był pisarzem, artystą i uroczym gawędziarzem. Książki napisane przez niego, nawet dwadzieścia lub więcej lat temu, były wciąż wznawiane. Broszurowe wydania stale można było dostać w kioskach na dworcach lub w wiejskich sklepach na najbardziej zapadłej prowincji. Notki redakcyjne na ostatniej stronie okładki, pod zdjęciem Roddy'ego sprzed trzydziestu lat, podkreślały, że powieści te: *W klasycznym stylu oddają atmosferę bezpowrotnie minionej przeszłości. (...) Roddy Dunbeath dobrze zna swoją Szkocję i opisuje ją w sposób świeży i naturalny.*

Roddy chadzał do kościoła tylko na Boże Narodzenie, Wielkanoc lub na pogrzeby. Nie wiadomo, czy wynikało to z jego przekonań czy z wrodzonego lenistwa. Na wsi też pojawiał się rzadko; zakupy robiła mu żona owczarza, Jess Guthrie. Kiedy sklepikarz, dokładając do kartonu z produktami dwie butelki piwa, dyskretnie podpytywał: „A jak się czuje pan Roddy?” - Jess odpowiadała wymijająco: „Nieźle”, co mogło oznaczać wszystko i nic.

- Nad czym brat teraz pracuje? - chciał wiedzieć pastor.

- Wspominał coś o artykule dla „Rolnika Szkockiego”, ale tak naprawdę, to nie wiem - wyznał Jock, przyglądając niepewną ręką rzędniejące siwe włosy. - On niechętnie mówi o swojej pracy.

Człowiek mniejszego formatu dawno by się zniechęcił, ale wielbny Christie twardo naciskał, usiłując wydobyć z Jocka jakieś zwierzenia. Tym razem zagadnął o trzeciego z braci Dunbeath:

- A co porabia Charlie?

- Dostałem od niego kartkę na święta. Był wtedy z Zuzanną na nartach w Aspen. Ksiądz wie, to w stanie Kolorado - dodał, jakby pastor mógł tego nie wiedzieć.

- A czy John był tam z nimi?

Jock wbił swoje wyblakłe i zażawione od mrozu oczy w jakiś odległy punkt nad głową pastora i milczał chwilę.

- John nie pracuje już w Nowym Jorku - wydusił wreszcie. - Jego bank wysłał go do swojej londyńskiej filii. Jest tam chyba od pół roku albo i dłużej.

- Ależ to wspaniale!

Kościół prawie całkiem opustoszał. Obaj mężczyźni wolnym krokiem przeszli wzdłuż nawy w stronę głównego wyjścia.

- Pewnie, że to dobre dla Johna - Jock przyznał rację pastorowi. - Pnie się w górę. Zanim się obejrzymy, zostanie prezydentem... Oczywiście nie Stanów Zjednoczonych, tylko spółki bankowej!

Wielebny Christie nie dał się jednak zbić z tropu tym niewinnym żarcikiem.

- Nie o to mi chodziło, synu. Skoro mieszka teraz w Londynie, mógłby przyjechać do Sutherland, żeby spędzić kilka dni z wami.

Jock stanął jak wryty i oczy zwięzły mu się ze złości. Napięty i czujny, przypominał starego orła. Pod jego przenikliwym spojrzeniem wielebny Christie zaczął się wycofywać.

- Tylko rzuciłem taki pomysł. Myślę, że przydałoby się wam towarzystwo kogoś młodszego. - W duchu zaś dodał: „i kogoś, kto by się wami zajął”, a na głos powiedział: - John nie był tu chyba od dziesięciu lat.

- Zgadza się, od dziesięciu lat - powtórzył Jock, ruszając wolno dalej. - Miał wtedy osiemnaście.

Powiedział to jakby do siebie. Pastor taktownie milczał i dobrze zrobił, gdyż usłyszał dalsze wynurzenia Jocka:

- Kiedyś napisałem do niego. Proponowałem, żeby przyjechał w lecie. Wiem, że nie interesuje go polowanie na pardwy, ale mógłby chodzić na ryby.

- Jestem pewien, że nie potrzeba mu aż takiej zachęty.

- Dotychczas jeszcze mi nie odpisał.

- Musisz dać mu trochę czasu. Pewnie jest zajęty.

- Tak, tylko że w moim wieku nie mogę już być pewien, ile tego czasu jeszcze mi zostało - uśmiechnął się kwaśno. Dzięki temu uśmiechowi jego ostre rysy nieco złagodniały.
- No, ale ksiądz wie najlepiej, że wszystkich nas to czeka.

Wyszli już z kościoła, a na dworze ostry wiatr wydał sutannę pastora jak balon. Wycofał się więc do kruchty i patrzył, jak Jock Dunbeath gramoli się z wysiłkiem do starego landrovera i wyrusza w ryzykowną drogę do domu. Wielebny Christie westchnął i pomyślał z ciężkim sercem, że zrobił, co mógł. Ale czy w tej sytuacji można było jeszcze coś zrobić?

Jock ucieszył się, że śnieg przestał padać. Przetelepał się swoim starym wozem przez wioskę o pozamykanych na głucho domostwach, potem przejechał przez most i skręcił w bok do Benchoile, nad jeziorem Loch Muie. Szosa była wąska, jednokierunkowa, z przejściami dla pieszych oznakowanymi zebra. Nie widać było żadnego ruchu, bo na prowincji w niedzielę życie zamierało. Jock siedział za kierownicą skurczony, dygocący od lodowatych podmuchów, z nosem schowanym w szalik i tweedową czapką nasuniętą na oczy. Prowadził landrovera na wycucie, pozwalając mu - jak staremu, niezawodnemu koniowi - szukać drogi do domu po własnych śladach wyżłobionych w śniegu.

Wciąż przetrawiał w myślach to, co powiedział pastor. Oczywiście miał rację. Porządny człowiek troszczy się o wszystko i robi to dyskretnie. Ale słusznie zauważył, że obu braciom przydałoby się towarzystwo kogoś młodszego.

Pamiętał czasy, kiedy przez Benchoile przewijały się tłumy znajomych jego i brata. W holu piętrzyły się stopy butów rybackich i sadzów na ryby, na łące pod brzozami urządzano proszone herbatki, a w sierpniu echo niosło po wzgórzach huk wystrzałów. W tym samym domu od-

bywały się bale myśliwskie, po schodach schodziły panie w długich wieczorowych sukniach, a duży, wielomiejscowy samochód przywoził i odwoził gości na stację kolejową w Creagan.

Te czasy, podobnie jak młodość braci, minęły już bezpowrotnie. Roddy pozostał starym kawalerem, Charlie znalazł nawet miłą żonę, ale co z tego, skoro była Amerykanką! Oczywiście wyjechał z nią do Stanów i przekwalifikował się na kowboja przy stadzie bydła swego teścia w południowo-zachodnim Kolorado. Jock też się ożenił, ale nie doczekał się dzieci, choć oboje z Lucy bardzo tego pragnęli. Byli ze sobą tak szczęśliwi, że nawet przykre zrządenie losu nie mąciło ich pogody ducha. Lucy umarła pięć lat temu i wtedy Jock zdał sobie sprawę, co to jest samotność.

Tak, przydałoby się towarzystwo kogoś młodszego... Zabawne, że pastor wspomniał o Johnie. Tak jakby wiedział, że Jock napisał do niego list. Kiedy John był mały, regularnie przyjeżdżał do Benchoile z rodzicami, a później tylko z ojcem. Był zawsze spokojnym, poważnym, ponad wiek rozwiniętym chłopcem. Ciekawość świata uzewnętrzniał w zadawaniu niezliczonych pytań. Roddy był wtedy jego ukochanym stryjkiem. We dwójkę wyprawiali się na poszukiwanie muszli, obserwowali ptaki bądź moczyli kije w pełnych pstrągów odnogach rzeki.

Jock natomiast nigdy nie był w stanie nawiązać bliższego kontaktu z chłopcem. Przypuszczalnie dlatego, że John nie podzielał myśliwskiej pasji stryja. Z powodzeniem nęcił, łowił i oprawiał ryby, toteż wkrótce stał się zawołanym wędkarzem. Nie chciał natomiast chodzić w góry ze strzelbą, a gdy wytropił jelenia, wolał iść za nim z aparatem fotograficznym.

Jockowi nie przyszło łatwo napisanie tego listu. Dzieścioletnia nieobecność Johna w Benchoile wykopała między nimi przepaść, przez którą trudno było przerzucić most ze słów. Nie, żeby nie lubił tego chłopca - skądże

znowu! Kiedy ostatni raz go widział, John był poważnym, powściągliwym osiemnastoletnim młodzieńcem o tak dojrzałych poglądach i sposobie myślenia, że było to aż denerwujące. Chłód i spokojna pewność siebie bratanka wyprowadzały Jocka z równowagi.

Od tamtej pory więzi między nimi znacznie osłabły. W międzyczasie wiele się wydarzyło. Umarła Lucy, a bez niej czas pędził jeszcze szybciej. Oczywiście Charlie od czasu do czasu pisał do braci, informując ich o ważniejszych wydarzeniach. Dzięki temu wiedzieli, że John studiował ekonomię w Cambridge, reprezentował swoją uczelnię w zawodach squasha i tenisa, a studia ukończył z wyróżnieniem. Po dyplomie podjął pracę w banku inwestycyjnym w Nowym Jorku. Uzyskał tę posadę dzięki własnym osiągnięciom, bez protekcji swoich wpływowych amerykańskich znajomych. Ukończył również Wyższą Szkołę Biznesu w Harvardzie i w odpowiednim momencie się ożenił.

Charlie był zbyt lojalnym ojcem, aby odstępować przed bratem kulisy małżeństwa swego syna. Jednak między wierszami Jock potrafił wyczytać, że nie działo się dobrze. Toteż wcale się nie dziwił, choć oczywiście zmartwił, napływającym sukcesywnie wiadomościom o rozpadzie małżeństwa, wszczętych krokach rozwodowych, wreszcie o ostatecznym wyroku sądu. Dobrze chociaż, że nie mieli dzieci!

Na szczęście rozwód nie miał wpływu na dalszą karierę zawodową Johna - piął się coraz wyżej, a ostatnim awansem było przeniesienie do Londynu. To, że Jock nie miał zielonego pojęcia o bankowości, było jedną z przyczyn trudności w nawiązaniu kontaktu z amerykańskim bratankiem. Gdyby Jocka cokolwiek łączyło z tym młodym człowiekiem, łatwiej by mu przyszło napisać list. Wiedziałby, od czego zacząć.

Drogi Johnie!

Twój ojciec pisze, że jesteś znowu w Anglii i że dostałeś pracę w Londynie. Gdybyś znalazł trochę czasu, może wybrałbyś się na północ i wpadł na parę dni do Benchoile...

Nie był zbyt dobry w pisaniu listów, więc zabrało mu to prawie pół dnia. Kiedy już skończył list, nie był z niego w pełni zadowolony. Podpisał go jednak, zaadresował i zakleił kopertę. „O ile wszystko byłoby prostsze, gdyby John choć trochę interesował się polowaniem na pardwy!” - pomyślał z westchnieniem.

* * *

Na tych rozważaniach zesłała mu połowa drogi. Zza zakrętu wyłoniła się stalowoszara tafla jeziora Loch Muie. W domku owczarza Daveya Guthrie'ego świeciły się światła, a na przeciwległym brzegu jeziora rozciągał się dwór Benchoile, ukryty za szpalerem sosen, których czarne sylwetki odcinały się na tle ośnieżonego wzgórza.

Dwór był długi i niski, zbudowany z szarego kamienia, z dachem zdobnym w wieżyczki i facjatki. Okna wychodziły na południe, gdzie trawiaste zbocze łagodnie opadało ku jezioru. Budynek był zapuszczony, wymagający remontu, nieprzytulny, nieustawny i hulały w nim przeciągi. Jock uważał jednak to miejsce za swój dom i nigdy w życiu nie pragnął mieszkać gdzie indziej.

Po dziesięciu minutach był już w obrębie posiadłości, ale nim dotarł do domu, musiał jeszcze wjechać na wzgórze, minąć wybieg dla krów i przejechać szpalerem zdziczałych różaneczników. Przed dworem podjazd przechodził w szeroki żwirowany dziedziniec. W jego przeciwległym końcu ozdobny kamienny portal łączył narożnik dworu z dawną stajnią, którą Roddy przerobił na mieszkanie dla siebie. Przestrzeń między tymi budynkami była wybrukowana. Na tyłach podwórza znajdowały się garaże. Kiedyś stały w nich powozy i breki myśliwskie, a teraz - stary daimler Jocka i jeszcze starszy szary MG, do którego czasem Roddy wciskał swój potężny korpus, kiedy miał ochotę trochę się przewietrzyć.

Jock zaparkował swojego landrovera obok tych dwóch

gruchotów. Zaciągnął hamulec ręczny, wyłączył silnik i z siedzenia obok zabrał plik niedzielnych gazet. Wsiadł z wozu, zatrzasnął drzwiczki i wyszedł na zaśnieżone podwórze. Dojrzał światło padające z okna saloniku Roddy'ego i ostrożnie, żeby nie pośliznąć się na kocich łbach, podszedł do drzwi.

Roddy przerobił stajnię na mieszkanie po wojnie, kiedy wrócił do Benchoile, aby zamieszkać tu na stałe. Adaptacji dokonał według własnego projektu, planując sypialnię i łazienki na parterze, a kuchnię i salon na piętrze. Parter i piętro łączyły zewnętrzne schody z drzewa tekowego, przypominające drabinkę okrętową.

- Roddy! - zawołał Jock od progu. Nad sobą usłyszał skrzypienie desek podłogi pod nogami Roddy'ego i po chwili brat wychylił się przez poręcz schodów.

- Ach, to ty! - powiedział takim tonem, jakby spodziewał się kogoś innego.

- Przywiozłem ci gazety.

- Wejdz na górę. Ależ dziś psia pogoda!

Jock wszedł do saloniku na piętrze, w którym Roddy przesiadywał całymi dniami. Był to przestronny, jasny pokój z mansardowym sufitem, dostosowanym do kąta nachylenia dachu. Całą jedną ścianę zajmowało okno. W jego ramach zawierała się perspektywa jeziora i okalających je gór - obraz zachwycający zwłaszcza przy ładnej pogodzie. Tego ranka jednak widok ten mógł przyprawić tylko o dreszcz grozy. Wokół rozciągały się połacie śniegu i ponurej, ołowianoszarej wody, a wzgórze na przeciwnym brzegu ginęły w mroku.

Był to typowy kawalerski pokój, ale urządzony z gustem i niebanalnie. Wypełniały go książki i różne małowartościowe, lecz dekoracyjne przedmioty - na przykład rzeźbiona półka nad gzymsem kominka, mobila ze składanymi po japońsku papierowymi rybkami czy biało-niebieski flakon z bukietem trawy pampasowej. Podłogę z czysto wyszorowanych desek przykrywały pojedyncze dywaniki.

Zakłęsnięcia pośrodku starych foteli i kanapy zachęcały do odpoczynku. W palenisku kominka - specjalnie, z dużym nakładem kosztów, zaprojektowanego przy adaptacji mieszkania - trzaskały brzoźowe kłody. Nawet zapach był w tym pokoju specyficzny - dym z cygar i kominka zmieszany z przenikliwą wonią pokostu lnianego.

Stary pies Roddy'ego, labrador o imieniu Barney, leżał wyciągnięty na dywaniku przed kominkiem. Na widok Jocka uniósł posiwiały pysk, ziewnął i spał dalej.

- Byłeś w kościele? - spytał Roddy.

- Tak. - Jock zmarzniętymi palcami rozpiął palto.

- Wiesz, że telefon jest głuchy? Pewnie gdzieś na linii jest awaria. - Roddy zmierzył brata badawczym spojrzeniem. - Cały zsiniałeś od tego mrozu. Napijesz się czegoś?

Podszedł ciężkim krokiem do stolika, na którym stały butelki i szklanki. Jock zauważył, że brat nalał już sobie whisky. On sam o tej porze nigdy nie pił mocniejszych trunków. Dziś jednak, kiedy pastor wspomniał o sherry, Jock nabrał nagle ochoty na alkohol.

- Masz sherry? - zapytał.

- Mam, ale tylko jasne i wytrawne.

- Może być.

Zdjął palto i stanął przy kominku. Na gzymsie Roddy trzymał masę zakurzonych drobiazgów: pozwijane zdjęcia, stare fajki, pęk bażancich piór w kubku i dawno nieaktualne zaproszenia, przeważnie pozostawione bez odpowiedzi. Dziś jednak do tej kolekcji przybyła nowa karta, pretensjonalnie powleczona miedzianą folią i ze złożonymi brzegami.

- Co to ma być? Wygląda jak dekret królewski!

- No nie, to nic takiego! Zaproszenie na uroczysty obiad w Dorchester z okazji przyznania nagród telewizji za najlepsze filmy dokumentalne. Nie mam pojęcia, dlaczego mnie zaprosili - myślałem, że nie figuruję już na żadnej liście. Właściwie zawsze lubiłem te imprezy, no, może

z wyjątkiem nudnych przemówień. Spotykało się starych znajomych i poznawało dobrze zapowiadających się młodych autorów. Było z kim pogadać.

- Wybierasz się?

- Za stary już jestem. Nie chce mi się jechać na drugi koniec kraju tylko po to, żeby nazajutrz mieć kaca.

Roddy odstawił swoją whisky, znalazł butelkę sherry wraz z odpowiednią szklanką i nalał bratu drinka. Podniósł z popielniczki jeszcze tłący się niedopałek cygara i z obiema szklankami w rękach wrócił przed kominek.

- Gdyby impreza odbywała się w jakimś przyzwoitym miejscu, na przykład w Inverness, jeszcze bym się wybrał, żeby nadać spotkaniu odpowiedni ton, bo beze mnie zrobi się z tego sztampa. Ale tak... - urwał i podniósł szklankę.

- No to zdrówko, stary!

- Zdrówko! - Jock z uśmiechem podjął toast.

Roddy był o dziewięć lat młodszy od Jocka. Mówiono, że jest najprzystojniejszy spośród braci. Cieszył się opinią pozeracza damskich serc i rzeczywiście miał powodzenie. Natomiast mężczyźni odnosili się do niego z rezerwą. Był dla nich za przystojny, zanadto inteligentny i posiadał tak niemęskie uzdolnienia, jak talent literacki, talent do malarstwa, muzyki i śpiewu.

Na polowaniach zawsze zajmował stanowisko w towarzystwie najładniejszej dziewczyny. Często więc zapominał, że ma strzelać do pardw, skutkiem czego ptaki stadami uciekały mu spod nóg. Po zakończeniu pędzenia znajdowano go zatopionego po uszy w rozmowie ze swą towarzyszką, podczas gdy jego strzelba była zimna, a pies piszczął, zawiedziony, że nie ma co aportować.

Dzięki wrodzonej inteligencji prześliznął się przez szkołę bez większego wysiłku i na tej opinii zajechał aż do Oksfordu. Na studiach zadawał szyku i dyktował modę.

Kiedy powszechnie noszono ubrania z tweedu - on wołał sztruksa, a po niedługim czasie okazywało się, że sztruks jest najmodniejszy. Był też przewodniczącym oksfordzkiego klubu dyskusyjnego, gdzie jego cięty dowcip nie oszczędzał nikogo.

W momencie wybuchu wojny Jock był zawodowym żołnierzem pułku strzelców szkockich. Roddy, powodowany ukrywanymi dotąd patriotycznymi uczuciami, zaciągnął się do wojska w dniu, w którym Anglia przystąpiła do wojny. Ku ogólnemu zaskoczeniu zaciągnął się do marynarki, twierdząc, że wybiera tę broń ze względu na twarzowy mundur. Zaraz jednak wzięto go na kurs komandosów, gdzie wspinał się po stromych zboczach, wisząc na linie, i skakał z samolotu, ściskając kurczowo uchwyt spadochronu.

Kiedy nastał pokój, Jockowi zdawało się, że każdy, kto się dotąd nie ożenił, teraz na gwałt stara się to nadrobić. Wybuchła prawdziwa epidemia ślubów, której ofiarą padł także Jock. Nie uległ jej tylko Roddy. Pozostał wierny stylowi życia, jaki prowadził przed rokiem 1939. Osiadł w Benchoile i zajął się pisarstwem. Pierwsza w druku ukazała się książka „Wiek orłów”, następną pozycją był „Wiatr w sosnach”, a po niej „Rudy lis”. Powieści te zdobyły wielką popularność, a ich autor wygłaszał odczyty na sesjach wyjazdowych i mowy na bankietach; występował także w telewizji.

Równocześnie jednak nabierał ciała, podczas gdy Jock pozostawał długi i chudy. Roddy'emu urósł brzuch, pojawił się drugi podbródek, a rysy jego przystojnej twarzy rozpuły się w fałdach tłuszczu. Nadal jednak miał powodzenie u płci przeciwnej. Kiedy w kronikach towarzyskich wyczerpały się plotki z wyższych sfer, zaczęto publikować zdjęcia Roddy'ego Dunbeatha, autora „Wiek orłów”, asystującego na przyjęciu pani Jakiejstam, znanej działaczce ruchu ochrony przyrody.

Młodość jednak przeminęła, a wraz z nią wyblakła i jego

skromna sława pisarska. Kiedy nie fetowano go już w Londynie, wrócił do Benchoile, gdyż zawsze tam w końcu wracał. Zajął się pisaniem krótkich artykułów do miejscowej prasy oraz scenariuszy do telewizyjnych filmów przyrodniczych. W niczym się nie zmienił, pozostał tym samym Roddym - uroczym i dowcipnym gawędziarzem. Wciąż jednak miał ochotę wbijać się w welwetową marynarkę i tłuc kilometrami po bezdrożach na jakieś przyjęcie. I co ciekawsze - zawsze jakoś docierał nad ranem do domu, chociaż półprzytomny od nadmiaru whisky.

W tym czasie pił już stanowczo za dużo. Nie był wprawdzie nałogowym alkoholikiem, ale też rzadko kiedy nie miał w rękę pełnej szklanki. Zawsze leniwy, teraz już całkiem zwolnił tempo. Nie chciało mu się ruszać z domu, nawet do Creagan. Zamknął się w Benchoile jak ślimak w skorupie.

* * *

- Jak tam na drogach? - spytał Roddy brata.
- Przejedne, ale twoim MG nie zajedziesz daleko.
- Nigdzie się nie wybieram.

Roddy wyjął z ust niedopałek cygara i wrzucił go do paleniska kominka, gdzie zapłonął małym ogieńkiem. Wyjął z koszyka trochę świeżych drewek i dołożył je do żaru. Podniosła się chmura popiołu, drwa zaskwierczały i zajęły płomieniem. Ogień buchnął dość gwałtownie, tak że jedna lub dwie iskierki doleciały aż na wytarty dywanik przed kominkiem. Roddy zgasił je butem, ale zapach spalenizny zawiercił Jockowi w nozdrzach.

- Powinieneś sprawić sobie ekran - podsunął bratu.
- Kiedy nie lubię takich rzeczy, a poza tym one zatrzymują całe ciepło. Myślałem o kracie kominkowej. Widziałem gdzieś reklamę, ale nie mogę sobie przypomnieć gdzie.

Skończył drinka i postąpił krok w stronę stolika z butelkami, lecz Jock zwrócił mu uwagę:

- Chyba nie zdążysz wypić jeszcze jednego. Jest już po pierwszej.

- O, kurczę, rzeczywiście - stwierdził Roddy, spoglądając na zegarek. - Dziwię się, że Ellen jeszcze nie zaczęła lamentować. Może powinna walić w stary gong na podwórzu, abyśmy w porę przychodzili na niedzielny lunch do Wielkiego Domu? To by było w naszym stylu. Musimy trzymać fason, Jock, także wtedy, kiedy nikt tego nie widzi. Pomyśl o twórcach naszego imperium, którzy nawet w dżungli przebierali się do kolacji w białą koszulę i krawat! Powinniśmy brać z nich przykład.

Wypite sherry spowodowało, że Jock wyzbył się wewnętrznych oporów i podzielił z Roddym swoimi rozterkami.

- Wiesz, pastor poradził mi dzisiaj, że przydałoby się nam towarzystwo kogoś młodszego.

- To jest myśl! - Roddy stał z butelką whisky w rękę, wahając się, w końcu nalał sobie tylko trochę sherry. - Kręcili się tu kiedyś przystojni chłopcy i ładne dziewczyny. Ciekawe, co się porobiło z tymi wszystkimi pociotkami Lucy? Zawsze było ich pełno w tym domu.

- To się porobiło, że dorośli i pozakładali własne rodziny.

- No więc zorganizujmy zjazd rodzinny. Możemy dać w rubryce towarzyskiej „Timesa” takie ogłoszenie: „Bracia Dunbeath z Benchoile poszukują towarzystwa młodych ludzi. Rozpatrzmy wszystkie oferty”. Dostaniemy masę zabawnych zgłoszeń, zobaczysz.

Jock pomyślał o liście, który wysłał do Johna. Nie wspominał o nim dotąd Roddy'emu. Po namyśle zdecydował, że poinformuje go dopiero wtedy, gdy dostanie odpowiedź od Johna.

Teraz jednak naszyły go wątpliwości. Ostatnio rzadko się widywali, a jeszcze rzadziej tak miło im się rozmawiało. Gdyby więc poruszył ten temat, mieliby o czym rozmawiać przy stole. W końcu, tak czy siak, sprawa

wyjdzie na jaw. Dopił więc do końca swoje sherry, wyprostował się i zaczął:

- Roddy...

W tym momencie dało się słyszeć walenie do drzwi na dole, a po chwili do środka wdarł się lodowaty podmuch.

U podnóża schodów odezwał się zdarty, piskliwy głos:

- Czy panowie wiedzą, że jest już po pierwszej?

- Tak, Ellen, wiemy - odparł Roddy zrezygnowanym tonem.

- A pan pułkownik jest u pana?

- Tak, jest tutaj.

- Widziałam landrover w garażu, ale pana pułkownika nigdzie w pobliżu nie było. Chodźcie już, panowie, bo kurczak będzie zimny! - Ellen nie przestrzegała zbytnio form.

Jock odstawił pustą szklankę i rozejrzał się za swoim paltem.

- Już idziemy, Ellen - zapewnił.

VI

Poniedziałek

Roddy Dunbeath nie przejmował się zbytnio tym, że telefon nie działa. Ktoś inny na jego miejscu po sześciu lub siedmiu nieudanych próbach dodzwonienia się gdziekolwiek trzasnąłby słuchawką z bezsilnej złości i poszukałby czynnej budki telefonicznej. Roddy'emu to nie przeszkadzało, gdyż nie czuł w tej chwili potrzeby kontaktowania się z kimkolwiek. Raczej cieszył się, że nikt nie zawraca mu głowy.

Kiedy więc w poniedziałek o wpół do dwunastej w południe telefon na jego biurku zadzwonił - Roddy aż podskoczył z przestraszenia.

W nocy wiatr ustał, ale zdążył jeszcze rozgonić chmury. Ranek zaświtał pogodny i cichy. Niebo było bladoniebieskie, a ośnieżony krajobraz rozświetlał najpierw różowy, potem oślepiająco biały blask słońca wschodzącego nad jeziorem. Na łące przed Wielkim Domem widać było ślady łapek królików i zajęcy. Zakradały się tu także jelenie, aby podgryzać krzewy zasadzone przez Jocka. A kiedy słońce wynurzyło się zza łańcucha wzgórz - niebo przybrało barwę nasyconego błękitu, który odbijał się w wodach jeziora. Szron skrzył się, a chłodne powietrze trwało w zupełnym bezruchu. Gdy Roddy otworzył okno, żeby wysypać okruszki dla ptaków, posłyszał beczenie owiec pasących się na zboczach nad jeziorem.

Nie był to dzień, który by nastrajał do pracy. Roddy

przypomniawszy sobie, że musi napisać artykuł dla „Rolnika Szkockiego”, więc zmusił się, żeby choć naszkicować pobieżny konspekt. Kiedy miał to już z głowy, ponownie pogrążył się w nieróbstwie. Usiadł w oknie z cygarem i lornetką, przez którą obserwował gęsi gęgawe żerujące na ścierniskach. Przy takiej pogodzie jak ostatnio nieraz siadały ich tam tysiące.

- O, cholera! - zareagował na dzwonek telefonu. Na dźwięk jego głosu Barney podniósł głowę z dywanika i zamierzał ogonem.

- Wszystko w porządku, stary, nic się nie stało! - uspokoił psa, odłożył lornetkę i niechętnie wstał, aby podnieść słuchawkę.

- Roddy Dunbeath, słucham.

Z drugiej strony drutu dobiegały jakieś nieartykułowane piski. Roddy miał już nadzieję, że może aparat jest nadal niesprawny, ale po chwili piski ustały i odezwał się głos:

- Czy to Benchoile?

- Tak. Roddy Dunbeath przy telefonie.

- Mówi Oliver Dobbs.

- Kto? - spytał Roddy po pewnej przerwie.

- Oliver Dobbs - powtórzył rozmówca miłym, młodzieńczym głosem, który wydawał się Roddy'emu jakby znajomy.

Pogrzebał w pamięci, ale nie mógł go sobie z nikim skojarzyć.

- Przepraszam, skąd my się znamy?

- Parę lat temu siedzieliśmy obok siebie na przyjęciu w Londynie.

Teraz Roddy przypomniał sobie inteligentnego młodego człowieka nazwiskiem Oliver Dobbs, pisarza, który zdaje się otrzymał wówczas jakąś nagrodę. Nagadali się wtedy za wszystkie czasy! Przysunął więc sobie krzesło do telefonu, gotów na dłuższą pogawędkę.

- Ależ tak, drogi chłopcze, jak miło, że się odezwałeś. Skąd dzwonicz?

- Z Krainy Jezior.
- A cóż ty robisz nad jeziorami?
- Zrobiłem sobie małe wakacje. Jadę właśnie do Szkocji.
- Mam nadzieję, że wstąpisz do mnie?
- Właśnie w tej sprawie dzwonię. Próbowałem już wczoraj, ale podobno mieliście awarię na linii. Kiedy się poznaliśmy, zaprosiłeś mnie do siebie, a ja potraktowałem to poważnie.

- Ależ oczywiście!
- Będziemy mogli zatrzymać się u ciebie na parę dni?
- Naturalnie, przyjeżdżaj... - zaczął Roddy, bo perspektywa spędzenia kilku dni w towarzystwie tego pełnego życia młodego człowieka wydała mu się atrakcyjna. Tylko... - „My” to znaczy kto? - wołał się upewnić.

- Właśnie w tym sęk - pospieszył z odpowiedzią Oliver. - Jesteśmy czymś w rodzaju rodziny. Ja, Wiktoria i Tomek. Tomek ma dopiero dwa lata, ale jest bardzo dobrze wychowany i mało wymagający. Czy znajdzie się u ciebie miejsce dla nas wszystkich? Bo jeśli nie, to możemy zatrzymać się w gospodzie, o ile jest tam jakaś...

- Bzdura! - przerwał mu z oburzeniem Roddy.

Gościnność panów na Benchoile była wręcz legendarna. Prawda, że przez ostatnie pięć lat, od śmierci Lucy, wpisy w oprawnej w zniszczoną skórę księdze pamiątkowej, leżącej na stoliku w holu, nieco się przerzedziły - niemniej każdy gość w tym domu spotykał się z ciepłym przyjęciem.

- Przyjeżdżajcie koniecznie! Kiedy można się was spodziewać?

- Myślę, że koło czwartku. Mamy zamiar jechać wzdłuż zachodniego wybrzeża, bo Wiktoria nigdy jeszcze tam nie była.

- Jedźcie przez Strome Ferry i Achnasheen. - Roddy znał wszystkie szkockie autostrady jak własną kieszeń.

- Potem przez Strath Oykel do Lairg. Takich stron w życiu nie widzieliście!

- Czy u was leży jeszcze śnieg?

- Było go dużo, ale pogoda się zmieniła. Zanim do nas dojedziecie, szosy będą już czarne.

- Czy jesteś pewien, że nie sprawimy ci kłopotu?

- Skąd, raczej ogromną przyjemność. Czekamy na was w czwartek, w porze lunchu. I zostańcie... - dodał tonem gospodarza, który wie, że nie musi sam wietrzyć pościeli, sprzątać pokoiów ani gotować posiłków - ...jak długo zechcecie!

Ten niespodziewany telefon wprowadził Roddy'ego w stan przyjemnego podniecenia. Kiedy odłożył słuchawkę, usiadł wygodniej, aby dokończyć cygaro, i cieszył się jak dziecko z mających nastąpić odwiedzin.

Uwielbiał towarzystwo młodych ludzi, gdyż sam czuł się młodo, mimo powiększającej się tuszy i łysiny. Mile wspominał więź, jaka wytworzyła się między nim a Oliverem w czasie tamtego przyjęcia. Świetnie się wtedy bawili, siedząc z poważnymi minami, a w środku dusząc się od śmiechu z tasiemcowych, naszpikowanych frazesami przemówień.

Kiedy w którymś momencie Oliver zrobił uwagę na temat wymiarów biustu damy siedzącej naprzeciwko, Roddy nie mógł opędzić się od myśli: „Jakbym słyszał siebie”. Może właśnie dlatego poczuł do Olivera taką sympatię, że widział w nim kopię tego młodzieńca, jakim sam kiedyś był. Lub może raczej takiego, jakim chciał być, gdyby żył w innych warunkach i gdyby nie było wojny.

Musiał podzielić się swoją radością z domownikami. Trzeba uprzedzić Ellen Tarbat, że będą mieli gości. Pewnie jak zwykle zrobi cierpiętniczą minę, pokręci głową i będzie udawać, że godzi się z losem. Były to zwyczajowe, puste gesty, które nic nie znaczyły - Ellen zawsze robiła nieszczęśliwe miny, nawet gdy przekazywano jej najlepsze wiadomości.

Roddy zdusił cygaro i nie nakładając na siebie nic ciepłego, wstał ze swojego miejsca i zszedł na dół, a pies podążył za nim. Przeszli razem po oblodzonych brukow-

cach podwórza i przez tylne drzwi dostali się do Wielkiego Domu.

Do jego wnętrza prowadził labirynt zimnych, nie kończących się korytarzy o kamiennych posadzkach. Wychodziło się z nich do składziku na węgiel, drewnitni, pralni, piwnicy, spiżarni i różnych komórek. Ostatnie drzwi, obite zielonym suknem, prowadziły do przestronnego holu, gdzie temperatura była o kilka stopni wyższa niż na zewnątrz. Przez wysokie okna i oszklone drzwi frontowe wpadało do środka słońce. W jego promieniach unosiły się drobinki kurzu. W ogromnym kominku dogasał ogień, zamieniając powoli torf w popiół. Roddy dorzucił kilka brykietów ze stojącego obok koszyka, po czym ruszył dalej na poszukiwanie brata.

Zastał Jocka w bibliotece, siedzącego przy staroświeckim biurku z zamknięciem żaluzjowym, które odziedziczył po ojcu. Porządkował kwity i rachunki związane z prowadzeniem gospodarstwa. Spędzał w tym pomieszczeniu większość czasu, odkąd po śmierci Lucy kazał zamknąć salon na głucho. Roddy też lubił ten zapuszczony pokój, zastawiony książkami, w którym obite skórą siedzenia foteli były przytulnie wklęsnięte. Dziś i tu wpadało białe światło zimowego słońca, na kominku płonął ogień, a dwa złociste labradory Jocka grzały się w jego ciepłe.

Kiedy w drzwiach ukazał się Roddy, Jock spojrzął znad okularów zjeżdżających mu na czubek nosa.

- Dzień dobry! - zaczął Roddy.

- Cześć! - Jock zdjął okulary i odchylił się na oparcie krzesła. - Cóż cię sprowadza?

- Przynoszę dobre wiadomości - rzekł Roddy, zamykając drzwi. - Jak wróżka z bajki, spełniam twoje życzenia!

Ponieważ Jock wyczekująco milczał, Roddy ostrożnie opadł całym swoim ciężarem na fotel przy kominku. Po przejściu przez dziedziniec i lodowate korytarze zmarzły mu nogi, więc zrzucił kaptcie i przysunął stopy do ognia.

Zauważył przy tym, że w jednej skarpetce jest dziura - trzeba będzie dać ją Ellen do zacerowania.

- Pamiętasz, mówiłeś wczoraj, co powiedział pastor - przypomniał. - Że przydałoby się nam towarzystwo kogoś młodszego. No więc będziemy mieli gości!

- Kto przyjeżdża?

-. Uroczy młody człowiek nazwiskiem Oliver Dobbs z „czymś w rodzaju rodziny”, jak to określił.

- Co to za jeden ten Oliver Dobbs?

- Gdybyś nie był takim starym konserwatystą, słyszałbyś o nim. To młody zdolny pisarz, który już odniósł spore sukcesy.

- Aha, jeden z tych... - mruknął Jock.

- Na pewno go polubisz.

Co ciekawe, przypuszczenie Roddy'ego było bardzo prawdopodobne. Jock nie był konserwatystą - jak nazwał go brat - lecz na wskroś liberałem. Pod pozornym chłodem i wyniosłością krył się człowiek z krwi i kości - uprzejmy, życzliwy i tolerancyjny. Nigdy nie uprzedzał się do nikogo i zawsze, na swój powściągliwy sposób, starał się zrozumieć czyjś punkt widzenia.

- A ta jego „rodzina” to kto? - dopytywał się delikatnie.

- Ktokolwiek by to był, lepiej za bardzo nie wtajemniczać w to Ellen.

- Kiedy przyjeżdżają?

- W czwartek koło południa.

- A gdzie będą spać?

- Myślę, że chyba w tym domu, bo tu jest więcej miejsca.

- Będziesz musiał uprzedzić Ellen.

- Już się przygotowuję do tego.

Jock rzucił mu rozbawione spojrzenie, potem odchylił się do tyłu na oparcie krzesła i przetarł oczy, jakby miał za sobą nieprzespaną noc.

- Która godzina? - spytał.

- Dochodzi dwunasta - odpowiedział z naciskiem Roddy, licząc na to, że wycygnani drinka. Jock jednak nie

zrozumiał aluzji albo nie przyjął jej do wiadomości. Oznajmił bratu:

- Idę się przejść.

Roddy nie okazał rozczarowania. W końcu zaraz wróci do siebie i sam naleje sobie drinka. Odrzekł więc zdawkowo:

- Piękny dziś dzień.

- Owszem - potwierdził Jock, wyglądając oknem.

- Benchoile jest w swojej najpiękniejszej szacie.

Po tej krótkiej wymianie zdań Roddy pożegnał się i zbierając się na odwagę, skierował w stronę kuchni na spotkanie z Ellen. Jock wstał zza biurka i wraz z psami towarzyszącymi mu przy nodze poszedł do swojej „zbrojowni”. Nałożył myśliwską kurtkę, zielone gumowe buty, nasunął czapkę na nos i owinał szyję szalikiem. Z kieszeni kurtki wyciągnął włóczkowe rękawiczki z obciętymi palcami. Okrywały tylko dłonie, nie chroniąc przed mrozem jego własnych palców, czerwonych i nabrzmiałych jak parówki.

Wziął długą pasterską laskę i nareszcie wyszedł z domu. Uderzył go chłodny podmuch, a w płuca wdarło się przeszywające lodowate powietrze. Ostatnio nie czuł się zbyt dobrze. Kładł to na karb zmęczenia i złej pogody, bo w słabym lutowym słońcu zrobiło mu się nieco lepiej. Może powinien był więcej wychodzić na dwór, cóż, kiedy brakowało mu motywacji.

Stąpając po skrzypiącym śniegu w kierunku jeziora, myślał o młodych ludziach, których Roddy zaprosił do domu. Perspektywa ta wcale go nie przerażała, tak jak większości ludzi w jego wieku. Lubił młodych, tylko że oni go onieśmielali. Zdawał sobie sprawę, że odstrasza ich jego szorstki, żołnierski sposób bycia, ale cóż mógł na to poradzić? Może prędzej przełamałby się, gdyby miał własne dzieci? No, ale skoro mają przyjechać goście, trzeba przygotować dla nich pokoje, może nawet otworzyć dawny pokój dziecienny. Szkoda, że nie zapytał Roddy'ego, w ja-

kim wieku jest dziecko. Niestety, nie da się o tej porze wypłynąć na ryby, bo łódź wyciągnięto na brzeg, a przystań zamknięto na cztery spusty.

Jock wspominał czasy, kiedy po domu biegały różne dzieci: on i jego bracia, kiedy byli mali; ich koledzy i cała gromada siostrzeńców i bratanków Lucy. Nazwał ich kiedyś „krewnymi i znajomymi Królika”. Uśmiechnął się na myśl o tym porównaniu.

Doszedł już na brzeg jeziora, obramowanego lodem, z którego sterczały kępy sitowia. Przeleciały nad nim dwie czajki, a on odprowadził je wzrokiem. Oślepiło go światło słoneczne, aż zakrył oczy dłonią. Psy ryły nosami w śniegu, wywąchując jakieś atrakcyjne zapachy. Obwąchały też lód, lecz na swoje szczęście bały się zapuścić dalej.

Dzień był rzeczywiście piękny. Jock odwrócił się i spojrzął w kierunku domu. Został tam z tyłu, na ośnieżonym stoku - tak dobrze znany i kochany, dający poczucie bezpieczeństwa. W oknach odbijało się światło słoneczne, z kominów leciał dym, unosząc się pionowo w górę. Pachniało mchem, torfem i świerkową żywicą. Za domem wznosiły się ku niebu wzgórza - jego, Jocka, własne wzgórza, należące do Benchoile. Uśmiechnął się do własnych myśli.

A w czwartek przyjadą ci młodzi ludzie. Od razu zrobi się weselej - będzie słycać ich głosy, śmiech, kroki na schodach. Benchoile bardzo tego potrzebuje.

Jock ruszył przed siebie, z laską w rękę, psami przy nodze i spokojem w duszy.

* * *

Ellen zaniepokoiła się na dobre, kiedy starszy pan nie pojawił się na lunchu. Wyszła przed frontowe drzwi i zobaczyła jego ślady wiodące prosto nad jezioro. Jock nieraz spóźniał się na posiłki, ale tym razem zdrowy chłopski instynkt podpowiedział Ellen, że stało się coś

złego. Odszukała Roddy'ego, który zadzwonił do owczarza Daveya Guthrie'ego. Davey podjechał furgonetką i razem udali się na poszukiwanie Jocka.

Nie było trudno go znaleźć, bo na śniegu zostały wyraźne ślady jego i dwóch psów. Trop prowadził do murku z kamienia polnego, w którego załomie leżał na wznak Jock, z pogodną twarzą zwróconą ku niebu. Psy niespokojnie skomlały, ale jasne było, że ich pan odnalazł już spokój wiekuisty.

VII

Wtorek

Tomasz Dobbs przycupnął w nowych czerwonych gumowcach na brzegu morza. W swoim krótkim dwuletnim życiu jeszcze nie widział czegoś tak wielkiego i mokrego, więc wzrokiem starego wilka morskiego wpatrywał się jak zahipnotyzowany w przestwór wodny. Dodatkową atrakcją były postrzępione fale prześwietlone słońcem i mewy przelatujące z piskiem nad jego głową. Od czasu do czasu przepływała jakaś łódka. Wtedy Tomek rzucał garść piasku lub żwiru w kierunku morza.

Wiktoria obserwowała go, siedząc na skrawku kamienistej plaży. Kuliła się z zimna mimo grubych sztrukturalnych spodni i trzech swetrów nałożonych jeden na drugi. Byłoby jednak dziwne, gdyby w lutowy poranek na północy Szkocji było ciepło!

Nie była to prawdziwa plaża, lecz wąski pas żwirowatego wybrzeża za murem okalającym hotel. Pachniało rybami i dziegciem, tu i ówdzie walały się kawałki sznurka, rybie resztki i jakiś wilgotny kosmaty przedmiot, który po bliższym zbadaniu okazał się przegniłą wycieraczką.

- Jesteśmy na krańcu świata - stwierdził Oliver, kiedy wczoraj zjechali z przełęczy nad samo morze.

Dotarli już dalej na północ, niż początkowo zamierzali, a bardziej na zachód była już tylko woda. Widoki, koloryt rozległych przestrzeni i roziskrzone mrozem powietrze były

tak wspaniałe, że dla nich samych warto było tłuc się taki kawał drogi.

Jeszcze wczoraj rano obudzili się w zalanej deszczem Krainie Jezior, ale w miarę jak posuwali się w stronę Szkocji, wiatr zmienił kierunek na zachodni i rozgościł chmury. Wczoraj po południu i dziś rano było pogodnie, choć chłodno. Ośnieżone szczyty wzgórz błyszcząły w słońcu, a woda w zalewie miała kolor ciemno-granatowy.

Wiktoria dowiedziała się, że zalew nosi nazwę Loch Morąg. Tak samo nazywała się wioska rybacka z małymi sklepikami i flotyllą kutrów cumujących u nabrzeża. „Loch Morąg” nazywał się także hotel, toteż Oliver zażartował, że pewnie jego właścicielami są państwo Lochmorąg. Hotel służył głównie rybakom jako baza wypadowa. Foldery reklamowe zachwalały te okolice jako idealne do uprawiania rybołówstwa, zarówno słodkowodnego jak i morskiego. Budynek był duży i niegustowny, zbudowany z kamienia w kolorze wątrobianym, upstrzony blankami i wieżyczkami. Wnętrze zdobiły wytarte tureckie dywany i pospolite tapety w kolorze owsianki, ale wszędzie na kominkach płonął ogień, a właściciele byli bardzo uprzejmi.

- Co chciałbyś na podwieczorek, malutki? - rozpoczęła pertraktacje zażywna dama w fioletowej sukni, która w martwym sezonie pełniła równocześnie funkcje kelnerki, barmanki i recepcjonistki. - Może zjesz jajeczko na miękko albo owsiany placuszek? - kusiła, ale Tomek tylko patrzył na nią bezradnie. - A może galaretkę? Masz ochotę na galaretkę, skarbie?

W końcu razem zdecydowali, że ma być jajko na miękko i jabłko. Miła „pani Lochmorąg” przyniosła podwieczorek na tacy do pokoju i zabawiała Tomka, podczas gdy Wiktoria brała prysznic po podróży. Kiedy wyszła z łazienki, oboje bawili się już szmacianą jasnoróżową świnką, którą Oliver kupił Tomkowi przed wyjazdem wraz z całą

walizką ubranek, szczoteczką do zębów i nocniczką. Wiktoria chciała mu kupić misia, ale Oliver przypomniał sobie, że malec nie znosi puchatych zabawek.

Świnka w niebieskich spodenkach na czerwonych szelkach nazywała się Prosiaczek, jak z „Kubusia Puchatka”. Oczka miała z czarnych paciorków i Tomek od razu ją polubił.

- Och, pani Dobbs, ma pani uroczego synka! - rozplątywała się hotelarka. - Ile on ma latek?

- Dwa.

- Chyba już się ze mną zaprzyjaźnił, ale wie pani, że nie powiedział ani jednego słowa?

- On jeszcze mało mówi.

- No, w tym wieku już powinien! - perorowała gospodyni, trzymając Tomka na kolanach. - Cóż to za leniuszek! Ale „mama” umiesz mówić, prawda? Nie chcesz powiedzieć „mama”? To może powiesz, jak się nazywa twoja świnka?

Trzymając zabawkę w ręku, potrząsała nią tak, jakby świnka tańczyła. Wywołało to uśmiech na twarzy Tomka.

- Prosiaczek - odpowiedziała Wiktoria.

- O, jak ładnie! No, Tomeczku, powiedz „Prosiaczek”!

Jednak Tomek nie umiał wymówić tego słowa. W ogóle prawie nie mówił, ale to w niczym nie umniejszało jego wdzięku. Był dzieckiem tak pogodnym i niekłopotliwym, że podróż w jego towarzystwie była prawdziwą przyjemnością. W czasie długiej jazdy samochodem siedział na kolanach Wiktorii, ściskając w rączce nową zabawkę i wyglądając przez okno. Na pewno był zafrapowany nowymi dla siebie widokami ciężarówek, pól i miast, ale swojego zachwytu nie ubierał w słowa. Kiedy Wiktoria i Oliver zatrzymywali się po drodze, aby coś zjeść lub po prostu rozprostować nogi - grzecznie zjadał jajka na bekonie, pił mleko lub żuł plasterki obranego i pokrojonego jabłka. A kiedy się zmęczył lub znudził - pakował

wielki palec do buzi i z rozczulającą ufnością mościł się wygodnie w ramionach Wiktorii. Zasypiał niemal od razu albo jeszcze coś mruczał pod nosem, choć długie rzęsy opadały mu już na rumiane policzki.

- Ciekawam, dlaczego on tak mało mówi? - próbowała kiedyś rozważyć ten problem z Oliverem.

Tomek spał wtedy smacznie na jej kolanach, więc nie było obaw, że podsłucha ich rozmowę.

- Pewnie nikt z nim nie rozmawiał. Archerowie nie mieli na to czasu, bo musieli pucować dom, pielęgnować ogród i dezynfekować jego zabawki.

W tym punkcie Wiktoria nie mogła się zgodzić z Oliverem. Dziecko zaniedbywane w jakikolwiek sposób nie byłoby przecież tak ufne i zadowolone z życia. Odwrotnie, jego zachowanie i pogodne usposobienie wskazywało, że wzrastał otoczony miłością.

Oliver rozgniewał się, gdy mu to powiedziała.

- Jeśli było mu z nimi tak dobrze, to czemu wcale za nimi nie tęskni? Chyba niezbyt ich kochał, skoro ani razu o nich nie zapytał!

- A czy on w ogóle o coś pyta? - odwróciła pytanie Wiktoria. - Chyba właśnie to, że jest taki ufny i nikogo się nie boi, świadczy o tym, jak go traktowano. Nikt nigdy nie odnosił się do niego źle, więc i on nie spodziewa się niczego złego. Dlatego od razu nam zaufał.

- Bzdury! - uciął krótko Oliver. Nie mógł znieść, że ona dobrze mówi o Archerach.

Wiktoria uznała jego oburzenie za nieuzasadnione.

- A gdyby Tomek płakał za dziadkami, marudził i sikał w majtki, jak większość dzieci na jego miejscu, to też obwiniałbyś o to Archerów?

- Teoretyzujesz.

- Nic podobnego!

Ponieważ jednak nie wiedziała, co Oliver rozumiał przez to słowo, dała sobie spokój z dalszą dyskusją. W głowie kołatała się jej natrętna myśl: „Musimy zadzwonić do pani

Archer albo w inny sposób dać jej znać, że Tomek jest zdrów i cały".

Jak dotąd, była to ich jedyna kłótnia. Poza tym całe przedsięwzięcie, które przecież mogło lub nawet powinno było źle się skończyć - udało się nad podziw. Drogi były przejezdne, pogoda piękna, a krajobrazy zachwycające - jakby wszystko zmówiło się, by umilić im podróż.

Wprawdzie w Krainie Jezior padało - ale co z tego? Założyli nieprzemakalne płaszcze i wybrali się na długi spacer, niosąc Tomka na barana, roześmianego jak zawsze. W przytulnym hoteliku czekały na nich sypialnie z ogniem płonącym na kominkach, a nad jeziorem - molo z zacumowanymi łódkami. Wieczorem, kiedy miła pokojówka czuwała nad snem Tomka, Wiktoria i Oliver jedli kolację przy świecach - pstrąga z rusztu i befsztyki po angielsku, świeże, nie mrożone!

W nocy, leżąc w ciepłej miękkiej pościeli i ramion Olivera, Wiktoria nie spała, lecz w ciemności wpatrywała się w firankę poruszającą się w otwartym oknie, czując na policzkach chłodny, wilgotny powiew. W nocnej ciszy słychać było szum morza i skrzypienie łódek zacumowanych w przystani. Pomyślała, że to wszystko jest zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. To z pewnością nie potrwa już długo. Coś musi się wydarzyć!

Obawy jej okazały się nieuzasadnione, bo nic się nie wydarzyło. Nazajutrz, kiedy przekraczali granicę Szkocji, pogoda się poprawiła. Po południu zobaczyli ośnieżone szczyty Zachodniego Pasma. U podnóża Glencoe wstąpili do baru na herbatę i świeżo upieczone bułeczki z masłem. W miarę jak posuwali się dalej, krajobraz stawał się coraz bardziej malowniczy. Oliver poinformował Wiktorię, że to miejsce nazywa się Lochaber. Nawet zaśpiewał jej piosenkę, w której powtarzała się ta nazwa...

* * *

Skoro dziś są w Loch Morąg, to jutro albo pojutrze będą już w Benchoile. Wiktoria zupełnie zatraciła poczucie czasu, a właściwie poczucie czegokolwiek. Obserwując bawiącego się Tomka, zwinęła się ciasno w kłębek i oparła podbródek na kolanach. „Szkoda, że szczęście nie jest czymś materialnym - marzyła. - Można by je ukryć w bezpiecznym miejscu, na przykład w pudełku z wieczkiem lub butelce z korkiem. W złych chwilach uchylałoby się wieczko, popatrzyło na nie, dotknęło, powąchało i znów wszystko byłoby dobrze”.

Tomek zmęczył się już rzucaniem piasku do morza. Podniósł się na swoich krótkich nóżkach i rozejrzał dokoła. Zauważył, że Wiktoria nadal siedzi w tym samym miejscu, co przedtem. Uśmiechnął się szeroko i podreptał ku niej.

Na jego widok w sercu Wiktorii wezbrała bezbrzeżna czułość. „Jeżeli w ciągu czterech dni zdążyłam go tak pokochać - pomyślała - to co w tej chwili czuje pani Archer, nie wiedząc, gdzie on jest?”

Nie była w stanie znieść tej świadomości. Woląta więc tchórzliwie odgonić od siebie przykre myśli. Otworzyła ramiona i porwała w nie nadbiegającego Tomka. Przytuliła go mocno, a wiatr rozwiewający jej długie włosy musnął nimi jego policzek. To łaskotało, więc chłopczyk serdecznie się roześmiał.

* * *

Gdy Wiktoria z Tomkiem bawili się na plaży, Oliver przeprowadzał ważne rozmowy telefoniczne. Poprzedniego wieczoru odbyła się premiera jego sztuki „Złamany szeląg”, więc nie mógł się doczekać pierwszych recenzji w porannych gazetach. Nie denerwował się zbytnio, bo wiedział, że sztuka jest dobra - chyba nawet najlepsza spośród jego dotychczasowych utworów. Nie można było jednak przewidzieć reakcji publiczności ani tego, czy debiutująca w tej sztuce aktorka Jennifer Clay nie zawiedzie.

Oliver tkwił ze słuchawką przy uchu już prawie godzinę,

chłonąc każde słowo reżysera z Bristolu, który odczytywał mu entuzjastyczne recenzje. Reżyser poinformował go też, że pod koniec tygodnia na przedstawienie wybierają się krytycy teatralni z „Sunday Timesa” i „Observera”. Jennifer Clay ma zadatki na prawdziwą gwiazdę, sztuka wzbudziła też zainteresowanie dyrektorów dwóch teatrów na West Endzie.

- Zdaje się, że to będzie przebój kasowy! - zacierał ręce reżyser.

Oliver, rzecz jasna, ucieszył się z tego, lecz nie był zaskoczony - widział przecież sztukę podczas prób. Po zakończeniu rozmowy z Bristolem zadzwonił do swojego agenta, który potwierdził dobre wiadomości. Mało tego, poinformował Olivera, że być może w Nowym Jorku wystawią jego sztukę „Człowiek w ciemnościach”, która w zeszłym roku odniosła sukces w Edynburgu.

- Czy to by cię interesowało? - Chciał wiedzieć agent.

- W jakim sensie?

- To znaczy, czy byłbyś gotów lecieć do Nowego Jorku, gdyby zaszła taka potrzeba?

Oliver uwielbiał Nowy Jork, toteż skwapliwie przytaknął:

- Pojadę bardzo chętnie, nawet gdybym nie musiał.

- A teraz jak długo cię nie będzie?

- Jakies dwa tygodnie.

- To gdzie cię można złapać?

- Od czwartku będę pod telefonem w Benchoile. To jest w Sutherland, w majątku Roddy'ego Dunbeatha.

- Tego od „Wieku orłów”?

- Tego samego.

- Jaki tam jest numer?

Oliver przrzucił kartki swego kalendarzyka i podyktował:

- Creagan, dwieście trzydzieści siedem.

- Zanotowałem. Zadzwonię, jak dowiem się czegoś nowego.

- Tak, koniecznie!
- No to jeszcze raz gratuluję i trzymaj się! - Agent odwiesił słuchawkę.

Oliver rozłączył się nie od razu, lecz po chwili, jakby mu było żal, że rozmowa już się skończyła. Poczł ogromną ulgę, że jest już po wszystkim. Sztuka „Złamany szeląg” zaczęła żyć własnym życiem, jak dziecko wychodzące z domu rodzinnego w świat. Ta sztuka była rzeczywiście jego dzieckiem, poczętym z miłości, urodzonym w bólach, wypielęgowanym i wypieszczonym. Dopiero teraz Oliver przestał być za nią odpowiedzialny.

Nareszcie było już po wszystkim - koniec prób, ustalania obsady, dokonywania pospiesznych poprawek i wielkiej improwizacji.

„To będzie przebój kasowy...”

A co dalej? Oliver nerwowo zapalił papierosa. Coś się szykowało, ale jeszcze nie wiedział co. Człł tylko podświadomie, jak jego wyobraźnia znów zaludnia się nowymi postaciami. Żyły w określonych miejscach, miały swój charakterystyczny sposób bycia, prowadziły rozmowy w określonym stylu i miały własne, indywidualne oblicza. I wszystkie były wytworami jego genialnego umysłu!

Zwiastuny rodzenia się nowego utworu Oliver odczuwał tak dramatycznie jak większość mężczyzn zakochanie się. Ten etap pracy twórczej sprawiał mu największą przyjemność i był podniecający jak oczekiwanie na podniesienie kurtyny przed pierwszym aktem. Wtedy jeszcze nie wiadomo, co nas czeka, ale mamy pewność, że będzie to coś wspaniałego, lepszego niż kiedykolwiek dotąd oglądaliśmy.

Oliver wstał z łóżka, podszedł do okna i otworzył je na oścież. Na dworze było chłodno, mewy z piskiem zataczały kręgi nad kutrem, który pod wiatr torował sobie drogę na pełne morze. Za ciemnobłękitną taflą zalewu widać było ośnieżone szczyty wzgórz, a z okna rozciągał się widok na hotelowy park i skrawek plaży. Widział Wiktorię i Tomka,

lecz oni nie zdawali sobie sprawy, że są obserwowani. Akurat Tomek zmęczył się zabawą w rzucanie piasku do morza i podbiegł do Wiktorii. Ta porwała go w objęcia, a jej długie, jasne włosy przesłoniły jego pyzatą, rumianą buzię.

Ta rozczulająca scena w połączeniu z grą wyobraźni wprawiła Olivera w nieczęsty stan euforii. Zdawał sobie sprawę, że to uczucie długo nie potrwa, może dzień lub dwa, a może tylko godzinę lub dwie. W tej chwili świat wydawał mu się piękniejszy i bardziej przyjazny, a najbliższe zdarzenie stawało się czymś szalenie ważnym. Czułość przeradzała się w miłość, a miłość - ten wyświechtany zwrot - w namiętność...

Oliver zamknął okno i zszedł na dół, aby podzielić się nowinami z Wiktoria.

VIII

Czwartek

Za piętnaście dziewiąta, kiedy John Dunbeath wysiadł z windy na dziewiątym piętrze wieżowca, gdzie mieściły się biura Banku Inwestycyjnego Warburg, Sp. z o.o. - sekretarka, panna Ridgeway, siedziała już przy swoim biurku. Na widok szefa podniosła głowę i przywitała go, jak zawsze uprzejmym i beznamiętnym tonem:

- Dzień dobry panu!

- Cześć! - odpowiedział z przyzwyczajenia, bo wszystkim swoim dotychczasowym sekretarkom mówił po imieniu, a sztywne „panno Ridgeway” nie przeszłoby mu chyba przez gardło. W końcu już od kilku miesięcy pracowali razem. Dużo prościej byłoby zwracać się do niej „Mary”, „Daphne” czy jak tam się nazywała. Kłopot w tym, że nie znał jej imienia, a stosunki między nimi miały charakter tak formalny, że krępował się zapytać.

Nieraz - przyglądając się, jak założywszy nogę na nogę bezbłędnie stenografuje to, co jej dyktował - zastanawiał się, jak wygląda jej życie prywatne. Może w wolnych chwilach chodzi na koncerty, a urlopy spędza we Florencji? Albo, jak bohaterka pewnego filmu, po pracy zdejmuje okulary, rozpuszcza swoje mysłopopielate włosy i oddaje się orgiom seksualnym?

Być może, ale miał świadomość, że nigdy tego się nie dowie.

- Jak się panu udał wyjazd? - spytała wzorowa sekretarka.

- Dziękuję, wszystko w porządku. Tyle tylko, że przy-
lecieliśmy z opóźnieniem, bo mieliśmy wymuszone lądowa-
nie w Rzymie.

Obrzucając spojrzeniem jego ciemny garnitur i czarny
krawat, uzupełniła:

- Otrzymał pan telegram od ojca?

- Tak, dziękuję pani bardzo.

- Przyszedł we wtorek rano, ale wiedziałam, że to dla
pana ważne, więc kazałam przetelegrafować do Bahrajnu.
Oryginał leży na pańskim biurku razem z pocztą...

John skierował się w stronę swego gabinetu, a panna
Ridgeway szła tuż za nim.

- ... i z wczorajszym „Timesem”, w którym jest ta
informacja. Przypuszczałam, że zechce pan przeczytać.

Rzeczywiście, pomyślała o wszystkim! John jeszcze raz
jej podziękował i wyciągnął z teczki plik dużych płacht pa-
piero zapisanych starannym ręcznym pismem. Był to brud-
nopis sprawozdania, nad którym pracował w samolocie.

- Niech pani jak najszybciej da to do przepisania. Pan
wiceprezes na pewno będzie chciał to zobaczyć. A kiedy
przyjdzie Rogerson, proszę mu powiedzieć, żeby się do
mnie odezwał.

Spojrzał na swoje biurko i przypomniał sobie:

- Ma pani dzisiaj „Wall Street Journal”?

- Mam.

- To proszę mi go przynieść, a także „Financial Times”,
bo nie miałem czasu kupić.

Panna Ridgeway była już gotowa do wyjścia, lecz ją
zatrzymał:

- Proszę chwileczkę poczekać!

Kiedy wróciła, pochylił się nad stertą papierów.

- Z tego proszę zrobić kopię. I jeśli pani może, proszę
spróbować dowiedzieć się czegoś więcej o firmie niejakiego
Albrighta z Teksasu, która prowadzi wiercenia w Libii. To
proszę przeteleksować do szejka Mustafy Saida, a to... i to...

- Czy to już wszystko? - ośmieliła się wtrącić.

- Na razie tak - z uśmiechem zawiesił głos. - Tylko jeszcze proszę o dużą filiżankę mocnej kawy.

Panna Ridgeway uśmiechnęła się ze zrozumieniem, przez co od razu zyskała więcej ludzkiej zwyczajności. Żeby tak uśmiechała się częściej!

- Zaraz przyniosę - obiecała i wyszła, bezszelestnie zamykając za sobą drzwi.

John usiadł przy swoim wypolerowanym na wysoki połysk biurku i zastanawiał się przez chwilę, od czego zacząć. Pojemnik na pisma urzędowe był wypełniony po brzegi, listy starannie wpięte pod odpowiednie fiszki i ułożone według ważności - najpilniejsze na wierzchu, a prywatna korespondencja w środku. Leżał tam również wczorajszy numer „Timesa”.

Podniósł słuchawkę i poprosił o wewnętrzne połączenie.

- Chciałbym mówić z panem Gardnerem.

Równocześnie, przyciskając słuchawkę podbródkiem, otworzył gazetę na ostatniej stronie. Tymczasem otrzymał już połączenie:

- Mówi John Dunbeath. Czy zastałem pana Gardnera?

- Przykro mi, panie Dunbeath, ale akurat nie ma go w pokoju. Czy mam mu powiedzieć, żeby do pana zadzwonił, kiedy wróci?

- Tak, proszę.

Odłożył słuchawkę i zajął się gazetą. Oto, jakiej treści informację tam znalazł:

16 lutego w Benchoile, hrabstwo Sutherland, zmarł nagle, przeżywszy lat 68, podpułkownik w stanie spoczynku John Rathbone Dunbeath, kawaler wielu orderów, sędzia pokoju, weteran pułku strzelców szkockich. Pogrzeb odbędzie się w czwartek, 19 lutego, po nabożeństwie żałobnym w kościele parafialnym w Creagan o godz. 10'".

Przypomniał sobie starszego pana, wysokiego i szczupłego, z którego w każdym calu przebijał emerytowany wojskowy. Na swoich długich nogach bez kłopotu wdzierał się na zbocza porośnięte sięgającym kolan wrzosem.

Uwielbiał polowanie na pardwy, łowienie ryb i swoją ziemię. Nigdy się specjalnie nie przyjaźnili, ale śmierć tak bliskiego krewnego zrobiła na Johnie wrażenie.

Odłożył gazetę i wziął do ręki telegram od ojca, umieszczony przez pannę Ridgeway w kopercie. Jeszcze raz przeczytał tekst, który już dwa dni temu otrzymał w Bahrajnie: *Stryj jock umarł zawał benchoile poniedziałek 16 luty stop pogrzeb creagan 19 luty czwartek 10³⁰ stop byłbym wdzięczny gdybyś reprezentował naszą rodzinę stop tato.*

Jeszcze z Bahrajnu odelegrafował do rodziców w Kolorado z wyjaśnieniem, dlaczego nie może spełnić ich prośby. Do Benchoile wysłał dłuższy telegram z wyrazami współczucia i bardziej drobiazgowym usprawiedliwieniem swej nieobecności. Zanim wyruszył w drogę powrotną do domu, napisał do Roddy'ego list kondolencyjny, który wysłał ekspresem z lotniska Heathrow.

Miał do przeczytania jeszcze dwa listy, jeden zaadresowany ręcznie, a drugi na maszynie. Wybrał ten pierwszy i już zaczął go otwierać, gdy jego uwagę przykuł charakter pisma nadawcy. Staroświeckie linie, czarny tusz, wyraźnie odznaczające się duże litery... John spojrzał na stempel pocztowy i odczytał na nim: „Creagan, 10 lutego”.

Żołądek podszedł mu do gardła. Jego ojciec powiedziałby w takim przypadku: „Wszelki duch Pana Boga chwali!” Zawsze tak mówił, kiedy John, jako mały chłopiec, bał się nie wiadomo czego. Rzeczywiście, jakby to był duch...

Wyjęty z koperty list potwierdził jego podejrzenia. Był napisany przez Jocka Dunbeatha.

*Benchoile
poczta Creagan
hrabstwo Sutherland
środa, 9 lutego*

Drogi Johnie!

Twój Ojciec pisze, że znowu jesteś w Anglii i że dostałeś pracę w Londynie. Nie wiem, gdzie mieszkasz, więc piszę pod adres Twojego biura.

Dawno u nas nie byłeś. Sprawdziłem w księdze pamiątkowej - to już dziesięć lat. Wiem, że jesteś bardzo zajęty, ale gdybyś znalazł trochę czasu, może wybrałbyś się na północ i wpadł na parę dni do Benchoile? Do Inverness można dolecieć samolotem lub dojechać pociągiem z dworca Euston. Roddy lub ja wyjechalibyśmy po Ciebie. Chodzą także pociągi do Creagan, ale rzadko i zwykle strasznie opóźnione.

Zimą mieliśmy łagodną, ale jeszcze mogą nastać mrozy. Lepiej teraz niż na wiosnę, bo mogłyby narobić szkody w wylęgach pardw.

Daj mi znać, co o tym myślisz i jaki termin by Ci odpowiadał. Bardzo chcielibyśmy znów Cię zobaczyć.

Z najlepszymi życzeniami -

kochający stryj Jock

Ten list zza grobu wyprowadził Johna z równowagi. Jasne, że stryj Jock napisał go na kilka dni przed śmiercią, zanim powalił go zawał. John usiadł wygodnie i jeszcze raz przeczytał list, próbując doszukać się jakichś podtekstów między starannie wykaligrafowanymi wierszami. Nie znalazł jednak niczego w tym rodzaju.

„...to już dziesięć lat”. Tak, minęło już dziesięć lat. Kiedy tam był ostatni raz, jako osiemnastoletni absolwent szkoły w Wellington, wybierał się właśnie na studia do Cambridge. Wtedy wraz z ojcem spędził w Benchoile część wakacji. Więcej się tam już nie pojawił.

Wspominając to po dziesięciu latach, poczuł się winny. Za dużo jednak przeżył w ciągu tego okresu i za dużo działo się nadal. Studiował w Cambridge, potem w Nowym Jorku, a jeszcze później w Harvardzie, spędzając kolejne wakacje na ranczu rodziców w Kolorado lub na nartach w Aspen. Odkąd zaś w jego życie wkroczyła Liza - całą energię poświęcił na to, aby dotrzymać jej kroku. Musiał dbać o to, aby była zadowolona, dostarczać jej rozrywek i zapewniać taki poziom życia, na jaki, według siebie, zasługiwała. Małżeństwo z Lizą oznaczało więc koniec

wakacji w Kolorado. Życie na ranczu nudziło ją, a na jazdę na nartach była zbyt wątpliwa. Uwielbiała natomiast plażowanie i sporty wodne, toteż zaczęły się wyjazdy do Indii Zachodnich, na wyspy Antigua czy Bahama. John próbował polubić nurkowanie i żeglarstwo, ale usychał z tęsknoty za górami.

Po rozwodzie rzucił się w wir pracy tak dalece, że nie miał czasu nawet wyjechać za miasto. Doszło do tego, że szef nakazał swemu podwładnemu zwolnić tempo i w tym właśnie celu wydelegował go do Londynu. Nie był to tylko awans, lecz posunięcie konieczne dla jego zdrowia. Londyn był miastem spokojniejszym niż Nowy Jork, tempo życia nie było tak oszałamiające i atmosfera mniej napięta.

„Teraz będziesz miał szansę odwiedzić Roddy'ego i Jocka” - zareagował ojciec na wiadomość o przeniesieniu syna. John jednak nigdy się jakoś na to nie zdobył. Teraz odczuwał z tego powodu wyrzuty sumienia, ale prawda była taka, że Benchoile, mimo swego bezspornego piękna, nie było dla niego atrakcyjnym miejscem. Wzgórza i doliny Sutherland nie imponowały komuś, kto się wychował w sercu Gór Skalistych. Owszem, były tam wody bogate w ryby, ale nie wytrzymały konkurencji z dopływami potężnej rzeki Uncompahgre, płynącej przez włości jego ojca. Farma w Benchoile była mała w porównaniu z rozległym ranczem w Kolorado, a tradycje i obyczaje myśliwskie towarzyszące polowaniu na pardwy były Johnowi zupełnie obce.

Od wczesnej młodości był gorącym przeciwnikiem zabijania zwierząt i nigdy nie brał udziału w polowaniach na łosie czy jelenie, jak to robili znajomi. Niby dlaczego miałby sprzeniewierzyć się swoim poglądom i przyzwyczajeniom? Tylko dlatego, że przebywał akurat w Szkocji i spodziewano się tego po nim? Głównie jednak trzymał się z daleka od Benchoile z tego powodu, że miał wrażenie, jakby stryj Jock niezbyt go lubił. Ojciec przekonywał go wprawdzie, że stryj jest tylko małomówny i niezbyt wylew-

ny, ale John mimo wysiłków nie był w stanie zmusić się do nawiązania z nim bliższych stosunków. Wszelkie próby rozmowy stanowiły tylko przykry zgrzyt, jakby nie nasmarowanych kół wagonu.

John z westchnieniem otworzył następną kopertę, nie analizując już charakteru pisma nadawcy. Myślami był jeszcze przy liście od Jocka. Rozłożył wyjętą z koperty kartkę z nadrukowanym staroświeckim nagłówkiem:

*Zespół Adwokacki
McKenzie, Loith i Dudgeon
18 Trade Lane
Inverness*

17 luty 19..

*W.P.
John Dunbeath
Bank Inwestycyjny **Warburg**
Sp. z o.o.
Londyn*

Szanowny Panie!

Moim obowiązkiem jest poinformować Pana, że na mocy testamentu Pańskiego stryja, Jocka Rathbone 'a Dunbeatha, odziedziczył Pan majątek Benchoile w hrabstwie Sutherland.

Ośmielam się sugerować, że powinien Pan jak najszybciej skontaktować się ze mną, aby wydać polecenia co do dalszego zarządzania majątkiem oraz pańskich planów z nim związanych.

W każdej chwili jestem do dyspozycji.

Szczerze oddany -

Robert McKenzie

Gdy panna Ridgeway wniosła do gabinetu mocną czarną kawę w filiżance z eleganckiej porcelany Wedgwood, zastała Johna siedzącego bez ruchu przy biurku, z łokciami na blacie i twarzą ukrytą w dłoniach.

- Przyniosłam panu kawę - oświadczyła, ale kiedy podniósł głowę, wyraz jego ciemnych oczu tak ją zanie-

pokoił, że nie omieszkała zapytać, czy przypadkiem nie stało się coś złego.

John nie odpowiedział od razu, dopiero gdy odchylił się na oparcie krzesła z rękami opuszczonymi na podołek, powiedział, że owszem, coś się stało. Panna Ridgeway odczekała chwilę, ale kiedy zorientowała się, że szef nie ma zamiaru rozwijać tego tematu - postawiła na biurku filiżankę i taktownie się wycofała, delikatnie zamykając drzwi za sobą.

IX

Ten sam czwartek

W miarę jak Oliver i Wiktoria posuwali się na wschód - zostawiali za sobą zalewy zachodniej Szkocji, nadmorskie wioski i zapach wodorostów. Pusta o tej porze szosa wiła się zakosami pod górę, a krajobraz zmieniał się jak w kalejdoskopie. Jedynymi żywymi istotami zamieszkującymi dzikie i bezludne wrzosowiska wydawały się zbłąkane owce i unoszące się w powietrzu drapieżne ptaki.

Dzień był chłodny i pochmurny, wiał wschodni wiatr. Po niebie przesuwały się kłębiaste chmury, przesłaniające bladoniebieskie niebo i słabe zimowe słońce. Nie łagodziło to jednak ponurej pustki tych okolic, a raczej ją potęgowało.

Wokół rozciągał się pagórkowaty teren, usiany płatami zrudziałej darni i ciemnymi kępami wrzosu. Tu i ówdzie ziało wyrobisko torfowe lub ciemna plama bagna. Resztki śniegu, zalegającego w rowach, kotlinkach i załomach kamiennych murków, jaśniały jak płaty białej sierści u srokatego konia. Im wyżej pięła się szosa, tym więcej było śniegu, a na wierzchołkach pagórków, jakby na dachu wrzosowiska, leżała około osiemnastocentymetrowa warstwa puchu. Na szosie pojawiły się zdradliwe pasma lodu, na których ślizgały się koła volvo.

Oboje czuli się jak na biegunie północnym albo na księżycu; w każdym razie w takim miejscu, którego nie spodziewali się odwiedzić. Wkrótce jednak odludne wrzo-

sowiska zniknęły równie nagle, jak się pojawiły. Kiedy minęli dział wodny, szosa zaczęła opadać. Ukazały się rzeki, wodospady, stanowiska jodły i modrzewia. Najpierw pojawiły się pojedyncze zagrody, potem samotne farmy, w końcu całe wsie. Teraz przejeżdżali wzdłuż rozległego jeziora z zaporą wodną. Za elektrownią znajdowało się miasteczko, którego główna ulica biegła brzegiem jeziora. Widać już było hotel i żwirowaną przystań z kilkoma łódkami. Strzałka przed skrzyżowaniem wskazywała skręt w stronę Creagan.

- Jesteśmy prawie na miejscu! - stwierdziła przejęta Wiktoria.

Ze schowka przy desce rozdzielczej wyjęła mapę i z wątpliwą pomocą Tomka usiłowała ją rozłożyć. Brzeg szerokiej płachty papieru zaczepił o kierownicę. Oliver odsunął go ze zniecierpliwieniem.

- Uważaj, zasłaniasz mi widoczność!

- Stąd jest już tylko dziesięć kilometrów do Creagan!

Tomek walnął swoim Prosiaczkiem w mapę, wytrącając ją z rąk Wiktorii.

- Lepiej schowaj tę mapę, bo podrze ją na strzępy!

- poradził Oliver, niespokojnie kręcąc się na siedzeniu. Prowadzenie samochodu w tych warunkach było męczące.

Wiktoria szybko złożyła mapę i schowała ją na miejsce. Szosa łagodnie opadała, wijąc się między skarpami porośniętymi paprocią i niskopiennymi laskami brzoźowymi. Wśród nich szemrał potoczek, iskrząc się i rozlewając w oczka wodne, to znów spadając małymi kaskadami. Już i słońce ukazało się zza chmur, a za ostatnim zakrętem wyłoniła się srebrzysta tafla morza.

- To jest jak cud - zauważyła Wiktoria. - Jedno wybrzeże zostawiliśmy za sobą, przejechaliśmy przez wrzosowiska i śniegi i znów jesteśmy nad morzem. Popatrz, Tomku, to jest morze!

Tomek spojrział we wskazanym kierunku, ale nie wykazał zbytniego zainteresowania. Z pewnością był zmęczony

długotrwałą podróżą. Nużyło go siedzenie na kolanach Wiktorii. Wsadził palec do buzi i odchylił się do tyłu, uderzając głową w pierś Wiktorii z taką siłą, że aż cios odbił się echem.

- Siedz spokojnie, smarkaczu - warknął ojciec.

- On jest bardzo spokojny! - Wiktoria stanęła w obronie chłopczyka. - Tomeczek jest grzeczny, tylko już mu się nudzi. Jak myślisz, czy w Creagan jest jakaś plaża? To znaczy, taka normalna, piaszczysta, bo dotychczas napotykaliliśmy same kamieniste. Gdyby tu było coś takiego, mógłby się tam bawić.

- Zapytamy o to Roddy'ego.

Wiktoria przetrawiała w sobie ten problem.

- Mam nadzieję, że nie sprawimy mu kłopotu! - Wciąż nie mogła wyzbyć się niepokoju.

- Powtórzyłaś to już co najmniej dziesięć razy. Nie zaprzataj sobie tym głowy.

- Kiedy ciągle mi się wydaje, że postawiliśmy go przed faktem dokonanym. Może po prostu nie zdążył wymyślić żadnej wymówki.

- Akurat. Był zachwycony, że wreszcie ktoś go trochę rozrusza.

- Ciebie zna, ale nie zna Tomka ani mnie.

- Będziecie więc musieli przedstawić się z najlepszej strony. Jak znam Roddy'ego, nie przeszkadzałoby mu, gdybyś nawet miała dwie głowy i ogon. Powie ci po prostu „Cześć”, a mnie, co daj Boże, poda dużą szklanekę ginu z tonikiem.

* * *

Widok Creagan mile ich zaskoczył. Wiktoria spodziewała się ujrzeć typowe północnoszkockie miasteczko, z jedną główną ulicą, wąską i otoczoną prostymi, szeregowymi domkami wyrastającymi wprost z bruku. Tymczasem główna arteria Creagan była szeroka, obsadzona drzewami, z chodnikami po obu stronach. Domy stały

pojedynczo, odsunięte od ulicy, z ogrodami od frontu, ciekawie rozwiązane pod względem architektonicznym.

W środku miasteczka główna ulica przechodziła w okazały plac, pośrodku którego, na tle zielonej murawy, wznosił się granitowy kościół o łupkowym dachu.

- Ależ tu ślicznie! Zupełnie jak w jakimś miasteczku we Francji! - wyraziła swój zachwyt Wiktoria.

- Tylko że tu jest strasznie pusto - uzupełnił Oliver.

Po chwili zauważyła to również Wiktoria. W miasteczku panowała cisza, jak w leniwe niedzielne przedpołudnie. Nawet jeszcze gorzej, bo nie słychać było dźwięku kościelnych dzwonów. Wokół nie było widać żywej duszy, przemykały tylko nieliczne samochody.

- Wszystkie sklepy pozamykane - zauważyła Wiktoria. - Na głucho, ze spuszczoneymi żaluzjami. Wcześniej zamykają.

Opuściła okno w samochodzie, aby nabrać haustu chłodnego powietrza. Tomek próbował wystawić głowę na zewnątrz, ale przyciągnęła go do siebie. Pachniało morzem i wodorostami. Z kalenicy któregoś z dachów dochodził pisk mewy.

- O, tu jest jakiś otwarty sklep - zwrócił uwagę Oliver.

Był to tylko kiosk z gazetami, w którym oprócz prasy wystawiono w witrynie także plastikowe zabawki, a w oszklonych drzwiach - całą kolekcję barwnych widokówek.

- Możemy kupić tu pocztówki - zaproponowała Wiktoria, zamykając okno, bo w samochodzie zrobiło się chłodno.

- A do czego potrzebne ci są pocztówki?

- Żeby je wysłać znajomym.

Od momentu przykrej rozmowy w Loch Morąg Wiktoria prześladowała uporczywa myśl o pani Archer i jej lęku o Tomka. Nadal nie była pewna, czy może ufać Oliverowi, ale tym razem postanowiła kuć żelazo póki gorące. Nabrała w płuca powietrza i wypaliła:

- Moglibyśmy napisać kartkę do babci Tomka.

Oliver nie odpowiedział, więc Wiktoria, nie zrażona, kontynuowała:

- Tylko parę słów, żeby ją uspokoić, że Tomek jest zdrowy i bezpieczny.

Oliver nadal milczał, co nie wróżyło dobrze, jednak próbowała dalej go przekonywać.

- Przecież to nic złego! - Była zła na siebie, bo wyczuła proszący ton we własnym głosie. - Można by wysłać list albo kartkę...

- Pieprzysz głupoty!

- No to chociaż pocztówkę.

- Za cholere nic jej nie wyślemy!

Nie wierzyła własnym uszom. Jak mógł być taki zatwardziały?

- Ale dlaczego? Myślałam tylko...

- To nie myśl. Jeśli nie potrafisz wydumać nic mądrzejszego, lepiej się wyłącz.

- Ależ...

- Tłuczemy się przez pół kraju właśnie po to, żeby uciec jak najdalej od Archerów. Gdybym chciał, żeby mi deptali po piętach, nasyłali na mnie adwokatów czy prywatnych detektywów, to nie wyjeżdżałbym w ogóle z Londynu.

- Ale gdyby ona wiedziała, gdzie on jest...

- Zamknij się!

Ważne było nie to, co powiedział, lecz ton, jakim to powiedział. W samochodzie zapanowała cisza. Wiktoria spoglądała na Olivera spod oka. Jego profil wydawał się jak wycięty z kamienia, wysunął dolną wargę i zwężonymi oczami wpatrywał się w szosę. Minęli już miasteczko i samochód zaczął nabierać prędkości, gdy natrafili na znak wskazujący boczną drogę wiodącą w głąb łądu, do Benchoile i Loch Muie. Zaskoczyło to Olivera, tak że gwałtownie przyhamował i z piskiem opon skręcił w wąską, jednokierunkową szosę.

Wiktoria patrzyła przed siebie nie widzącym wzrokiem.

Czuła, że Oliver się myli. Dlaczego jest taki uparty? Ale i ona potrafi być uparta, więc wróciła do tematu.

- Sam mówiłeś, że ona nie ma żadnych praw do dziecka i nie może ci go odebrać.

Odpowiedzią było milczenie.

- Skoro jesteś taki pewny siebie - ciągnęła - to co ci szkodzi dać jej znać, że z chłopcem jest wszystko w porządku?

Ponieważ milczał dalej, Wiktoria zagrała swoją kartą autową.

- Skoro sam nie chcesz zawiadomić pani Archer, że Tomek jest zdrow i cały, to pozwól, żebym ja to zrobiła.

Dopiero teraz Oliver przemówił, złowroźnie ściszym głosem:

- Spróbuj tylko, a obiecuję, że spiorę cię na kwaśne jabłko!

Ton jego głosu wskazywał, że dotrzymałby słowa. Wiktoria była tym tak niemile zaskoczona, że daremnie próbowała się pocieszyć. Wmawiała sobie, że Oliver, jak to on, jest mocny tylko w gębie, ale nie brzmiało to przekonująco. Przerażająca była zimna zawziętość w jego głosie, przyprawiająca ją o drżenie, jakby już ją uderzył. Nagle obraz jego kamiennej twarzy zamglił się w jej oczach. Szybko odwróciła głowę, żeby nie zauważył łez, a potem dyskretnie je wytarła.

Do Benchoile przybyli skłóćeni, a Wiktoria z trudem panowała nad sobą, żeby nie wybuchnąć płaczem.

* * *

Pogrzeb Jocka Dunbeatha, jak przystało na tak szanowanego obywatela, odbył się z wielką pompą. Kościół, a potem cmentarz, wypełniony był żałobnie ubranymi mężczyznami różnych profesji, którzy przybyli nieraz z daleka, aby oddać ostatnią posługę swemu staremu przyjacielowi.

Stypa natomiast była skromna. Tylko najbliżsi koledzy zmarłego wstąpili po pogrzebie do Benchoile, aby posiedzieć przy kominku w bibliotece i powspominać przy domowych wyrobach Ellen i kieliszku najlepszej słodowej whisky.

Wśród gości znalazł się Robert McKenzie, prawnik, pełnomocnik rodziny Dunbeathów i zarazem bliski przyjaciel Jocka. Był drużbą na jego ślubie, a Jock z kolei trzymał do chrztu jego najstarszego syna. Przyjechał z Inverness już wcześniej rano, w długim, czarnym płaszczu, w którym wyglądał jak przedsiębiorca pogrzebowy. Potem przyłączył się do mężczyzn niosących trumnę.

Po wypełnieniu ostatniej posługi, kiedy już dostał drinka, ożywił się i przystąpił do rzeczy. Odciągnął Roddy'ego na stronę i zapytał:

- Czy mógłbym zamienić z tobą parę słów?

Roddy przyjrzał mu się uważnie, ale poważny wyraz twarzy prawnika oznaczał, że nie zamierza on odstąpić od swego zamiaru. Roddy westchnął, gdyż wprawdzie spodziewał się tego, ale nie tak szybko.

- Oczywiście, stary, w każdej chwili. Pewnie chcesz, żebym wstąpił do ciebie. Może na początku przyszłego tygodnia?

- Nawet lepiej później, ale chciałbym, żebyś teraz poświęcił mi jakieś pięć minut.

- Nie ma sprawy. Może zostaniesz na lunchu? Będzie tylko zupa i sery, ale zawsze jesteś naszym najmilszym gościem.

- Nie, muszę już wracać, bo o trzeciej mam ważne spotkanie. Chciałbym tylko zająć ci chwilkę czasu, kiedy tamci już wyjdą.

- W porządku. - Roddy tymczasem spostrzegł, że któryś z gości trzyma w ręku pustą szklankę. Zwrócił się więc do niego ze słowami: - Strzemiennego, stary?

Mimo że to stypa, nastrój nie był żałobny. Przywoływano tylko przyjemne wspomnienia, toteż na twarzach

gości pojawiły się uśmiechy, a nawet ten czy ów głośno się zaśmiał. W końcu wszyscy znajomi powiadali do swoich furgonetek, łazików czy wielomiejskowych „rodzinnych” samochodów i odjechali. Roddy stał w drzwiach frontowych i odprowadzał ich wzrokiem. Czuł się w tym momencie tak, jakby żegnał się z uczestnikami jakiegoś fascynującego polowania. Jock też lubił używać takich porównań. Wkrótce ostatni samochód znikł za szpalerem różaneczników i wybiegiem dla bydła. Na miejscu pozostał tylko rover należący do Roberta McKenzie.

Kiedy Roddy wrócił do domu, Robert czekał już na niego przy kominku, grzejąc plecy przy ogniu.

- Jakoś wszystko dobrze poszło - zagaił.

- Chwała Bogu, że nie padało. Nie ma nic gorszego niż pogrzeb w deszczu. - Ponieważ wypił do tej pory tylko dwie małe whisky, a Robert miał trochę w szklance - nalał sobie jeszcze jedną. - To o czym chciałeś ze mną mówić?

- O Benchoile.

- Tak też myślałem.

- Nie wiem, czy Jock powiedział ci, co ma zamiar zrobić z tym majątkiem?

- Nigdy nie rozmawialiśmy na ten temat, bo nie było takiej potrzeby. No, ale teraz, kiedy sytuacja się zmieniła, pewnie będziemy musieli.

- A czy nie wspominał o młodym Johnie?

- O synu Charliego? Nigdy, a bo co?

- Zapisał mu cały majątek.

Roddy właśnie dolewał wody do swojej whisky, ręka mu zdrząła i rozlał trochę na tacę. Napotkał spojrzenie Roberta i powoli odstawił dzbanuszek z wodą.

- O, Boże! - stęknął.

- Nie wiedziałeś o tym?

- Absolutnie.

- Z tego, co wiem, Jock chciał to z tobą omówić. Na pewno miał zamiar, tylko może okazja się nie nadarzyła.

- Prawdę mówiąc, widywaliśmy się dosyć rzadko, choć niby mieszkaliśmy pod jednym dachem. Prawie nie rozmawialiśmy ze sobą... - Roddy zmieszał się i zawiesił głos.

- A czy masz coś przeciwko temu? - badał ostrożnie Robert.

Błękitne oczy Roddy'ego rozszerzyły się ze zdumienia.

- Ja? Ależ skąd! Właściwie Benchoile nigdy nie było moje. Nie mam pojęcia o rolnictwie, ogrodnictwie ani prowadzeniu domu. Tak naprawdę nigdy nie interesowałem się specjalnie polowaniem na pardwy. Jestem tu tylko lokatorem.

- A więc nie myślałeś o sobie jako spadkobiercy?

- Robert odczuł wyraźną ulgę.

Wprawdzie nie zdarzało się, aby Roddy Dunbeath z czymś się nie zgadzał, ale mógł być chociaż rozczarowany. Okazało się, że i to nie.

- Prawdę mówiąc, stary, nigdy nie myślałem, że Jock tak prędko umrze. Zawsze był w świetnej formie, chodził w góry, pomagał Daveyowi Guthrie'emu zaganiać owce, a nawet pracował w ogrodzie.

- Ale kiedyś przeszedł zawał - przypomniał Robert.

- Tak, ale bardzo lekki, doktor mówił, że nie ma się czym przejmować. Chyba czuł się dobrze, przynajmniej nigdy się na nic nie uskarżał. Tyle tylko, że Jock nigdy nie narzekał... - nie dokończył zdania. Prawnik odniósł wrażenie, że tym razem procesy myślowe przebiegają u niego wolniej niż zwykle.

- Ależ, Roddy! - zawołał. - Kiedy Jock umarł, na pewno zastanawiałeś się, co się stanie z Benchoile.

- Prawdę mówiąc, stary, nie miałem czasu zastanawiać się nad czymkolwiek. Wiesz, ile zawsze jest do załatwienia w takim przypadku. W środku nocy budziłem się zlany zimnym potem i próbowałem sobie przypomnieć, o czym jeszcze zapomniałem.

- Ależ...

- Ale okazywało się, że nie zapomniałem o niczym - dokończył z uśmiechem.

Wobec powyższego Robert dał spokój rozważaniom nad przyszłością Roddy'ego.

- Wracając do Johna, napisałem do niego, ale dotychczas nie otrzymałem odpowiedzi.

- Przysłał mi telegram, z którego wynikało, że nie mógł przyjechać, bo był w Bahrajnie.

- Zaprosiłem go, żeby do mnie wpadł, kiedy wróci. Muszę z nim porozmawiać o przyszłości majątku.

- Pewnie, trzeba to z nim omówić. - Roddy pomyślał chwilę i dokończył z przekonaniem: - On raczej nie zechce tu mieszkać.

- Skąd ta pewność?

- Po prostu nie wyobrażam sobie, co by go tu mogło zatrzymać.

- Jock był innego zdania.

- Czasem trudno się było domyślić, o co Jockowi naprawdę chodzi. Wydawało mi się, że niespecjalnie lubił syna Charliego. Byli aż do przesady uprzejmi dla siebie, a to zawsze jest podejrzane. No i John robi karierę zawodową, jest młody, zdolny, ruchliwy i umie robić pieniądze. Nie dlatego, żeby ich potrzebował, bo jego matka jest bogata z domu, ale jest Amerykaninem.

- Pół-Amerykaninem - sprostował Robert z uśmiechem.

- Wydawało mi się, że jesteś ostatnim człowiekiem na świecie, który mógłby uczynić z tego zarzut przeciwko niemu.

- Nie mam absolutnie nic przeciwko niemu, mało tego, uważam go za bardzo inteligentnego, wręcz wyjątkowego chłopaka. Tyle tylko, że nie wyobrażam go sobie jako dziedzica na Benchoile. Przecież on ma dopiero dwadzieścia osiem lat! - Im więcej Roddy o tym myślał, tym bardziej ta myśl wydawała mu się niedorzeczna. - Przypuszczam, że nie wie, gdzie owca ma łeb, a gdzie ogon.

- Aby się tego nauczyć, nie trzeba zbyt dużej mądrości.

- Dobrze, ale dlaczego właśnie John? - Obaj panowie kwaśno spojrzeli po sobie. - To znaczy, wiem, dlaczego. Po prostu ani Jock, ani ja nie mamy dzieci, więc nie było innego wyjścia.

- No więc, co się stanie z majątkiem?

- Przypuszczam, że John go sprzeda. Szkoda, ale nie mam pojęcia, co innego mógłby zrobić.

- A gdyby zostawił go sobie, aby przyjeżdżać tu na wakacje?

- Dwór o czternastu pokojach jest trochę za duży na letni domek.

- No to niech sprzeda dom, a zostawi sobie farmę.

- Aby sprzedać dom, musiałby odstąpić razem z nim prawo do polowania na tych gruntach. Tymczasem Davey potrzebuje tych terenów do wypasu owiec.

- A co ty zrobisz z sobą, jeśli John sprzeda Benchoile?

- Pytanie za sto punktów, prawda? Cóż, przeżyłem tu całe życie i może już za długo przesiedziałem w jednym miejscu. Mogę wyprowadzić się gdziekolwiek, choćby za granicę. Gdzieś daleko... - Robert wyobraził sobie Roddy'ego w kapeluszu panamskim, spacerującego po Majorce. - Na przykład do Creagan! - dokończył, na co Robert serdecznie się roześmiał.

- No więc cieszę się, że wiesz już o tym - podsumował. Dokończył drinka i odstawił szklanekę. - Myślę, że jakoś sobie z tym poradzimy. Prędzej czy później, na pewno John się tu zjawi. Poproś go wtedy, żeby do mnie zadzwonił.

- Dobra, stary. Nie ma sprawy!

Roddy odprowadził Roberta do drzwi.

- Będę z tobą w kontakcie - obiecał adwokat.

- Świetnie. Aha, i dziękuję ci za dzisiejszy dzień...

I w ogóle za wszystko!

- Będzie mi bardzo brakowało Jocka.

- Nam wszystkim też.

Adwokat odjechał, a wtedy Roddy zdał sobie sprawę,

że został naprawdę sam. Teraz już rzeczywiście było po wszystkim, ale, dzięki Bogu, jakoś poszło. Nie zdarzył się żaden przykry incydent i pogrzeb odbył się z wojskowym ceremoniałem, tak jakby organizował go sam Jock, a nie jego roztrzepany brat. Roddy westchnął, trochę ze smutkiem, ale i trochę z ulgą. Przez chwilę nadśłuchiwał klangoru dzikich gęsi ciągnących po niebie, ale było je tylko słyszeć, gdyż leciały ponad chmurami. W głąb doliny wiał słaby wiaterek, od którego marszczyła się łupkowoszara powierzchnia morza.

W dniu śmierci Jocka Benchoile przechodziło w ręce jego młodego bratanka Johna. Jeśli zdecydowałby się je sprzedać, dzień ten stałby się początkiem końca. W swoich książkach Roddy lansował tylko jeden sposób radzenia sobie z takimi problemami: czekać, co przyniesie los. Oznaczało to, że nie należy uprzedzać faktów ani ich przyspieszać, tylko pozostawić zdarzenia własnemu biegowi.

Roddy spojrzął na zegarek. Było już w pół do pierwszej. Przypomniał sobie, że o tej porze miał przyjechać Oliver Dobbs z jakąś kobietą i dzieckiem. Na pewno byli już blisko. Oliver należał chyba do tego rodzaju mężczyzn, przy których zawsze kręciła się jakaś kobieta.

W każdej chwili mogli tu być - ta perspektywa podniosła go na duchu. Dzisiejszy dzień był smutny, to prawda, ale w życiu jedno się kończy, a drugie zaczyna. Roddy nie bardzo wiedział, co to stare przysłowie ma wspólnego z Oliverem Dobbsem, ale uświadamiało mu ono jasno, że szkoda czasu na bezproduktywne wylewanie żalów. Ta świadomość przyniosła mu pewną ulgę.

Żadnej ulgi nie miał natomiast w męczarniach fizycznych, które znosił od samego rana. Przyczyną tych udręk była szkocka spódniczka, której nie nosił już ponad dwa lata. Uważał jednak, że na pogrzeb dziedzica majątku wypada ją nałożyć. Kiedy jednak wyciągnął spódniczkę z szafy, przesiąkniętą zapachem kamfory - stwierdził, że tymczasem znacznie utył i nie mieści się w niej. Po pięciu

minutach daremnych prób zapięcia spódniczki skapitulował i przeszedł do Wielkiego Domu, aby poprosić o pomoc Ellen Tarbat.

Zastał ją w kuchni, stojącą w uroczystą czerń, w sam raz odpowiednią na pogrzeb, i w najbardziej ponury kapelusz, jaki miała (choć żaden nie był zbyt jaskrawy). Wypłakała już swoje w poduszkę za zamkniętymi drzwiami sypialni, a teraz zdążyła otrzeć łzy i z zaciśniętymi zębami wycierała do połysku szklanki, które miały być ustawione na adamaszkowym obrusie w bibliotece. Na widok Roddy'ego, przytrzymującego wokół talii spódniczkę jak ręcznik po wyjściu z wanny, zareagowała tak, jak się tego spodziewał:

- A nie mówiłam?

Jednak odłożyła ścierkę i pospieszyła mu z pomocą, próbując starczymi rękami dopiąć rzemyki u spódniczki. Wyglądała przy tym jak chuderławy dżokej usiłujący ściągnąć popręg potężnemu, spasionemu koniowi. W końcu na siłę udało jej się zapiąć sprzączkę na ostatnią dziurkę paska.

- No, proszę - wydyszała z dumą w głosie. Przy tej czynności aż poczerwieniała, a kilka niesfornych siwych kosmyków wymknęło się jej z koka.

Roddy do tej pory wstrzymywał oddech, teraz ostrożnie wypuścił powietrze z płuc. Spódniczka ścisnęła mu brzuch jak dobrze zasnurowany gorset - dobrze, że paski wytrzymały.

- O, pani się to udało! - zauważył Roddy z nutką uznania w głosie.

- Jeśli chce pan znać moje zdanie - przemówiła Ellen z namaszczeniem - to powinien pan zacząć stosować dietę albo dać poszerzyć tę spódniczkę. Inaczej dostanie pan apopleksji i będziemy mieli następny pogrzeb.

Roddy ze złością wycofał się z kuchni. Na szczęście paski trzymały się przez całe przedpołudnie, ale kiedy było już po wszystkim, uznał, że nie musi dłużej cierpieć. Poszedł do swego domu i zrzucił galowy strój.

Właśnie wciskał się w swoją starą tweedową marynarkę, gdy usłyszał warkot nadjeżdżającego samochodu. Z okna sypialni zobaczył ciemnoniebieskie volvo, jak przejechało szpalerem różaneczników i zatrzymało się na skraju trawnika. Roddy kątem oka zerknął w lustro, przygłodził zwichrzone włosy i wyszedł. Po piętach deptał mu Barney, który przez cały dzień siedział zamknięty w mieszkaniu, więc nie chciał znów zostać sam.

Wyszli razem zza starych stajen akurat wtedy, kiedy Oliver wysiadał z samochodu. Na widok Roddy'ego zatrzasnęła drzwiczki. Roddy wybiegł mu na powitanie z wyciągniętą ręką.

- Oliver! - wykrzyknął radośnie, a w duchu pomyślał, że odkąd się poznali, ten chłopak nic a nic się nie zmienił. I dobrze, bo nie lubił, jak ludzie się zmieniali.

Na tamtym bankiecie w telewizji Oliver miał na sobie welwetową marynarkę i jaskrawy krawat, a dziś był ubrany w sztruksowe spodnie i gruby sweter z norweskim wzorem. Poza tym wyglądał tak samo - te same rude włosy, ta sama broda i ten sam uśmiech na twarzy.

Ponieważ Oliver też wyszedł mu na spotkanie, zeszli się w pół drogi na środku żwirowego dziedzińca. Widok tego młodego, wysokiego i przystojnego człowieka dodał Roddy'emu otuchy.

- Cześć, Roddy.

Uścisnęli sobie ręce, przy czym Roddy, na dowód, jak jest zadowolony, uchwycił dłoń Olivera w obie dłonie.

- Och, drogi chłopcze, jak to miło, że przyjechaliście, i to tak punktualnie! Nie miałeś kłopotów z trafieniem tutaj?

- Ależ skąd, kupiliśmy w Fort William bardzo dokładną mapę topograficzną i jechaliśmy według czerwonej linii.

Oliver rozejrzał się wokoło, przenosząc wzrok z Roddy'ego na dom, trawiaste zbocze, szare wody jeziora i wzgórze za nim, po czym dodał:

- Ależ to wspaniałe miejsce!

- Tak, tu jest rzeczywiście ładnie - przyznał z dumą Roddy, kontemplując razem z nim widok. - Tyle że w taki dzień jak dzisiaj nie bardzo to widać. Szkoda, że nie mogłem zamówić dla was lepszej pogody.

- Nam to nie przeszkadza. Wiktorია w każdą pogodę lubi wysiadywać na plaży. - Przy tej okazji Oliver przypomniał sobie o towarzyszach podróży. Już zwrócił się w stronę samochodu, ale Roddy go powstrzymał.

- Chwileczkę, chłopcze, mam ci coś do powiedzenia.

Napotyając zdziwiony wzrok Olivera, Roddy zaczął drapać się w kark i szukać właściwych słów.

- Chodzi o to... - zaczął, ale nie dało się tego powiedzieć inaczej jak prosto z mostu: - Słuchaj, mój brat Jock umarł kilka dni temu. Dziś rano był pogrzeb.

- O, Boże! - wyjąkał Oliver, kompletnie oszołomiony. W jego głosie przebijało zarówno zaskoczenie, jak i współczucie przemieszane z zakłopotaniem.

- Ależ, drogi chłopcze, nie chciałem ci zrobić przykrości! - zareagował szybko Roddy. - Chciałem tylko powiedzieć, jak sprawy stoją, żebyś się orientował w sytuacji.

- Ach, to dlatego w Creagan wszystkie domy miały zamknięte okiennice? Przejeżdżaliśmy tamtędy i nie wiedzieliśmy, o co chodzi.

- Widzisz, w tych stronach w ten sposób manifestuje się żałobę, zwłaszcza po takim człowieku jak Jock.

- Tak mi przykro... Kiedy to się stało?

- W poniedziałek, tak gdzieś o tej porze. Wyszedł z psami na spacer i dostał zawału. Znaleźliśmy go przy jednym z tych kamiennych murków.

- I ponieważ nie wiedziałeś, gdzie nas szukać, nie mogłeś dać nam znać, abyśmy nie przyjeżdżali? Co za fatalny zbieg okoliczności!

- Nic podobnego. Nawet gdybym wiedział, nie próbowałbym was w tym celu szukać. Cieszyłem się na wasz przyjazd i byłbym bardzo zawiedziony, gdybyście zrezygnowali.

- Ależ w takim wypadku absolutnie nie możemy tu zostać!

- Nie tylko możecie, ale nawet musicie. Wprawdzie mój brat zmarł, ale jest już po pogrzebie i życie toczy się dalej. Tyle tylko, że początkowo mieliście spać w Wielkim Domu, ale teraz, kiedy nie ma Jocka, byłoby wam chyba nieprzyjemnie. Dlatego lepiej będzie, jeśli przenocujecie u mnie, w tym domu przerobionym ze stajni. Ellen, gospodyni Jocka, i Jess Guthrie z gospodarstwa już przygotowały dla was łóżka i rozpały w kominkach, więc jeśli nie przeszkadza wam ciasnota...

- Ale czy jesteście pewni, że nie byłoby lepiej, gdybyśmy sobie pojechali?

- Tym byście mnie już całkiem dobili! Drogi chłopcze, ja tak czekałem na jakieś młodsze towarzystwo... Nie pozbawiajcie mnie tego!

Roddy spojrział w stronę volvo i zauważył, że dziewczynie, która tam przedtem siedziała, widocznie znudziła się beczyność, gdyż trzymając za rączkę małego chłopca, zeszła po trawiastym stoku aż nad samą wodę. Była ubrana mniej więcej tak jak Oliver - w spodnie i gruby sweter. Do biało-czerwonego szalika, który miała zawiązany wokół głowy, pasowały czerwone spodenki dziecka. Razem tworzyli parę, która w ponury pejzaż wносиła element koloru i nieskażonej czystości.

- Chodź, poznacie się - zaproponował Oliver, więc obaj zaczęli powoli schodzić w dół.

- Jeszcze jedno - przypomniał sobie Roddy. - O ile dobrze rozumiałem, nie jesteście małżeństwem?

- Ano, nie jesteśmy. - Olivera rozbawiło to pytanie. - Przeszkadza ci to?

Roddy poczuł się urażony posądzeniem o tak staroświeckie poglądy.

- Ależ skąd, w końcu nic mnie to nie obchodzi, to wyłącznie wasza sprawa. Rzecz w tym, że lepiej będzie, jeśli przedstawię was moim pracownikom jako małżeń-

stwo. Tutejsi ludzie są mocno zacofani i nie chciałbym ich szokować. Rozumiesz, o co mi chodzi, prawda?

- Tak, oczywiście.

- Gdyby nasza gospodyni dowiedziała się prawdy, dostałaby zawału i padła trupem u moich stóp, a Bóg raczy wiedzieć, co bez niej stałoby się z Benchoile! Ona pracuje tu chyba od zawsze, odkąd sięga nasza pamięć. Przyszła tu prosto z jakiejś małej wioski w górach. Miała opiekować się moim młodszym bratem, ale została na stałe i nic jej stąd nie ruszy. Poznasz ją, tylko nie spodziewaj się, że zobaczysz typową pocziwą starą nianię. O, nie - Ellen jest twarda jak stara podeszwa i potrafi być bardzo nieprzyjemna. Dlatego trzeba uważać, żeby jej nie urazić.

- Rozumiem.

- A więc jesteście państwem Dobbs, zgoda?

- Niech ci będzie.

Wiktoria stała na porośniętym trzciną brzegu jeziora Loch Muie. Trzymała Tomka za tłustą łapkę i starała się wyzbyć uporczywego przeświadczenia, że znalazła się w miejscu, w którym nie miała żadnego interesu.

Przyjemniejsza była pełna oczekiwań podróż niż przybycie na miejsce, które przyniosło jej same rozczarowania. To Benchoile, które Wiktoria wyobrażała sobie na podstawie książki „Wiek orłów”, widziane oczami dziesięcioletniego Roddy'ego, było pełne ciepła, błękitnego nieba i kwitnących wrzosowisk. To samo miejsce smagane bezlitosnym wiatrem było nie do poznania. Gdzie się podziała łódź wiosłowa? A wodospad, przy którym Roddy i jego bracia urządzali pikniki? Gdzie te dzieci biegnące na bosaka?

Odpowiedź była jedna - odeszły na zawsze. Zostały uwięzione między okładkami książki.

To, co teraz widziała, to było też Benchoile, ale po-

grażone w ciszy pod bezmiarem nieba. Słychać było tylko szum wiatru w koronach sosen i chlupot fali o kamienisty brzeg jeziora. W tej ciszy wzgórza otaczające jezioro wręcz przytłaczały. Na przeciwległym brzegu wznosił się masyw górski o stromych zboczach, z których osuwały się kamienie, a szczyty tonęły we mgle. Przy tych milczących olbrzymach miała wrażenie, że jest nic nie znaczącą drobiną, zredukowaną do rozmiarów mrówki. W tym otoczeniu nie czuła się na siłach, aby przeciwdziałać nagłemu ochłodzeniu stosunków z Oliverem.

Ta niepotrzebna i niespodziewana kłótnia przynębiała ją, tym bardziej że wybuchła właściwie z jej winy. Po cóż, głupia, zwierzyła się z zamiaru wysłania kartki do pani Archer? Jeszcze wczoraj wydawało się jej to sprawą ważną, o którą warto było zawalczyć. Tymczasem popsuła wszystko, bo od tamtej pory Oliver nie zamienił z nią ani słowa.

Może i tu popełniła błąd, bo powinna była raczej bronić się, odpowiedzieć pogróżką na pogróżkę, a jeśliby trzeba było - nawet ciosem na cios. Tymczasem ona siedziała jak zahipnotyzowana, jak królik porażony wrokiem węża, nie widząc przez łzy szosy przed sobą.

Miała już dość kłótni z Oliverem, Benchoile i całej tej męczącej podróży. Dręczyło ją przeświadczenie, że gdzieś w tym wszystkim zagubiła własne „ja”. Nie potrafiła powiedzieć, kim właściwie teraz jest, co robi w tym dziwnym miejscu i jak się tu dostała. Nie słyszała kroków za sobą i głos Olivera zaskoczył ją.

- Wiktorio, pozwól, to jest Roddy Dunbeath.

Kiedy się odwróciła, ujrzała mężczyznę o pocziwym wyglądzie, przypominającego pluszowego misia. Ubranie na nim wisiało, rzadkie siwe włosy rozwiewał wiatr, a rysy twarzy rozpląwały się w tłuszczu - ale tę twarz rozjaśniał uśmiech, a spojrzenie niebieskich oczu było przyjazne. Stonowało to nieco niekorzystne wrażenie, jakie Benchoile wywarło na Wiktorii.

Wymienili uścisk dłoni, po czym Roddy spojrział z góry na Tomka i zagadnął:

- A któż to taki?

- To jest właśnie Tomek. - Wiktoria schyliła się i uniosła go.

Policzki malca były zarumienione, a buzia umazana błotem, gdyż musiał spróbować smaku kamyczków.

- Cześć, Tomku. Ile masz lat?

- Dwa - odpowiedział za niego Oliver. - On jeszcze nie umie mówić.

- Wygląda na zdrowego - zainteresował się Roddy - więc chyba nie macie powodów do zmartwienia. Niestety - spojrzął na Wiktorię - Benchoile nie pokazało się dziś od najlepszej strony. Pogoda jest fatalna.

Zza pleców Roddy'ego wynurzył się stary czarny labrador. Na jego widok Tomek zaczął się wyrwać z rąk Wiktorii, chcąc go pogłaskać. Wiktoria postawiła go na ziemi i przyglądała się, jak mała łapka chłopca wyciąga się do posiwiątego pyska psa.

- Jak on się nazywa? - spytała.

- Barney. Jest już bardzo stary, prawie tak jak ja.

- Wyobrażałam sobie, że musisz mieć psa.

- Wiktoria jest twoją wielbicieleką - wyjaśnił Roddy'emu Oliver. Ton jego głosu brzmiał zupełnie naturalnie, Wiktoria zastanawiała się, czy to możliwe, aby zapomniał już o tamtej kłótni.

- To świetnie - ucieszył się Roddy. - Bardzo lubię mieć wielbiciele wokół siebie.

- Rozglądałam się właśnie za tym wodospadem z książki - wyznała Wiktoria.

- Stąd go nie widać nawet przy ładnej pogodzie, bo zasłania go pagórek. Jest tam taka mała zatoczka, więc jeżeli się przejaśni i znajdę klucz od hangaru, może damy radę popłynąć tam łódką.

W tym momencie uderzył w nich ostry podmuch wiatru, przejmując Wiktorię dreszczem. Rozbudziło to w Roddym instynkt opiekuńczy.

- Chodźmy stąd, bo na tym zimnie można się nabawić zapalenia płuc. Zabierzcie z wozu swoje rzeczy. Pokażę wam pokoje.

Znowu wszystko odbyło się inaczej, niż Wiktoria sobie wyobrażała. Roddy nie zaprosił ich do Wielkiego Domu, lecz przez pasaż i dziedziniec przeszli do dawnej stajni.

- Ta sypialnia może być dla was. - Roddy, idąc przed nimi, wskazał pokój gestem doświadczonego portiera hotelowego. - Myślę, że mały może spać w garderobie. Tam jest łazienka. Trochę tu ciasno, ale mam nadzieję, że będzie wam wygodnie.

- Jest wspaniale - stwierdziła z zachwytem Wiktoria, sadzając Tomka na łóżku i rozglądając się wokoło. Okno wychodziło wprost na jezioro, a na szerokim parapecie stał flakonik z bukietem przebiśniegów. Wiktoria zastanawiała się, czy Roddy celowo je tam postawił.

- To taki śmieszny dom - usprawiedliwiał się. - Kuchnia i salon są na górze, a sypialnie na parterze, ale mnie tak wygodnie. No więc rozpakujcie się i chodźcie na górę, napijemy się i zjemy coś. Czy Tomek będzie jadł zupę?

- On zje wszystko.

Roddy był mile zaskoczony.

- To bardzo niekłopotliwe dziecko! - zauważył i zostawił Wiktorię samą w pokoju.

Usiadła na łóżku, wzięła Tomka na kolana i zaczęła rozbierać go z kurteczki. Równocześnie rozglądała się po pokoju, który bardzo się jej podobał, bo był czysto utrzymany i umeblowany skromnie, lecz wystarczająco. Na kominku w rogu tliły się brykiety torfowe. Obok stał koszyk z opałem na całą noc. Zасыpanie przy ogniu płonącym na kominku wydało się Wiktorii czymś bardzo romantycznym. Zaczynała mieć nadzieję, że wszystko się jakoś ułoży.

Do pokoju wszedł Oliver z resztą bagaży. Postawił je na podłodze i zamknął za sobą drzwi.

- Oliverze... - zaczęła, ale jej przerwał.

- Przykra sprawa. Kilka dni temu umarł brat Roddy'ego. Dziś odbył się pogrzeb. To dlatego wszystkie okna w Creagan były pozasłaniane okiennicami.

Wiktoria spojrzała na niego ponad głową Tomka.

- To dlaczego nie dał nam znać? - zapytała zaskoczona.

- Nie wiedział, gdzie nas szukać. Poza tym zaklina się, że bardzo go ucieszył nasz przyjazd.

- Pewnie tak powiedział z grzeczności.

- Nie, wydaje mi się, że mówił szczerze. Zresztą rzeczywiście dobrze mu robi, jeśli będzie miał się czym zająć, zamiast ciągle rozpamiętywać. No cóż, stało się, a skoro już tu jesteśmy, to nie pojedziemy przecież nigdzie dalej.

- Ale...

- Jeszcze jedno. - Nie dał jej dokończyć. - Pamiętaj, że jesteśmy państwem Dobbs, tak jak w księdze gości hotelowych. Zasedziali pracownicy tego majątku złożyliby wypowiedzenie, gdyby się dowiedzieli prawdy.

Zaczął myszkować po pokoju, zaglądając we wszystkie zakamarki.

- Pięknie urządzone. Tomek ma tu spać?

- Tak. Słuchaj, a może byśmy zostali tylko na jedną noc?

- Dlaczego? Nie podoba ci się tutaj?

- Bardzo mi się podoba, ale...

Zamknął jej usta pocałunkiem. Echo tamtej kłótni wciąż wisiało w powietrzu, więc Wiktoria zastanawiała się, czy ten pocałunek oznacza przeprosiny, czy też ona pierwsza powinna wyciągnąć rękę do zgody. Zanim jednak zdecydowała się na któryś z wariantów, Oliver pocałował ją po raz drugi, pogłaskał Tomka po główce i wyszedł z pokoju. Słyszała jego kroki na schodach, a potem jak rozmawia z Roddym. Z westchnieniem wzięła Tomka na ręce i zniosła go do łazienki.

* * *

O północy Roddy - po dużej dawce koniaku - wziął latarnię, gwizdnął na psa i oświadczył, że udaje się na obchód domu. Wytłumaczył Oliverowi, że musi posprawdzić, czy wszystkie drzwi i okna są dobrze zamknięte, żeby Ellen mogła spokojnie spać w swym pokoju na poddaszu.

Oliver dziwił się, co może jej grozić. Zdażył już poznać Ellen i przekonać się, że jest nie tylko stara jak świat, ale i wyjątkowo brzydka. Wiktoria i Tomek dawno już spali. Oliver zapalił cygaro, którym poczęstował go Roddy, i wyszedł na dwór.

Otoczył go przytłaczający bezmiar ciszy. Wiatr ustał, słychać było skrzyp jego kroków na żwirze, a i ten dźwięk ucichł, kiedy przeszedł na trawę. Skierował się w stronę jeziora i dotarł aż na brzeg. Miał na sobie tylko welwetową marynarkę i jedwabną koszulę, nie chroniące przed mrozem, ale lodowaty powiew działał na niego orzeźwiająco niczym zimny prysznic.

Kiedy jego oczy przyzwyczyły się do ciemności, mógł już rozróżnić kształty otaczających wzgórz i zauważyć lśniąca taflę jeziora. W gałęziach drzew za domem pohukiwała sowa. Oliver wszedł na drewniane molo, na którym jego kroki dawały głuchy odgłos. Doszedłszy do końca pomostu, wrzucił do wody niedopałek cygara, który zasyczał i zgasł. Zapanowała całkowita ciemność.

Pośród czarnej nocy słyszał głosy bohaterów z lęgnącego się w jego umyśle nowego utworu. Jedną z nich była stara kobieta przypominająca Ellen Tarbat, ale nazywała się Kate i pochodziła z Yorkshire. Tak jak Ellen, była zmęczona i zgorzkniała, ale zarazem niezniszczalna. Miała odzywki w rodzaju: „Twój ojciec nigdy by tak nie postąpił (...). To był dumny człowiek, który nikomu nic nie był winien (...). I pogrzeb też miał lepszy niż chłop tej skąpiczy Hackworth”.

Wymyślona Kate miała pewne cechy prawdziwej Ellen. W twórczości Olivera przeszłość spletała się z terażniejszością, a prawda z fantazją, jak włókna stalowej liny - nie

wiadomo było, gdzie kończy się jedno, a zaczyna drugie. Stworzone przez niego postacie rozrastały się w jego głowie jak tkanka rakowa i tylko czekały, kiedy zostaną przelane na papier.

W tym okresie, trwającym całe tygodnie lub nawet miesiące, Oliver żył jak w próżni, niezdolny do niczego oprócz najprostszych czynności życiowych, jak spanie, wpadanie do baru tuż za rogiem czy kupowanie papierosów.

Przecucie, że oczekiwany etap wkrótce nastąpi, wprowadziło go w taki stan podniecenia, że mimo chłodu spocily mu się ręce. Kiedy odwrócił się w stronę mglisto majaczącej bryły domu, na poddaszu zapaliło się światło. Wyobraził sobie starą Ellen, jak kręci się po pokoju, wkłada sztuczne zęby do szklanki, odmawia paciorek i kładzie się do łóżka. Oczami duszy widział, jak stara kobieta leży, patrząc w sufit, przykryta kołdrą po czubek nosa i czeka, aż przyjdzie niespokojny, starczy sen.

Od strony domu widać było także inne światła. Z salonu Roddy'ego blask ognia na kominku przenikał przez zaciągnięte zasłony, tak samo z sypialni poniżej, gdzie spała Wiktoria. Oliver poszedł więc wolnym krokiem z powrotem.

Wiktoria spała, lecz obudziła się, gdy wszedł i zapalił lampę przy jej łóżku. Kiedy usiadł koło niej, odwróciła głowę, ziewnęła, rozpoznała Olivera i wymówiła jego imię. Miała na sobie białą batystową koszulę nocną, przybraną koronką, a jej rozpuszczone jasnoblond włosy rozsypały się na poduszce jak pasma jedwabiu.

- Gdzie byłeś? - spytała, kiedy zdejmował krawat i odpinał górny guzik koszuli.

- Na dworze.

- A która to godzina?

- Późna.

Zrzucił buty, pochylił się nad łóżkiem i **ujął jej głowę** w swoje ręce. Powoli zaczął ją całować.

Choć Oliver dawno już spał, Wiktoria jeszcze ponad godzinę leżała w jego ramionach, nie mogąc zasnąć. Zastony były odsunięte, a okno otwarte, toteż do pokoju wdzierał się nocny chłód.

W kominku powoli dopalał się torf, płomienie rzucały refleksy na biały sufit. Poranna kłótnia rozplynęła się w atmosferze miłości. Wiktoria poczuła się bezpiecznie. Jak środek uspokajający podziałała na nią świadomość, że skoro jest tak dobrze, to nie może stać się nic złego.

X

Piątek

Wiktoria obudziła się nagle, z przeświadczeniem, że nie wie, gdzie jest. Pierwsze, co zobaczyła, to szerokie okno, a za nim - czyste, bezchmurne, bladoniebieskie niebo. Na jego tle widoczna była ostro zarysowana linia wzgórz, których najwyższe szczyty opromieniało wschodzące słońce. To było Benchoile w całej swojej krasie. Zapowiadał się piękny dzień. Może uda się pójść z Tomkiem na plażę?

A propos... Przecież miała napisać do jego babci! W ciągu nocy, nawet przez sen, podświadomie w jej umyśle dojrzywała decyzja. Musi napisać ten list dziś rano i wysłać go jak najszybciej. Adres znajdzie w książce telefonicznej na poczcie w Creagan. Woodbridge to małe miasteczko w Hampshire i nie powinno mieszkać tam zbyt wielu Archerów.

Początek listu miał być taki: „Piszę, aby powiadomić Panią, że Tomek jest zdrow i zadowolony”.

A co można powiedzieć o jego ojcu? Oliver drzemał przy jej boku, z odrzuconą do tyłu głową i wyciągniętą na kołdrze ręką o luźno ugiętych palcach. Wiktoria uniosła się na łokciu i obserwowała jego beztroski wyraz twarzy. W tym momencie wydał się jej również bezbronny i czuły. Okazało się, że ją kochał, a miłości nie da się pogodzić ze strachem. Nie bała się już Olivera.

Mimo to jednak lepiej, żeby za wiele nie wiedział. W liście można zaznaczyć: „...Oliver nie życzył sobie, abym

do Pani napisała, więc proszę nie potwierdzać odbioru tego listu ani nie próbować nawiązać z nami kontaktu".

Szkoda, że wcześniej nie przyszedł jej do głowy ten niewinny wybieg. Na pewno pani Archer to zrozumie. Trzeba ją tylko przekonać, że dziecku nie dzieje się krzywda. Wiktoria postanowiła, że pod koniec listu zobowiąże się do przesyłania pani Archer wiadomości na jego temat. Z czasem nawiąże z nią korespondencję.

Przez zamknięte drzwi słychać było, że w sąsiednim pokoju Tomek już nie śpi. W ciszy poranka rozlegały się jakieś nieartykułowane dźwięki. Chłopczyk mruzczał coś, pewnie od czasu do czasu ssąc palec i waląc swoim Prosiaczkciem o ścianę. Po jakimś czasie mruzcanka ustała, dało się słyszeć szuranie i w otwartych drzwiach pojawił się Tomek.

Wiktoria zamknęła oczy i udawała, że śpi. Malec wdrapał się na jej łóżko i położył się płasko na niej, siłą rozwierając jej powieki. Zobaczyła jego buzię tuż przy swojej twarzy.

To, że postanowiła jeszcze dziś napisać do jego babci, uwolniło ją od poczucia winy i napełniło jeszcze większą czułością dla chłopca. Otoczyła go ramionami i przytuliła, a on przylgnął do niej policzkiem i delikatnie kopał ją w brzuch. Wiktoria doszła do wniosku, że mały już nie zaśnie, a więc trzeba wstawać. Ponieważ Oliver nadal spał spokojnie, zabrała Tomka do garderoby, ubrała go i ubrała się sama. Potem wzięła go za rączkę i krok za krokiem wspięli się po schodach na piętro, aby przygotować śniadanie.

* * *

W Benchoile prowadzono równoległe dwa gospodarstwa domowe: w Wielkim Domu i domku Roddy'ego. Granica między nimi była płynna. Na przykład wczoraj lunch, składający się z zupy i serów, wszyscy zjedli w wesołym, zagraconym saloniku Roddy'ego, na stole

przysuniętym pod okno, w atmosferze pikniku. Natomiast kolacja była uroczysta, podana w jadalni Wielkiego Domu. Jasne więc było, że należy się przebrać. Oliver założył welwetową marynarkę, a Roddy - kraciatą, bardzo opiętą, pod którą wdział pas od smokingu, aby zakryć brzuch między rąbkami przykrótkiej koszuli a spodniami, które dawno już nie obejmowały go w pasie. Na kominku płonął ogień, w srebrnych lichtarzach stały świece, a ze ścian spoglądały portrety członków rodziny Dunbeathów. Wiktoria zastanawiała się, który z nich to Jock, ale krępowała się zapytać. Puste krzesło u szczytu stołu działało na nią deprymująco. Czuła się tak, jakby wraz z Oliverem i Tomkiem byli intruzami, którzy wtargnęli do cudzego domu i lada chwila właściciel ich stamtąd wyprosi.

Chyba tylko ona jedna miała wyrzuty sumienia z tego powodu. Oliver z Roddym prowadzili nie kończącą się wymianę zdań na tematy dobrze znane im obu - o literaturze, wydawcach, reżyserach itp. Wiktoria nie miała o tych sprawach bladego pojęcia. Rozmowa toczyła się gładko, podsycana dużą ilością wina, ale nawet Ellen nie widziała niczego niestosownego w tak dobrych nastrojach zaraz po pogrzebie dziedzica. W zdeptanych bucikach, czarnej sukni i nieskazitelnym fartuszkowi krążyła tam i z powrotem, przynosząc i odnosząc półmiski. Wiktoria zaoferowała się z pomocą, ale Roddy ją powstrzymał.

- Jess Guthrie pomaga Ellen w kuchni, a tutaj ona dyryguje. Obraziłaby się śmiertelnie, gdybyś tylko podniosła się ze swojego miejsca - poinformował Wiktorię, gdy Ellen tego nie słyszała.

Wbrew sobie musiała więc siedzieć i dawać się obsługiwać.

W którymś momencie Ellen wyszła na jakieś dziesięć minut, a kiedy wróciła, niosąc serwis do kawy, oświadczyła, że maleństwo śpi jak aniołek. Okazało się, że w tym czasie przeszła przez podwórze do domku Roddy'ego, żeby sprawdzić, co robi Tomek. Wiktoria była mile zaskoczona.

- Chciałam właśnie zajrzeć do niego - próbowała się usprawiedliwić, na co Ellen zrobiła taką minę, jakby Wiktoria powiedziała coś niestosownego.

- Niby dlaczego pani miałaby odrywać się od kolacji, skoro ja tu jestem po to, żeby zająć się dzieckiem?
- oświadczyła dumnie.

Wiktoria poczuła się skarcona.

* * *

Następnego ranka trudno jej było połapać się, gdzie co jest w cudzej kuchni. Metodą prób i błędów, otwierając po kolei wszystkie drzwiczki i szuflady, znalazła w końcu jajka, chleb i dzbanuszek mleka. Oczywiście Tomek nie mógł jej w niczym pomóc, pętał się tylko pod nogami. Z kredensu wyjęła talerzyki, kubki, noże, widelce, masło i puszkę kawy rozpuszczalnej. Nakryła na małym stoliku z laminowanym blatem, posadziła przy nim Tomka, zawiązała mu na szyi ściereczkę i odłupała czubek jajka na miękko, które tymczasem ugotowała. Tomek siedział spokojnie i wcinał ze smakiem.

Wiktoria zrobiła sobie kawę i przysiadła obok niego.

- Chciałbyś pójść dzisiaj nad wodę? - zagadnęła.

Maluch przestał jeść i wgapił się w nią. Po podbródku spływało mu żółtko. Podczas gdy je wycierała, dał się słyszeć odgłos otwierania i zamykania drzwi wejściowych, a potem kroki na schodach. Po chwili w kuchni pojawiła się Ellen.

- Dzień dobry! - przywitała ją Wiktoria.

- O, ranny ptaszek z pani!

- Tomek nie dał mi dłużej spać.

- Przyszłam zobaczyć, czy nie trzeba pomóc go nakarmić, ale widzę, że pani dała sobie radę sama.

Ellen miała dziwny sposób mówienia, gdyż z tonu jej głosu trudno było wywnioskować, czy wyraża aprobatę czy dezaprobatę. Również wyraz jej twarzy był zawsze taki

sam - oczka jak główki szpilek i zasznurowane usta. Pomiędzy rzadkimi siwymi włosami, ściągniętymi do tyłu w ciasny koczek, przeświecała skóra czaszki. Ellen skurczyła się z wiekiem, gdyż jej ponadczasowe stroje wyglądały tak, jakby były o numer za duże. Ręce miała silne i zręczne, skórę zaczerwienioną od ciężkiej roboty, stawy zgrubiałe, a palce pokrzywione jak korzenie. Założyła je na podołku swego kwiecistego fartucha i czekała na polecenia, jakby w jej życiu nie było miejsca na leniuchowanie. Wiktoria zastanawiała się, ile też ona może mieć lat.

- Może napije się pani ze mną kawy? - zaproponowała.
- O nie, nie pijam kawy, bo mi szkodzi.
- To może herbaty?
- Nie, dziękuję, piłam już swoją herbatę.
- No więc czemu pani nie usiadzie? Szkoda nóg!

Obawiała się, że i ta propozycja zostanie odrzucona, ale może niewinne spojrzenie Tomka podziałało na staruszkę zachęcająco, bo przysunęła sobie krzesło i usiadła u szczytu stołu.

- Papusiaj jajeczko, skarbie! - zwróciła się do chłopca, a w stronę Wiktorii rzuciła: - Jakaż to urocza dziecina!

- Pani lubi dzieci, prawda?
- O, bardzo! W Benchoile zawsze było dużo dzieci.

Najwidoczniej Ellen przyszła, żeby popatrzeć na Tomka, a przy okazji trochę poplotkować, bo nie potrwało długo, a rozgadała się na dobre.

- Nastałam tu bawieć Charliego, jak był malutki. On był najmłodszy z chłopców. Oczywiście zajmowałam się wszystkimi, ale tylko Charlie był mój. Wie pani, że on jest teraz w Ameryce? Ożenił się z Amerykanką!

Kiedy mówiła, jej ręce poruszały się nieustannie. Smarowała masłem grzankę dla Tomka i kroiła ją na małe kawałki, tak jakby Wiktoria nie mogła tego zrobić sama.

- Tak mi przykro, że przyjechaliśmy nie w porę... Wiktoria wróciła do dręczącego ją problemu. - Po prostu nie wiedzieliśmy...

Urwała, zmieszana, i pożałowała, że w ogóle poruszyła ten temat. Ellen jednak mówiła, jak gdyby nigdy nic:

- Chodzi pani o to, że nasz pan umarł tak nagle i dopiero co był pogrzeb?

- Tak, właśnie.

- Piękny miał pogrzeb. Stawiły się wszystkie ważne osoby z okolicy.

- O, na pewno.

- Nasz pan był strasznie samotny, bo nie miał własnych dzieci. Pani pułkownikowa bardzo się martwiła, że nie może urodzić. Pamiętam, jak mówiła: „Popatrz Ellen, pokój dziecienny stoi pusty, czeka na dzieci, a tu chyba nie będzie ani jednego!” No i nie było.

Mówiąc to, wsadziła Tomkowi w rączkę następną kawałek grzanki.

- I co się z nią stało? - podtrzymała rozmowę Wiktoria.

- Umarła, chyba z pięć lat temu. To była piękna pani, zawsze roześmiana... - Nagle zmieniła temat i zwróciła się do Tomka: - Papusiaj, papusiaj, pyszne śniadanko.

- Czy pani ukochany chłopczyk, to znaczy Charlie, miał dzieci?

- Tak, ma syna. Jakiż to był sprytny chłopaczek! Zwykle przyjeżdżał tu na wakacje i wszyscy troje świetnie się bawili. Jakie pikniki urządzali na wzgórzach albo na plaży w Creagan! Zawsze się wymawiałam, że mam za dużo roboty w domu, żeby jeszcze łązić po piknikach, ale John mi na to odpowiadał: „Musisz pójść z nami, Ellen, bo bez ciebie piknik się nie liczy!”

- Więc syn Charliego ma na imię John?

- Tak, na cześć pana pułkownika.

- Na pewno brakowało go pani, kiedy musiał wracać do Ameryki?

- Och, i to jak! Bez nich było tu pusto i smutno jak w grobie!

Wiktoria poczuła, że zdążyła już bardzo polubić Ełlen. Jakoś przestała też czuć się winna czy skępowana.

- Zanim tu przyjechałam - wyznała - wiedziałam już coś niecoś o Benchoile. Przeczytałam wszystkie powieści Roddy'ego.

- W tych książkach opisane są najpiękniejsze dni Benchoile, kiedy chłopcy byli mali. To było przed wojną.

- Roddy musiał być zabawny z tymi swoimi dziwnymi upodobaniami do różnych stworzeń.

Ellen aż cmoknęła i wzniosła ręce do nieba na samo wspomnienie.

- Och, czasem myślałam, że on mnie wykończy. Wyglądał jak aniołek, ale potrafił być wcielonym diabłem. Nie można było przewidzieć, z czym za moment wyskoczy, a kiedy brałam jego rzeczy do prania, w każdej chwili z kieszeni mogły wypełznąć glizdy!

- To mi przypomina - zaśmiała się Wiktoria - że wszystkie nasze rzeczy są brudne. Czy jest tu jakaś pralka?

- Niech panią o to głowa nie boli! - zarządziła Ellen. - Już ja się tym zajmę. Nie będzie pani przecież psuć sobie wakacji praniem! - Po chwili dorzuciła niewinnym głosem: - A gdybyście państwo chcieli gdzieś wyjść, mogłabym popilnować dzieciaka.

Najwyraźniej chciała zostać sam na sam z Tomkiem i mieć go tylko dla siebie. Wiktoria przypominała sobie o liście, który chciała wysłać do pani Archer.

- W takim razie rzeczywiście skoczyłabym do miasta coś kupić, bo skończyła nam się pasta do zębów, a Oliver potrzebuje papierosów. Zostałaby pani z Tomkiem? On raczej nie lubi chodzić po sklepach.

- Niby dlaczego miałyby lubić? Zakupy to nie jest zajęcie dla małego mężczyzny - orzekła stanowczo Ellen, po czym nachyliła się do Tomka i przemówiła konspiracyjnym

szeptem: - Zostaniesz z Ellen, prawda, skarbie? Pomożesz Ellen robić chlastu-chlastu?

Chłopczyk z zaciekawieniem przyglądał się pomarszczonej, opalonej na brąz twarzy. Wiktoria z pewnym niepokojem czekała na jego reakcję. Gdyby się rozpłakał, niechybnie zraniłoby to uczucia Ellen. Tymczasem okazało się, że oboje dobrali się w korcu maku. Mimo różnicy wieku byli ulepieni z tej samej gliny. Tomek spokojnie zjadł śniadanie, zszedł z krzesła i podniósł z podłogi swojego Prosiaczka, aby pokazać go Ellen.

Stara niania wzięła zabawkę i zaczęła poruszać nią po stole, tak jakby świnka tańczyła. Podśpiewywała przy tym zdartym, starczym głosem:

*Były sobie świnki trzy,
świnki trzy, świnki trzy...*

Tomkowi spodobała się piosenka i z uśmiechem położył tłustą łapkę na kolanie staruszki. Jej spracowana dłoń zacisnęła się wokoło małych paluszków.

* * *

Kiedy już raz podjęła decyzję, wszystko przebiegło zdumiewająco prosto. Problemy same się rozwiązały, a trudności znikły. Ellen zajęła się praniem i Tomkiem, za jednym zamachem uwalniając Wiktorię od dwóch najcięższych obowiązków.

Roddy i Oliver najwidoczniej odsypiali jeszcze wczorajsze rozmowy przy kieliszku. Kiedy Wiktoria, w poszukiwaniu papieru listowego, zaszła do saloniku Roddy'ego - zastała tam zaciągnięte od wczoraj zasłony i powietrze ciężkie od dymu cygar. Odsłoniła więc okna, wywietrzyła pokój i opróżniła popielniczki, wysypując ich zawartość do kominka.

Na zagraconym biurku znalazła stos arkusików, zarówno czystych jak i z wydrukowanym nagłówkiem. Zastanawiała się przez chwilę, jaki rodzaj wybrać. Gdyby

napisała list na czystej kartce, nie podając adresu zwrotnego, to pani Archer nie wiedziałyby, gdzie ich szukać. Sprawiałyby to jednak wrażenie tajemniczości, jakby ona i Oliver rzeczywiście mieli coś do ukrycia.

Z kolei papier z ozdobnym nagłówkiem *Benchoile, Creagan, Sutherland* kojarzył się z bogactwem i solidnością, co mogło zrobić wrażenie również na pani Archer. Wiktoria wybrała więc arkusik z nagłówkiem i dobrała do niego kopertę z ciemnoniebieską wyściółką. Znalazła pióro kulkowe, tkwiące w poczerniałym srebrnym kubku. Wyglądało to tak, jakby ktoś to wszystko przygotował specjalnie dla niej. Zaczęła pisać:

Droga Pani Archer!

Pragnę powiadomić Panią, że Tomek jest zdrow i zadowolony. Odkąd opuściliśmy Londyn, jest w świetnej formie, prawie nigdy nie płacze, spokojnie śpi w nocy i ma bardzo dobry apetyt.

Przerwała i gryząc pióro zastanawiała się, czy wypada informować panią Archer, że Tomek ani razu nie zapytał o swoją babcie. Zdecydowała jednak, że byłoby to nietaktowne.

Jesteśmy teraz w Szkocji, pogoda jest piękna, więc pewnie będziemy mogli zabrać Tomka na plażę.

Znowu urwała, zastanawiając się nad zakończeniem listu, co stanowiło najbardziej delikatną materię.

Oliver nie wie o tym, że napisałam do Pani, gdyż był temu przeciwny. Może więc byłoby lepiej, gdyby Pani nie potwierdziła odbioru tego listu ani nie próbowała nawiązać z nami kontaktu. Wkrótce napiszę znów i dam Pani znać, jak się ma Tomek.

Z serdecznymi pozdrowieniami,

szczyrze oddana...

Właśnie, kto? Wiktoria i jak dalej? Nie mogła przecież użyć nazwiska Dobbs, a nie czuła się już panną Bradshaw.

Podpisała się więc tylko *Wiktoria*. Włożyła list do koperty, a kopertę - do kieszeni żakietu. Potem ostrożnie wśliznęła się do sypialni po torebkę i portfel. Na szczęście Oliver nawet się nie poruszył, więc spokojnie wyszła, uruchomiła volvo i pojechała do Creagan.

* * *

Roddy Dunbeath, w obszernym fartuchu w niebieskie i białe paski, w którym wyglądał jak rzeźnik rozbierający wieprza, stał przy ladzie kuchennej i kroił warzywa na zupę. Robił to głównie dlatego, że chciał zapomnieć o dręczącym go kacu. Musiał zająć się czymś, aby wytrzymać do południa, kiedy to miał zamiar wypić ożywczego klina. Zresztą lubił gotować i chętnie urządzał przyjęcia, na których występował w roli kucharza. Przyjęcia takie należały w swoim czasie do tradycji Benchoile, lecz teraz odeszły już w przeszłość.

Zanim Roddy zwlókł się rano z łóżka, Wiktoria z dzieckiem gdzieś znikli. Był z tego zadowolony, gdyż nie cierpiał znudzonych gości snujących się bez celu po domu, a teraz szczególnie pragnął spokoju.

Kiedy przyszedł do Wielkiego Domu, aby zasięgnąć języka na ten temat, dowiedział się od Ellen, że Wiktoria pojechała do Creagan. Tomek został z Ellen i „pomagał” jej wieszać bieliznę, czyli bawił się spinaczami w koszyku.

Oliver, kiedy w końcu wstał, nie miał nic przeciwko temu, że reszta jego rodziny robi coś na własną rękę. Nawet ucieszył się, że ma ich z głowy na godzinę lub dwie.

Zjedli razem z Roddym obfite śniadanie i postanowili, że po południu pojedą do Wiek. Mieszkał tam znajomy Roddy'ego, który tak miał dość tempa życia w uprzemysłowionej części kraju i ciągłych dojazdów do pracy, że przeniósł się na prowincję i założył własną firmę. Była to mała drukarnia połączona z introligatornią, gdzie ręcznie odbijano w małych nakładach bibliofilskie egzemplarze.

Roddy interesował się wszelkimi rodzajami autentycznego rękodzieła, więc już od jakiegoś czasu wybierał się obejrzeć zakład. Oliver również z entuzjazmem odniósł się do tego pomysłu.

- A co z Wiktoria? - zagadnął Roddy.
- Pewnie pójdzie z Tomkiem na spacer.

Roddy zadzwonił więc do swego kolegi w Wiek i zapowiedział się z wizytą. Oliver pokręcił się jeszcze trochę bez celu, aż doszedł do wniosku, że trochę popracuje. Roddy wręczył mu więc brulion i udostępnił bibliotekę, gdzie nikt mu nie będzie przeszkadzał.

Sam w tym czasie napalił porządnie w kominku, napisał ze dwa listy i wziął się do przygotowywania zupy. Promienie słońca wpadały przez okno, a całą kuchnię wypełnił przenikliwy zapach selera. Radio nadawało jakiś utwór Vivaldiego, gdy nagle zadzwonił telefon.

Roddy zaklął pod nosem i nie przestał kroić selera, jakby licząc na to, że telefon sam sobie odpowie. Ponieważ tak się nie stało, odłożył nóż, wytarł dłonie w ścierkę i przeszedł do salonu.

- Roddy Dunbeath, słucham!
- Cześć, Roddy. Tu John Dunbeath.

Dobrze, że w pobliżu znajdowało się krzesło, bo Roddy aż usiadł z wrażenia. Nic nie mogłoby go bardziej zaskoczyć.

- Myślałem, że jesteś w Bahrajnie.
- Byłem, ale wczoraj wróciłem. Tak mi przykro z powodu Jocka... no i że nie mogłem być na pogrzebie.
- Ależ nikt ci tego nie ma za złe. Bardzo ładnie z twojej strony, że przysłałeś telegram. Tak cię dobrze słychać, jakbyś był w sąsiednim pokoju. Skąd dzwonicz? Z Londynu?

- Nie, z Inverness.
- Coś takiego! - Wskutek wypitego wczoraj koniaku Roddy nie odzyskał jeszcze w pełni sprawności umysłowej.
- Jakżeś się tu dostał?

- Przyjechałem ekspresem „Latający Szkot”. Jestem tu od rana, tylko trochę czasu spędziłem z Robertem McKenzie. To on mi właśnie podsunął, żebym do ciebie zadzwonił i może wpadł do Benchoile.

- Och, to wspaniale. Zostań chociaż kilka dni, może przez weekend. Kiedy możemy się ciebie spodziewać?

- Pewnie po południu, bo muszę wynająć samochód. Pasuje?

- Ależ oczywiście... - zaczął Roddy, lecz po chwili przypomniał sobie, że będą z tym pewne problemy. Potarł dłonią czoło w teatralnym geście, jakby ktokolwiek mógł to zobaczyć. - Tyle tylko, że nie będzie mnie w domu - dokończył. - Muszę pojechać do Wiek, bo akurat jest u mnie jeden gość i umówiłem się z nim, że pojedziemy obejrzeć staroświecką drukarnię. Ale nie zabawimy tam długo, a zresztą w domu jest Ellen.

- A jak się ma Ellen?

- Och, ona jest niezniszczalna. Chyba przeżyje nas wszystkich. Uprzedzę ją, że przyjedziesz i będzie na ciebie czekała.

- Mam nadzieję, że nie sprawiam ci kłopotu?

- Nic podobnego! - zapewnił Roddy, przypominając sobie, że John był zawsze bardzo dobrze wychowany. - Zresztą to jest już twój dom i nie musisz nikogo pytać o zgodę.

- Aha - przytaknął wymijająco John po krótkiej chwili ciszy. - Będziemy musieli o tym porozmawiać. I o wielu innych rzeczach też.

- Po kolacji nagadamy się do syta - obiecał mu Roddy. - Na razie do zobaczenia. Kopę lat cię nie widziałem!

- Aha - wymówił John z bardzo amerykańskim akcentem. - Rzeczywiście, kopę lat.

* * *

Jakieś dziesięć minut później Wiktoria wróciła z miasta. Roddy nastawił już zupę, sprzątnął kuchnię i nalał sobie

dawno oczekiwanego drinka. Usiadł przy oknie i obserwował stado czarno-białych kaczek podgorzałek, które właśnie przysiadły na brzegu jeziora. Po chwili usłyszał warkot zajeżdżającego samochodu oraz odgłos otwieranych i zamykanych drzwi na dole.

- To ty, Wiktorio? - zapytał głośno.

- Tak, to ja.

- Chodź tu na górę. Jestem sam.

Szybko wbiegła po schodach i rzeczywiście zastała go siedzącego w drugim końcu pokoju, w towarzystwie starego Barneya.

- Gdzie reszta? - zapytała podchodząc.

- Oliver zamknął się w bibliotece, bo chciał popracować, a Tomek jest z Ellen.

- Chyba powinnam go zabrać.

- Nie wygłupiaj się, jest mu z nią bardzo dobrze. Usiądź i napij się czegoś.

- Dziękuję, nie chce mi się pić - wymówiła się, lecz usiadła obok niego i zdjęła szalik.

Roddy dopiero teraz zauważył, jaka jest ładna. Wczoraj, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy, wcale mu się nie podobała. Wydawała się nieśmiała i bezbarwna, wręcz nudna. Przy kolacji prawie się nie odzywała, więc Roddy zachodził w głowę, co ten Oliver w niej widzi. Natomiast tego ranka była już zupełnie kim innym. Dziś z kolei zastanawiał się, dlaczego Oliver dotąd się z nią nie ożenił. Może miało to coś wspólnego z jej przeszłością? Ciekawe, ile ona ma lat, gdzie się poznali i jak długo już są razem. Wyglądała bardzo młodo, jak na matkę dwuletniego dziecka, ale w dzisiejszych czasach młodzi ludzie wcześniej wchodzi w związki partnerskie. Zdążył jeszcze zauważyć, że Wiktorio ma bardzo ładne zęby.

- W Creagan musiało się zdarzyć coś miłego - zauważył - bo wróciłaś taka ożywiona.

- To dlatego, że dziś jest taki piękny dzień. Powietrze jest jasne i czyste, wszystko aż się skrzy. Chciałam kupić

pastę do zębów, papierosy i inne drobiazgi, ale skoro Ellen była taka miła, że została z Tomkiem... Creagan jest takie piękne! Połaziłam trochę po mieście, zwiedziłam kościół i starą dziekanie, gdzie teraz jest sklep z pamiątkami...

- Kupiłeś coś? - chciał wiedzieć Roddy, ujęty jej entuzjazmem.

- Na razie nie, ale wiem już, że można tu dostać piękne szetlandzkie swetry. Potem połaziłam trochę po plaży. Muszę koniecznie zabrać tam Tomka. Nie było nawet zimno, bo cały czas świeciło słońce.

- Cieszę się, że mile spędziłeś przedpołudnie.

Przytaknęła skwapliwie, lecz raptem jej wesołość jakby przygasła.

- Wiem, że wczoraj wypadłam raczej nieciekawie, ale Oliver powiedział mi, że twój brat... Tak mi głupio, że akurat w takiej chwili wpakowaliśmy ci się na kark.

- Niby dlaczego ma ci być głupio? Bardzo mi z wami przyjemnie.

- I mało tego, zamiast pomagać Ellen, zostawiłam jej Tomka na głowie!

- Dobrze ci zrobi, jeśli oderwiesz się czasem od niego choć na godzinę lub dwie.

- Rzeczywiście, to było całkiem miłe. - Uśmiechnęli się do siebie porozumiewawczo. - Wspominałeś, że Oliver pracuje?

- Przynajmniej tak mi powiedział.

Wiktoria zrobiła lekko zdziwioną minę.

- Nie przypuszczałam, że zechce tutaj pracować.

- Może przyszły mu do głowy jakieś pomysły, które chciał przelać na papier? - Wtem Roddy przypomniał sobie, że wybierają się z Oliverem po południu do Wiek. - Jeśli chcesz, możesz jechać z nami, ale Oliver mówił, że masz zamiar iść na plażę z Tomkiem.

- Rzeczywiście.

- W takim razie masz szansę zrobić coś dla mnie. Dziś

po obiedzie ma przyjechać pewien młody człowiek, który na jakiś czas się u nas zatrzyma. Mogłabyś zająć się nim, poczęstować herbatą, żeby czuł się jak u siebie w domu.

- Z przyjemnością, ale gdzie on będzie spał? Wydaje mi się, że jest już komplet.

- Może spać w Wielkim Domu. Kiedy powiedziałem o tym Ellen, od razu się rozpromieniła i w mgnieniu oka oblekła świeżą pościel, wyszorowała i wypucowała wszystko, co trzeba.

- Przysięgłabym, że ona i bez tego ma dosyć roboty.

- Tak, ale ten młody człowiek zawsze był jej oczkiem w głowie. To mój bratanek, John Dunbeath.

Wiktoria zrobiła wielkie oczy.

- John Dunbeath, syn twojego brata Charliego? Przy śniadaniu Ellen powiedziała mi, że on jest w Ameryce.

- W tej chwili nie, bo właśnie dzwonił z Inverness.

- No to Ellen musi być w siódmym niebie.

- Pewnie, że jest, nawet nie dlatego, że on się u nas zatrzyma, ale ponieważ jest nowym właścicielem Benchoile. Jock zapisał mu je w testamencie.

Wiktoria aż oniemiała.

- A ja myślałam, że to ty dziedziczysz.

- Uchowaj Boże!

- Dlaczego? Byłbyś wspaniałym dziedzicem!

- Miła jesteś, ale kiepski byłby ze mnie pan. Jestem już za stary i mam za dużo złych nawyków. Nowa miotła zawsze lepiej zamiata. Kiedy powiedziałem o tym Ellen, zauważyłem błysk w jej oku, ale nie dam głowy, czy to była łza.

- Nie bądź złośliwy, ja ją lubię.

- Ja też, ale prędzej czy później skończę przez nią u czubków! - Roddy z westchnieniem zerknął na swoją pustą szklanę. - Na pewno nie chcesz się napić?

- Całkiem na pewno.

- Więc bądź tak miła i odszukaj swoich chłopaków, bo lunch będzie gotowy za jakieś dziesięć minut.

Wstał ze swego miejsca i podszedł dorzucić brykietów do ognia. Buchnęły gwałtownym płomieniem i jak zwykle kilka iskier spadło na dywanik, a Roddy jak zwykle je zdeptał.

Wiktoria pospieszyła wykonać polecenie, lecz zatrzymała się jeszcze u szczytu schodów.

- Mówiłeś, że gdzie jest Oliver?

- W bibliotece.

Zbiegła ze schodów, klapiąc ochoczo podszwami. Roddy został sam, przez chwilę się wahał, w końcu skapitulował i z westchnieniem nalał sobie następnego drinka. Ze szklanką w rękę przeszedł do kuchni, aby dopilnować gotującej się aromatycznej zupy.

Wiktoria wsadziła głowę przez drzwi biblioteki. Zobaczyła, że Oliver nie pisze, tylko siedzi przy biurku z opuszczonymi ramionami i wyciągniętymi nogami.

- Oliverze! - zawołała.

Podniósł głowę, ale nie od razu poznał Wiktorię. Trzeba było chwili, aby znów wstąpiło w niego życie, jakby dopiero co obudził się ze snu. Podrapał się w kark.

- Cześć!

- Już pora na lunch.

Zamknęła za sobą drzwi, a wtedy Oliver przyciągnął ją do siebie. Przytulił mocno i ukrył twarz w jej grubym swetrze, jak dziecko szukające ciepła. Mile wspominając upojną noc, Wiktoria wsparła podbródek o czubek jego głowy i spojrzała na biurko, pełne karteluszków pokrytych gryzmołami lub drobnym, gęstym pismem Olivera.

- Już pora na lunch - powtórzyła.

- Niemożliwe. Siedzę tu dopiero od pięciu minut.

- Roddy twierdzi, że od śniadania.

- A ty gdzie byłaś?
- W Creagan.
- Po co?
- Po zakupy.

Oliver odsunął ją od siebie i spojrzał jej prosto w oczy. Wiktoria wytrzymała jego spojrzenie i chłodno powtórzyła:

- Robiłam zakupy. Kupiłam ci papierosy.
- Jesteś wspaniała!
- I dowiedziałam się, że jeszcze ktoś ma do nas przyjechać.

- Któż taki?

- John Dunbeath, bratanek Roddy'ego. - Naśladując szkocki akcent, dodała: - Nowy pan na Benchoile!

- O rany! - jęknął Oliver. - To zupełnie jak z powieści Waltera Scotta.

- No więc chcesz coś zjeść? - Ze śmiechem ściągnęła go z obłoków na ziemię.

Odłożył brulion, przeciągnął się, ziewnął i sztywno wstał.

- Tak, ale najpierw napiłbym się czegoś.
- Roddy tylko czeka na kogoś, kto by się z nim napił.
- Idziesz z nami?
- Tak, tylko poszukam Tomka - oświadczyła, idąc w stronę drzwi. - Przez cały ranek był z Ellen.
- To miała kłopot! - podsumował Oliver.

* * *

John Dunbeath, prowadząc wynajętego forda, przejechał właśnie przez Everton i skręcił na wschód. Po prawej miał odnogę morską Cromarty Firth w czasie przypływu, błękitną jak Morze Śródziemne, a nad sobą bezchmurne niebo. W tle widział wzgórza na Czarnej Wyspie, odcinające się ostro od nieba. Pola uprawne schodziły aż na

brzeg zalewu, wyżej pały się owce, a czerwone traktory, z daleka malutkie jak zabawki, orały czarną ziemię.

Miłą niespodzianką dla Johna była piękna pogoda, gdyż Londyn opuszczał w strugach deszczu. Do ekspresu „Latający Szkot” wsiadł w stanie krańcowego wyczerpania, po czterdziestu ośmiu godzinach pracy bez wytchnienia, wytrącony z równowagi opóźnieniem samolotu i nieprzewidzianym spadkiem po Jocku. Wypił więc dwie podwójne whisky i zapadł w tak głęboki sen, że dopiero konduktor wagonu sypialnego obudził go, potrząsając nim mocno, i poinformował, że pociąg od pięciu minut stoi na stacji w Inverness.

Już w drodze do Benchoile, mimo że wiozł raczej niepomyślnie wieści dla jego mieszkańców, nie mógł wyzbyć się przeświadczenia, że jedzie na wakacje. Im dalej od Londynu, a bliżej Benchoile, tym intensywniej ożywały wspomnienia. Mimo że nie był tu od dziesięciu lat, pamiętał tę drogę tak doskonale, jakby jechał nią wczoraj. Nie zgadzał się tylko jeden szczegół - nie było przy nim ojca, który z radosnym oczekiwaniem wypatrywałby znajomych miejsc i pilnował, żeby John nie przeoczył żadnych znaków orientacyjnych.

Na skrzyżowaniu John skręcił w stronę Struie i Donnoch Firth, zostawiając w tyle Cromarty Firth. Widać stąd było zalesione zbocza wzdłuż brzegu, a za nimi ośnieżone wzgórza Sutherland. Dalej na wschód rozciągało się już pełne morze, spokojne i błękitne, jak w lecie. John opuścił szybę i wdychał zapach morza, torfu i wodorostów, pobudzający wspomnienia. Od tego miejsca szosa zaczynała opadać i ford leniwie toczył się w dół po łagodnych zakrętach.

Po czterdziestu minutach wjechał do Creagan. Wiedział, że zaraz trzeba będzie skręcić do Benchoile, więc zwolnił. Kiedy zjechał z głównej szosy, poczuł się jak u siebie: był na ziemiach należących do Benchoile. Minął właśnie ścieżkę, którą kiedyś, pewnego pochmurnego dnia, szli

z ojcem i Daveyem Guthrie'em, najpierw na szczyt wzgórza, a później do kanionu z jeziorem Feosaig. Łowili ryby do późnego wieczora, póki Jock nie przyjechał zabrać ich do domu.

W dole szumiała rzeka. John przeciął ją w miejscu, gdzie kiedyś ponad dwie godziny borykał się z łososiem, zanim go wyciągnął z wody. W polu widzenia ukazały się pierwsze linie stanowisk strzeleckich do polowania na pardwy, a nieco dalej - zagroda rodziny Guthrie. Ich zapuszczony ogródek zdobiły festony porozwieszanej bielizny, a uwiązane owczarki ujaśniały na widok przejeżdżającego samochodu.

Za ostatnim zakrętem leżało już jezioro Loch Muie, a na jego brzegu stał samotny, szary dom w promieniach popołudniowego słońca.

Teraz miało nadejść najgorsze, lecz John podjął ostateczną decyzję. Oświadczył już Robertowi McKenzie, że sprzeda tę posiadłość. Odkąd dostał ten brzemienny w skutki list, wiedział, że nie może zrobić nic innego.

Kiedy tylko zajechał, Ellen wybiegła mu na powitanie. John zastanawiał się, czy już zawczasu go wyglądała, czy zauważyła przypadkiem. Ledwo zdążył otworzyć bagażnik forda i wyjąć z niego walizkę - już była przy nim, jeszcze drobniejsza i bardziej zasuszona, niż pamiętał, z siwymi pasmami wymykającymi się spod koka i czerwonymi spracowanymi rękami rozpostartymi w powitalnym geście.

- Och, jesteś nareszcie, po tylu latach! Jak się cieszę!

Pospieszył ją uścisnąć, ale musiał zgjąć się wpool, aby móc przyjąć i odwzajemnić pocałunki. Rozczuliło go to, że jest taka drobna i krucha - w którymś momencie pomyślał, że trzeba szybko wejść pod dach, zanim wiatr ją porwie. Ellen uczepliła się jego walizki i usiłowała wnieść ją do domu. Szamotali się przez chwilę, aż siłą wyrwał jej neseser z rąk.

- Cóż ty sobie wyobrażasz? Przecież bym to zaniosta!
- protestowała.

- Dobra, wejdźmy lepiej do środka, bo zimno.

Ellen poszła przodem, a John za nią.

Już w holu Wielkiego Domu jego nozdrza zaatakował zapach palonego torfu, dymu fajkowego, pasty do podłóg i skóry. Po tym zapachu nawet z zawiązanymi oczami poznałby, że jest w Benchoile.

- Jak ci się jechało? Pan Roddy sprawił mi taką niespodziankę, kiedy powiedział, że przyjeżdżasz. Myślałam, że ciągle siedzisz u tych Arabów...

- Zapomniałem, dokąd się Roddy wybrał.

- Pojechał z panem Dobbsem do Wiek, ale na kolację wróca.

- Jak on się czuje?

- Chyba dobrze zniósł ten straszny cios, jakim była dla nas śmierć twojego stryja. - Powoli, trzymając się poręczy, zaczęła wchodzić na piętro. - Przeczuwałam, że musiało stać się coś złego, skoro nie przyszedł na lunch. No i wyszło na moje!

- Ale za to miał dobrą śmierć.

- Dla niego tak, bo dopadła go znienacka, kiedy cieszył się spacerem ze swoimi ulubionymi psami. Ale w jakim smutku zostawił nas wszystkich!

Doszła do zakrętu schodów i zatrzymała się, aby nabrać powietrza. John skorzystał z okazji i przełożył walizkę z jednej ręki do drugiej; potem ruszyli dalej.

- A więc wróciłeś do Benchoile - podjęła temat Ellen.

- Nieraz zachodziłyśmy z Jess w głowę, co się stanie z tym wszystkim, kiedy pan pułkownik umrze, ale jakoś nie uchodziło pytać. A dziś rano pan Roddy sprawił mi taką radość! Od razu wiedziałam, że tylko chłopak Charliego może przejąć Benchoile. Drugiego takiego jak Charlie nie ma i nie będzie!

John wolał nie rozwijać tego wątku i dyskretnie zmienił temat.

- A co u ciebie, Ellen? Jak się czujesz?

- Ano, młodsza się już nie robię, ale jakoś daję sobie radę z tym całym kramem.

Było to godne podziwu, zważywszy rozległość domu. Na podeście schodów John zaczął się zastanawiać, gdzie przyjdzie mu spać. Obawiał się, że Ellen przygotowała mu posłanie w sypialni Jocka. Tak makabryczny pomysł byłby w jej stylu. Na szczęście zaprowadziła go do najlepszego z gościnnych pokoi, gdzie kiedyś sypiał jego ojciec. Kiedy otworzyła drzwi, w pokoju było pełno słońca, lecz z otwartych okien ciągnął chłód. Ellen szybko je zamknęła. W pokoju John zastał szerokie łóżko na wysokich nogach, pokryte wykrochmalonymi kapami, toaletkę z rzeźbionym lustrem i kozetkę obitą pluszem. Nawet przewietrzenie pokoju nie usunęło zapachu pasty do podłóg i środków dezynfekcyjnych. Widać było, że Ellen solidnie się napracowała.

- Od czasów twego ojca nic się tu nie zmieniło!

Ellen jeszcze krzątała się po pokoju - poprawiła wykrochmaloną lnianą serwetkę i otworzyła przestronną szafę, aby sprawdzić, czy są w niej wieszaki, a przy tym wywietrzyć zapach kamfory. John postawił walizkę na podstawce u szczytu łóżka i podszedł do okna.

Słońce było już nisko, opromieniając różową poświatą szczyty wzgórz. Trawiaste zbocze rozciągało się aż do linii niskopiennego brzeźniaka.

John zauważył wychodzącą z lasu kobietę, której towarzyszył mały chłopczyk i stary czarny labrador.

- O, tu, zaraz za drzwiami, jest łazienka. Powiesiłam już czyste ręczniki... - Słyszał jak za jego plecami Ellen nie przestaje mówić.

- Chwileczkę, Ellen - przerwał jej. - Kto to jest?

Ellen podeszła do niego i wyjrzała przez okno.

- To pani Dobbs z synkiem Tomaszem. Przyjechali tu w gości do pana Roddy'ego.

Kobieta z dzieckiem wyszła tymczasem na otwartą przestrzeń. W którymś momencie chłopczyk zauważył wodę i pociągnął matkę w tamtą stronę. Po chwili wahania poszła za nim.

- Może zjadłbyś z nią podwieczorek w bibliotece?
- zasugerowała Ellen. - Dostaniecie gorące bułeczki i miód wrzosowy.

John nie odpowiadał ani nie odwracał się od okna. Ellen zrobiło się trochę przykro, bo otworzyła słoik tego miodu specjalnie dla niego. Przypomniała więc nieco oschłym tonem:

- W łazience są czyste ręczniki, możesz umyć ręce.

- Dobra, dobra - mruknął machinalnie, bo myślał o czymś innym.

Ellen wyszła z pokoju. John słyszał jej powolne kroki na schodach. Kobieta na dworze zdawała się dyskutować o czymś ze swoim synkiem, w końcu wzięła go na ręce i poszła w kierunku domu.

John odszedł od okna, a po chwili wyszedł z pokoju, zszedł po schodach na dół i przez frontowe drzwi wyszedł na zewnątrz. Kobieta od razu go dostrzegła i stanęła jak wryta, zaskoczona jego widokiem. John przeciął żwirowany dziedziniec i zaczął schodzić w dół po zboczu. Trudno mu było stwierdzić, w którym momencie go poznała. On natomiast poznał ją, gdy tylko wyłoniła się zza drzew.

Miała na sobie dżinsy i zielony sweter z zamszowymi łatami. Z twarzą dziecka tuż przy swojej śledziła jego ruchy. Te dwie pary niebieskich oczu wydawały się bardzo do siebie podobne. Na nosie kobiety pojawiły się piegę, których przedtem nie było.

A więc ta Wiktoria, którą John po przyjęciu odwoził do domu, była panią Dobbs. A jej dziecko było tym, które wtedy tak się strasznie darło.

- Cześć, Wiktorio - powiedział po prostu.

- Cześć - odpowiedziała.

* * *

Przy wielkim stole w jadalni siedziały teraz cztery osoby, a miejsce u szczytu stołu nie było już puste.

Wiktoria ubrała się do kolacji w niebieską wełnianą sukienkę ze złotym haftem na karczku i mankietach. Na tę okazję upięła też włosy, ale Johnowi ta fryzura wydała się nienaturalna i nie pasująca do Wiktorii. Zamiast dodawać jej powagi, pojedyncze pasma luźno wiszących blond włosów potęgowały wrażenie dziewczęcości. Odślonięty kark kojarzył się z dziecięcą wręcz bezbronnością. Jednak w jej pochmurnym spojrzeniu i pobladłych wargach kryło się jakieś wewnętrzne napięcie. Dawało to Johnowi pewną satysfakcję, gdyż świadczyło, że nie tylko on, ale i Oliver Dobbs nie był w stanie rozbić otaczającej ją skorupy.

- Oni nie są małżeństwem - poinformował go Roddy, gdy pili drinka przed kolacją. - Nie mam pojęcia dlaczego. Ona jest taka urocza!

„Może i urocza, ale jakaś dziwnie spięta. Chyba że w łóżku wyzbywa się hamulców...” - pomyślał John. Kiedy jednak przeniósł spojrzenie z Wiktorii na Olivera, z przykrością stwierdził, że wzdryga się przed tą wizją, jak narowisty koń przed przeszkodą. Wolał więc nastawić uszu na to, co mówił Roddy.

- ...najważniejsze, aby zainwestować w tę ziemię. To znaczy, nie tylko pieniądze, lecz także czas i środki techniczne. Chodzi o to, aby trawa wyrosła tam, gdzie nic przedtem nie rosło; żeby tutejsi ludzie mogli znaleźć zatrudnienie na miejscu, zamiast uciekać do miasta...

Nagle Roddy Dunbeath przedstawił się wszystkim ze strony, z której go dotąd nie znali. Widać było, że sprawy te są mu bliskie. Wiktoria, biorąc pomarańczę z misy na stole, zastanawiała się, ile osób o tym wie.

Poruszał te kwestie z pozycji człowieka, który spędził w Szkocji całe swoje życie i dobrze wiedział, co mówi.

- Chodzi przede wszystkim o ludzi, bo na nich opiera się lokalna społeczność. Rejony, w których nie wytworzyły się takie społeczności, są skazane na wymarcie - perorował Roddy.

- A jak się ma sprawa z gospodarką leśną? - wypytywał John Dunbeath.

- To zależy, jak się do tego podejdzie. James Dochart na przykład, który ma farmę w Glen Tolsta, zalesił około dwustu hektarów swojej ziemi...

Tymczasem Wiktoria obierała pomarańczę. W ciągu pięciu godzin obecności Johna w Benchoile zdążyła ochłoniąć z szoku wywołanego jego nagłym pojawieniem się tutaj, ale wciąż czuła się niepewnie. Ciężko jej było pogodzić się z faktem, że młody Amerykanin przypadkowo poznany w Londynie i John Dunbeath, bratanek Roddy'ego i jedyny syn ulubionego wychowanka Ellen, Charliego, to jedna i ta sama osoba.

Siedział teraz wygodnie u szczytu stołu, w nastrojowym świetle świec. Miał na sobie ciemny garnitur i śnieżnobiałą koszulę, a kiedy uniósł kieliszek porto, na jego palcu błysnął złoty sygnet. Z poważnym wyrazem twarzy słuchał wywodów Roddy'ego.

- ...ale zrobił to tak, żeby nadal móc tam wypasać krowy i czterysta owiec. Mało tego, zwiększyła się plenność jego stada. Natomiast zalesianie terenów górskich przez państwo nie rozwiązuje problemów rolników gospodarujących na tych ziemiach. Wprawdzie każdy otrzymany kubik drewna świerkowego pozwoli odzyskać trzy procent włożonego kapitału, lecz pozbawi środków do życia jednego hodowcę owiec.

Wiktoria zastanawiała się, czy Roddy zdradził Johnowi, że tak naprawdę nie jest ona wcale panią Dobbs, czy też John sam się tego domyśli. W każdym razie przyjmował jako pewnik, że Tomek jest jej synem. Próbowwała sobie wmówić, że dobrze się składa, bo dzięki temu ani ona, ani Oliver nie muszą niczego wyjaśniać. W końcu wszystko ułożyło się tak, jak tego pragnęła. Chciała do kogoś należeć i być komuś potrzebna - no więc należała do Olivera i była potrzebna Tomkowi. Bijąc się z tymi myślami, dzieliła pomarańczę

na cząstki. Sok ściekał po jej palcach do ażurowej misy z miśnieńskiej porcelany.

- A co z turystycznym wykorzystaniem tych terenów?
- indagował dalej John. - Te góry i wyspy są bardzo malownicze.

- Wygląda to zachęcająco - zgodził się Roddy - ale wiąże się z dużym ryzykiem. Społeczność utrzymująca się tylko z turystów ma bardzo niepewne podstawy egzystencji. Oczywiście, że można pobudować domki letniskowe czy szałas myśliwski albo nastawić się na wynajmowanie kwater, ale wystarczy jedno chłodne i deszczowe lato, żeby raz na zawsze wystraszyć amatorów rodzinnych wczasów pod gruszą. Jeszcze pół biedy, jeśli ojciec takiej rodziny lubi łowić ryby, obserwować ptaki czy po prostu chodzić na wycieczki - ale matka z trojgiem dzieci, którą deszcz uwięzi w domku na całe dwa tygodnie, na pewno będzie wolała spędzić następne wakacje w Hiszpanii. Nie, jeśli jakakolwiek społeczność ma się utrzymać przy życiu, muszą być zapewnione stałe miejsca pracy dla jej mieszkańców!

Oliver tylko westchnął, gdyż po dwóch kieliszkach porto chciało mu się spać. Przysłuchiwał się rozmowie nie dlatego, że interesował go ten temat, lecz dlatego, że fascynowała go osobowość Johna Dunbeatha. Na oko typowy mieszkaniec Nowej Anglii, w koszuli od Braci Brooks, z ledwo wyczuwalnym akcentem Środkowego Wybrzeża - a ciekawe, co też on knuje? Co kryje się za tą uprzejmą powściągliwością? A przede wszystkim, co on sobie pomyślał o Wiktorii?

Wiedział już, że poznali się w Londynie. Wiktorija zdążyła mu to powiedzieć, kiedy się kąpał, a ona szczotkowała włosy.

- Taki dziwny zbieg okoliczności - nadmieniła, siląc się na obojętny ton. Oliver jednak nie dał się nabrać na plewy, bo wiedział, co to u Wiktorii oznacza, toteż ciekawość w nim wzrosła. - To ten sam facet, który odwiózł mnie

do domu po przyjęciu u Fairburnów - ciągnęła dalej.

- Pamiętasz, wtedy kiedy Tomek tak strasznie płakał?

- Czyżby to był John Hackenbacker ze Zjednoczenia Aluminium? Coś podobnego! - Przetrawiał to w sobie, chlapiąc się w wodzie brązowej od zawartości torfu. - I co powiedział, kiedy cię znów zobaczył?

- Nic specjalnego. Zjedliśmy razem podwieczorek.

- Myślałem, że poleciał do Bahrajnu.

- Poleciał i wrócił.

- To on jest taki przelotny ptaszek? A co robi, kiedy nie lata?

- Zdaje się, że pracuje w banku.

- No to czemu nie siedzi w Londynie i nie realizuje ludziom czeków?

- On nie jest kasjerem, a poza tym wziął kilka dni urlopu na uregulowanie spraw majątkowych.

- I jak się czuje w roli nowego dziedzica na Benchoile?

- Nie pytałam go o to - odpowiedziała chłodno, gdyż zaczynało już ją to denerwować. Wiedziała doskonale, że Oliver drażni się z nią.

- To pewnie teraz założy szkocką spódniczkę, bo Amerykanie pasjami lubią się przebierać.

- To niesprawiedliwe uogólnienie.

Stanowczy ton w jej głosie wskazywał, że jest gotowa stanąć w obronie Johna. Oliver wyszedł z wanny, owinał się ręcznikiem i przeszedł do sypialni, gdzie Wiktoria czesała się przed lustrem. Napotkał jej spojrzenie.

- Ostatnio lubisz używać strasznie długich zdań - zaczął.

- Bo to nie jest ten rodzaj Amerykanina!

- A jaki?

- Nie wiem. - Odłożyła grzebień i sięgnęła po spiralkę do tuszu. - W ogóle nic o nim nie wiem.

- A ja już coś wiem! Wyciągnąłem to od Ellen, kiedy kąpała Tomka. Jeśli właściwie ją podejdziesz, dowiesz się wszystkiego. Dowiedziałem się więc, że ojciec Johna Dunbeatha poślubił dziedziczkę prawdziwej fortuny. A teraz

młodemu dostało się Benchoile. Kto dużo ma, ten dostaje jeszcze więcej! On chyba urodził się ze srebrną łyżką w ustach! - Mówiąc to, wciąż z ręcznikiem owiniętym wokół bioder, zaczął chodzić w kółko po sypialni, zostawiając mokre ślady na dywanie.

- Czego tak szukasz? - nie wytrzymała Wiktoria.
- Papierosów.

* * *

W myśl maksymy: „Kto dużo ma, ten dostaje jeszcze więcej”, Roddy poczęstował Olivera cygarem. Ten rozsiadł się swobodnie w fotelu i przymrużonymi oczami, przez obłoki dymu z cygara, obserwował Johna Dunbeatha. Tym, na co zwrócił uwagę, były ciemne oczy, wydatne rysy, śniada cera i czarne, krótko przystrzyżone włosy. Przypominał mu młodego bogatego Araba, który dopiero co z galabiji wskoczył w europejski garnitur. To porównanie dało mu złośliwą satysfakcję, więc się uśmiechnął. W tym momencie John spojrzął w jego stronę i zauważył to, lecz nie odwzajemnił uśmiechu.

- A jak się przedstawia eksploatacja złóż ropy? -ypytywał John.

- Ropa, ropa powtórzył Roddy, co zabrzmiało jak cytát z Henry'ego Irvinga.

- Uważasz, że ona należy do Szkocji?

- Tak twierdzą nacjonaliści.

- Tylko że najpierw brytyjskie i amerykańskie firmy zainwestowały ciężkie miliony w badania dna Morza Północnego. Gdyby nie to, nikt by do dziś nie wiedział, że tam jest ropa.

- To samo mówi się o ropie na Bliskim Wschodzie...

Do Olivera ich głosy dochodziły coraz mniej wyraźnie, bo zagłuszały je inne głosy, powstające w jego wyobraźni. Dominował wśród nich opryskliwy głos zbuntowanej dziewczyny.

- / gdzie to się wybierasz?
- Do Londynu, podjąć pracę.
- A w Penistone ci źle? Czy praca w Huddersfield jest gorsza?
- Och, mamo, nie o taką pracę mi chodzi. Chcę zostać modelką.
- Akurat modelką. Pewnie skończysz pod latarnią.
- To moje życie i mam prawo zrobić z nim, co chcę!
- / gdzie będziesz mieszkać?
- Coś znaję. Mam wielu znajomych.
- Jeśli zamieszkaś z Benem Lowrie'em, nie chcę cię więcej znać, mówię ci to otwarcie...

Tymczasem Roddy perorował dalej:

- ...niedługo nie będzie tu już ani jednego prawdziwego rzemieślnika. Mam na myśli prawdziwych, nie tych wariatów, co przyjechali nie wiadomo skąd i w jakichś szopach klecą tandetę, której nie kupuje nikt przy zdrowych zmysłach. Wytwórcy tradycyjnych szkockich strojów narodowych i ozdób ze srebra odchodzą na platformy wiertnicze i do rafinerii, bo tam mogą lepiej zarobić. A właśnie taki facet, jak ten, u którego byliśmy, robi niezły interes. Zaczynał od dwóch pracowników, a teraz zatrudnia dziesięciu.

- Ma zbyt na swoje wyroby? - zainteresował się John.
 - Otóż to! Załatwił sobie rynek zbytu, jeszcze zanim przeniósł się na północ. - Tu Roddy zwrócił się do Olivera:
 - Jak się nazywa ten wydawca w Londynie, dla którego on przedtem pracował? Powiedział mi nazwisko, ale zapomniałem...

- Że co proszę? - Oliver musiał wrócić do rzeczywistości. - Przepraszam, nie uważałem. Chodzi o wydawcę? Chyba Hackett i Hanson.

- Rzeczywiście, Hackett i Hanson. No więc... - Roddy przerwał, gdyż zorientował się, że nie dopuszcza nikogo do głosu. Chciał przeprosić Wiktorię, lecz w tej chwili

wyrwało się jej kompromitujące ziewnięcie. Wszyscy to zauważyli, więc czym prędzej zaczęła się sumitować:

- Ależ skąd, wcale mnie to nie nudzi. Po prostu jestem śpiąca.

- Nic dziwnego, zachowujemy się wręcz skandalicznie. Bardzo cię przepraszam, powinniśmy byli odłożyć tę dyskusję na inną porę.

- Nic nie szkodzi!

Jednak ziewnięcie Wiktorii zrobiło swoje, gdyż przerwana konwersacja już się nie kleiła. Świece wypaliły się do końca, a ogień na kominku przygasł. Roddy spojrzął na zegarek i stwierdził, że jest już wpół do jedenastej.

- Coś takiego, to już tak późno? - Nie mógł uwierzyć i dodał czystym edynburskim akcentem: - Ależ ten czas szybko leci!

- Nie jest jeszcze tak późno - sprostowała z uśmiechem Wiktorja. - Tylko to świeże powietrze powoduje senność.

- Nie jesteśmy przyzwyczajeni - uzupełnił Oliver, przeciągając się.

- A co będziecie robić jutro? - zagadnął Roddy. - Czy raczej, co my wszyscy będziemy robić? Może ty coś zaproponujesz, Wiktorio? Zapowiadali na jutro ładną pogodę. A gdybyśmy tak na przykład urządzili sobie piknik przy wodospadzie? Chyba że ktoś ma lepszy pomysł.

Ponieważ innych propozycji nie było, Roddy, zadowolony ze swojego planu, zaczął go rozwijać.

- Jeżeli znajdę klucz od hangaru, weźmiemy łódkę. Tomkowi na pewno spodoba się wycieczka. Ellen przygotowuje nam dużą wałówkę. A kiedy już przypłyniemy na miejsce, rozpalimy ognisko!

Pomysł spodobał się wszystkim, więc tym akordem zakończył się dzisiejszy wieczór. Oliver dopił resztkę wina, zdusił niedopałek cygara i rzucił w przestrzeń:

- Pewnie będę musiał odprowadzić Wiktorję do łóżka. Powiedział to niby ogólnie, do wszystkich, ale spoglądał

na Johna. Jego twarz pozostała niewzruszona, ale gdy Wiktoria gwałtownie odsunęła swoje krzesło od stołu, zerwał się i podbiegł je przytrzymać.

- Dobranoc, Roddy - ucałowała go na dobranoc. Pożegnała się też z Johnem, lecz nie próbowała go pocałować. Oliver otworzył drzwi, a kiedy wyszła, jeszcze raz zwrócił się do pozostałych osób w pokoju i rzekł z uśmiechem:

- Do zobaczenia jutro.

- Do jutra! - odpowiedział John i przysunął się do kominka, do którego Roddy dołożył brykietów i też przysunął się bliżej.

XI

Sobota

Prognoza pogody sprawdziła się tylko częściowo. Rzeczywiście świeciło słońce, ale coraz to zakrywały je chmury, nawiewane zachodnim wiatrem. Powietrze było tak przezrocyste, że wzgórza, woda, niebo i wszystko wokół wyglądało jak namalowane wielkim mokrym pędzlem.

Dwór Benchoile wraz z ogrodem otaczały wysokie wzgórza, więc uczestnicy wycieczki, zanim załadowali się na łódkę, czuli tylko leciutki wiaterek. Była to stara rybacka łódź, toteż nie dało się tak łatwo odbić od brzegu, dopóki wiatr nie stał się bardziej wyczuwalny. Powierzchnia wody wzburzyła się i spiętrzyła grzywami fal, przelewającymi się przez burty.

Pozakładali na siebie wszystkie nieprzemakalne rzeczy, jakie dały się wygrzebać w magazynie ekwipunku myśliwskiego w Benchoile. Wiktoria nałożyła oliwkowo-brązowy skafander z wielkimi kieszeniami, a Tomka owinęła w starą myśliwską kurtkę, poplamioną krwią jakiegoś dawno ustrzelonego ptaka czy zająca. Ubiór ten krępował ruchy, dzięki czemu Wiktorii łatwiej było upilnować dziecko. Dziękowała Bogu za tę możliwość, gdyż chłopiec zachowywał się tak, jakby chciał wypaść za burtę.

Wszyscy zgodzili się bez słów, aby John Dunbeath zasiadł do wiosł. Na tę okazję nałożył czarny skafander, którego używał stryj Jock, oraz zielone buty myśliwskie,

lecz był z gołą głową i coraz to bryzgi wody ochlapwały mu twarz. Wokół panowała cisza, którą przerywało tylko skrzypienie wiosł w dulkach, świst wiatru i plusk fal rozbijających się o burty. Wiosła były długie i ciężkie, lecz John świetnie sobie radził, przechyłami ciała naprowadzając dziób odpornej krypy na właściwy kierunek. Co jakiś czas wciągał wiosła do środka, aby, patrząc przez ramię, ocenić, jak dalece wiatr i prąd wody znoszą łódź. Czuł się tu całkiem swobodnie, jak u siebie w domu. Widać było, że robił to już nieraz.

W środkowej części łodzi, na ławie wiosłarskiej, siedzieli Roddy i Oliver: Roddy zwrócony tyłem do Wiktorii, trzymając między kolanami swego psa, a Oliver okrakiem na ławie, oparty łokciami o burtę. Obaj wypatrywali przeciwnego brzegu, przy czym Roddy przez lornetkę. Wiktoria widziała zarys czoła i podbródka Olivera, jego nogi w spranych dżinsach i w tenisówkach. Wiatr odwiewał mu włosy z czoła, a skóra twarzy, napięta na kościach policzkowych, zaczerwieniła się.

Na dnie łodzi zbierała się woda, którą Roddy wybierał starą cynową miską. Koszyki z wałówką na piknik, podpałkę i okrycia przeciwdeszczowe zabezpieczyli przed zamknięciem. Zapasów mieli tyle, że wystarczyłoby dla pułku wojska. Termosy i butelki z napojami płynęły w specjalnym koszyku, żeby się nie stłukły.

Roddy co chwila odrywał się od wybierania wody z łódki i obserwował wzgórze przez lornetkę.

- Czego tak wypatrujesz? - zapytał Oliver.
- Jeleni. Teraz trudno je wytropić. W zeszłym tygodniu, kiedy spadł śnieg, łatwiej było je zauważyć, ale dziś chyba nie ma ich tutaj.
- A gdzie są?
- Przypuszczalnie po drugiej stronie wzgórz.
- Dużo ich tu macie?
- Czasem można naliczyć nawet pięćset sztuk byków i łań. Kiedy jest zimno, wyjadają bydłu paszę, którą

wykładamy u podnóża wzgórz, nad samym jeziorem. Jeżeli podjedzie się bez świateł, można je zaskoczyć, a wtedy widok jest przepiękny!

- Czy wtedy strzelasz do nich? - zagadnął Oliver.

- Nie. Jock odstąpił prawo do odstrzału naszemu sąsiadowi z drugiej strony wzgórz. Mamy jeszcze masę dziczyzny w zamrażarce. Ellen potrafi świetnie ją przyrządzać. - Roddy przełożył przez głowę pasek i przekazał lornetkę Oliverowi. - Popatrz, może twoje młode oczy zobaczą więcej.

I rzeczywiście, przybliżający się brzeg w tajemniczy sposób ujawniał to, co skrywał. Widać już było wybrzuszenia skalne, płaty szmaragdowozielonej darni i zwirowane plaże. Zbocza wzgórz gęsto porastały paprocie, a wyżej - sosna szkocka i wrzos. Linie horyzontu wyznaczał murek z kamienia polnego, odgraniczający posiadłość Benchoile od sąsiedniej; w murze był wyłom jak szczyrba po wyrwanym zębie.

Wodospadu wciąż nie było widać. Akurat wtedy, kiedy Wiktoria chciała o to zapytać, ukazała się mała zatoczka z plażą wysypaną białym żwirkiem i kaskadą białej piany, spadającej ze skalnej półki wśród mchu i paproci. Dopiero ten obraz zgadzał się z wyobrażeniami Wiktorii o tym miejscu.

- Tego ci brakowało, prawda? - zareagował Roddy na jej zachwyconą minę.

Tomek był tak podekscytowany tym, co widział, że wyrwał się z objęć Wiktorii. Zanim zdołała go złapać, oparł się o nogę ojca, bębniąc piąstką w jego kolano.

- Popaćś! - wykrzyczał jedno ze swoich pierwszych słów.

Oliver jednak nie zwracał uwagi na wysiłki Tomka, zafrapowany tym, co widział przez lornetkę Roddy'ego.

- Paćś! - Tomek nie rezygnował, lecz nagle pośliznął się i wpadł, uderzając głową o ławkę, do wody na dnie łodzi. Oczywiście rozpłakał się, a kiedy Wiktoria złapała

go na ręce, zwróciła uwagę na twarz Johna Dunbeatha. Nie patrzyła na nią, tylko na Olivera, a wyraz jego oczu był taki, jakby chciał dać Oliverowi w zęby.

* * *

Łódź wbiła się stępką w zwirowaną plażę. John wciągnął wiosła na pokład i wyskoczył na brzeg, ustawiając łódź dziobem do lądu. Pasażerowie po kolei wychodzili na brzeg. Roddy dla pewności niósł Tomka, Oliver przywiązał cumę do pachołka, a Wiktoria wyniosła z łodzi koszyki z prowiantem i koce. Pod stopami chrzęścił żwir, a w uszach huczał wodospad.

Pikniki w Benchoile miały swoją tradycję. Roddy z Barneyem u nogi poprowadził wycieczkę utartym szlakiem. Pomiędzy wodospadem a ruinami starego obejścia rozciągała się szeroka połać murawy, gdzie już nieraz urządzano pikniki. Było tam dobrze osłonięte miejsce pod ognisko, wyznaczone kręgiem osmolonych kamieni i zwęglonych drzew. W południe zrobiło się całkiem ciepło, tak że wszyscy po kolei zaczęli zrzucać nieprzemakalne okrycia. Tomek badał plażę na własną rękę, a John za pomocą kija zgarnął na kupkę popioły ogniska. Oliver zapalił papierosa. Roddy wyjął z koszyka dwie butelki wina i wstawił je do wody, aby je schłodzić. Potem zaczął obserwować parę ptaków, świergoczących i zataczających kręgi nad skalną granią.

- Co to za ptaki? - zapytała Wiktoria.

- Pluszcze wodne. Jeszcze trochę za wcześnie, żeby zakładały gniazda. Pójdę zobaczyć. - Roddy zaczął wspinać się po stromym zboczu.

Oliver, z lornetką zawieszoną na szyi, po chwili -wahańia podążył w jego ślady. John w tym czasie zrywał uschłą trawę i łodygi wrzosu na podpałkę do ogniska. Wiktoria chciała mu pomóc, ale zauważyła, że Tomek, zafrapowany tworzącymi się falami, kieruje się prosto

w stronę jeziora. Pobiegła za nim i w ostatniej chwili, ze śmiechem, złapała go na ręce.

- Tomku, nie można wchodzić do wody! - tłumaczyła. Ponieważ trochę go przy tym łaskotała, chłopczyk zaśmiał się, prężąc się w odruchu protestu.

- Mokle! - wykrzyczał jej prosto w twarz.

- Sam jesteś mokry. Chodź, zobaczymy, czym jeszcze można się tu zająć.

Zaniosła chłopca aż nad stawek utworzony przez wodospad, z którego woda strumykiem spływała do jeziora. Usadowiła go i nabrała garść kamyków, pokazując mu, jak rzucać je do wody, żeby powstał plusk. Tomek natychmiast też przykucnął i zaczął rzucać kamyki do wody. Wiktoria zostawiła go na chwilę i poszła po plastikowy kubek od termosu. Napełniła go kamykami i zawołała:

- Popatrz, jaka piękna góra! - Odwróciła kubek i wysypała kamyki na kupkę. - Teraz ty spróbuj.

Tomek powoli zaczął zbierać kamyki do kubka. Zajął się tym, choć niezgrabnie, lecz ze wzruszającą wytrwałością.

Wiktoria obserwowała go, czując wzrastający przypływ czułości. Zastanawiała się, czy instynkt macierzyński może pojawić się u kogoś, kto nie ma własnego dziecka. Może nie doświadczyłaby tego, gdyby Tomek nie chwycił tak za serce. Jak w sentymentalnej scenie z niemego filmu: „znalazł drogę do jej serca”.

Sytuacja była co najmniej dziwna. Kiedy Oliver przyznał się, że wykradł swego syna Archerom, Wiktoria była tym zszokowana, ale i wzruszona jego ojcowskimi uczuciami. Na początku rzeczywiście robił wrażenie zaangażowanego. Kupił Tomkowi zabawkę, nosił go na barana, a nawet bawił się z nim przed snem. Teraz jednak wydawał się znudzony, jak dziecko nową zabawką, i ledwo zwracał na syna uwagę. Wiktoria nie mogła się oprzeć przeświadczeniu, że wykradł chłopca nie dla zadośćuczynienia swoim

ojcowskim instynktom, lecz po prostu, żeby zrobić teściom na złość. W tym świetle przyszłość Tomka, a pośrednio i jej, rysowała się co najmniej niepewnie.

- Popaćś! - domagał się Tomek, waląc ją piąstką w kolano.

Patrząc we wskazanym kierunku, dostrzegła kupkę ułożonych kamyków i zapaćkaną buzię chłopca, promieniającą szczęściem. Porwała go w objęcia i mocno przytuliła.

- Czy ty wiesz, jak ja cię kocham? - zadała retoryczne pytanie.

Mały roześmiał się serdecznie. Jego śmiech natchnął ją nadzieją, że może jeszcze wszystko dobrze się ułoży. Przecież kocha Tomka i Olivera, a Oliver kocha ją i z pewnością również Tomka, tylko tego nie okazuje. Cóż więc może zagrażać tak kochającej się rodzinie?

Usłyszała za sobą szelest kroków, a kiedy się odwróciła, stwierdziła, że to John Dunbeath. Za nim ognisko płonęło już żywym płomieniem wśród pióropuszy błękitnego dymu. Tamtych dwóch nie było w pobliżu. Kiedy Wiktoria rozejrzała się za nimi, zobaczyła ich jako małe figurki wspinające się pod górę. Mieli już za sobą ponad połowę drogi.

- Jeszcze z godzinę nie będzie lunchu - zauważył John.
- Pewnie poszli tropić jelenie.

Podszedł do niej i powstał tak chwilę, patrząc na drugi brzeg, gdzie spomiędzy drzew majaczył niewyraźny zarys domu. Z tej odległości robił wrażenie domu z marzeń, z dymem buchającym z komina i firanką powiewającą w otwartym oknie jak flaga.

- Nic nie szkodzi - odrzekła Wiktoria, mając na myśli to, że lunch będzie później. Gdyby Tomek zgłódniał, damy mu cokolwiek, zanim tamci wrócą.

John usiadł wprost na zwirowanej plaży.

- Może jesteś głodny, co? - zagadnął Tomka.

Chłopczyk nic na to nie odpowiedział. Oderwał się od

kolan Wiktorii i wrócił do przerwanej zabawy kubkiem i kamykami.

- A ty nie idziesz tropić jeleni? - zainteresowała się Wiktoria.

- Po co, nieraz już je widziałem. Nie przypuszczałem tylko, że Oliver aż tak interesuje się zwierzyną, że zechce mu się iść taki kawał pod górę.

Nie zabrzmiało to jak krytyka, ale Wiktoria i tak uznała, że musi stanąć w obronie Olivera.

- On ma rozległe zainteresowania - powiedziała. - Lubi poznawać ludzi i zbierać nowe doświadczenia.

- Zdążyłem się już zorientować. Wczoraj, kiedy poszłaś spać, Roddy w końcu wyduśił, że Oliver jest pisarzem. Od razu miałem wrażenie, że skądś znam to nazwisko, ale przypomniałem sobie dopiero wtedy, kiedy Roddy mi powiedział. Przecież czytałem kilka jego książek i oglądałem w telewizji sztukę, którą napisał. To bardzo zdolny człowiek.

Wiktoria poczuła do Johna sympatię.

- Tak, bardzo zdolny. W Bristolu właśnie wystawiają „Złamany szeląg”. W poniedziałek była premiera i sztuka podobno okazała się przebojem kasowym. Może nawet wystawi ją teatr na West Endzie...

- To wspaniale.

Wiktoria nadal wychwalała Olivera pod niebiosa, jakby to mogło zatrzeć wspomnienie wyrazu twarzy Johna w chwili, kiedy Tomek upadł w łódce.

- Nie zawsze mu tak dobrze szło, bo w tej branży trudno się przebić. Zawsze jednak chciał pisać i nie zrażał się niepowodzeniami. Rodzina właściwie go wydziedziczyła, bo ani myślał zostać zawodowym wojskowym czy prawnikiem, jak sobie tego życzyli. Był zdany tylko na własne siły...

- Kiedy to się zaczęło?

- Chyba od momentu, kiedy skończył szkołę.

- A kiedy go poznałaś?

- Jakieś trzy lata temu - odpowiedziała, nabierając garść kamyczków, które mimo sporej odległości od wody były mokre, błyszczące i zimne.

- Czy już wtedy odnosił sukcesy?

- Nie, ciężko harował fizycznie, żeby zarobić na życie. Na budowach, przy układaniu dróg, w smażalni ryb i frytek. Dopiero kiedy pewien wydawca zwrócił na niego uwagę i pomógł mu wystawić sztukę w telewizji, wszystko potoczyło się inaczej. Roddy'ego poznał także poprzez telewizję, pewnie stryj ci o tym mówił. Dlatego właśnie przyjechaliśmy do Benchoile. „Wiek orłów” przeczytałam jeszcze jako uczennica, a potem nieraz do tej książki wracałam. Kiedy Oliver powiedział mi, że zna Roddy'ego i możemy do niego pojechać, nie mogłam uwierzyć własnemu szczęściu.

- No i jak, czy Benchoile sprostało twoim oczekiwaniom?

- Tak, tylko trzeba pogodzić się z tym, że nie zawsze jest lato.

- No pewnie! - roześmiał się.

Wiktoria skonstatowała, że John wygląda dużo młodziej, gdy się śmieje.

Na chwilę chmurka przesłoniła słońce, lecz zaraz zaświeciło znowu. Zrobiło się tak ciepło i przyjemnie, że Wiktoria położyła się wprost na ziemi, twarzą do słońca.

- Tylko śmierć twojego stryja zepsuła nam przyjemność pobytu tutaj - ciągnęła dalej. - Miałam wrażenie, że powinniśmy zaraz stąd wyjechać, ale Roddy nie chciał o tym słyszeć.

- Dla niego po tym wszystkim to najlepsze, co mogło go spotkać. Teraz szczególnie potrzeba mu towarzystwa.

- Ellen opowiadała, że przyjeżdżałeś tu, kiedy byłeś mały.

- Tak, z ojcem.

- Podobało ci się tutaj?

- Tak, ale nie czułem się tu jak w domu. Mój prawdziwy dom był na ranchu w Kolorado.

- A jak spędzałeś tutaj czas? Polowałeś na jelenie i pardwy, jak większość mężczyzn?

- Zwykle łowiłem ryby. Nie lubię polować, choć bardzo mi to utrudniało życie.

- Dlaczego? - Trudno było sobie wyobrazić, że cokolwiek mogło utrudniać życie Johnowi Dunbeathowi.

- Ponieważ wszyscy w moim otoczeniu, także mój ojciec, lubili polować, więc uważano mnie za dziwaka. Stryj Jock nie rozumiał, jak można w takim stopniu odbiegać od przyjętych norm. Wydawało mi się nawet, że nie bardzo mnie lubił.

- Przecież nie zapisałyby ci Benchoile, gdyby cię nie lubił!

- Zapisał mi je - wyjaśnił John bezbarwnym głosem - ponieważ nie miał nikogo innego, komu mógłby je zostawić.

- Czy kiedykolwiek przypuszczałeś, że coś takiego cię spotka?

- Nigdy nawet nie powstało mi to w głowie. Kiedy wróciłem z Bahrajnu i zastałem na swoim biurku list od adwokata, byłem niebotycznie zaskoczony.

Mówiąc to, równocześnie zbierał kamyczki i metodycznie celował nimi w omszałą skałę sterczącą nad jeziorem.

- Razem z tym listem był jeszcze drugi, od Jocka - dodał. - Napisał go na parę dni przed śmiercią. To strasznie dziwne uczucie, dostać list od kogoś, kto już nie żyje.

- I co, przeprowadzisz się tu i obejmiesz majątek?

- Nawet gdybym chciał, to nie mogę.

- Ze względu na pracę?

- To też. Wprawdzie mieszkam teraz w Londynie, ale w każdej chwili mogę być odwołany do Nowego Jorku. Poza tym mam w Stanach rodzinę...

- Rodzinę? - powtórzyła ze zdziwieniem w głosie.

Co prawda, w gruncie rzeczy nie było w tym nic dziwnego. To, że na przyjęciu, na którym go poznała, był

sam, nie świadczyło jeszcze o tym, że w Stanach nie zostawił żony i dzieci. Na całym świecie biznesmeni prowadzą podobny tryb życia. Wyobraziła sobie jego żonę. Na pewno była ładna i zgrabna, jak prawie wszystkie młode Amerykanki; miała supernowocześnie wyposażoną kuchnię i wielomiejscowy rodzinny samochód, którym odwoziła dzieci do szkoły.

- Miałem na myśli rodziców. - John rozwiął jej wątpliwości.

Wiktorii zrobiło się głupio.

- A ja myślałam, że jesteś żonaty! - wyznała ze śmiechem.

John z wyjątkową precyzją rzucił ostatni kamyk. Trafił w skałkę, kamyk odbił się od niej i z pluskiem wpadł do wody. Dopiero wtedy John odwrócił się do Wiktorii i wyjaśnił sucho:

- Raz już byłem żonaty i wystarczy.

- Och, przepraszam, nie wiedziałam! - nic innego nie przyszło jej do głowy.

- W porządku, niby skąd miałaś wiedzieć? - Uśmiechnął się ze zrozumieniem.

- Roddy i Ellen mówili mi dużo o tobie, ale nie wspomnieli ani słowem, że byłeś żonaty.

- Ponieważ nasze małżeństwo trwało tylko dwa lata i tutejsza rodzina nie znała mojej żony.

Przybrał wygodniejszą pozycję, opierając łokcie na kolanach. Zapatrzył się w jakiś punkt po drugiej stronie jeziora.

- Chciałem przywieźć ją do Benchoile podjął wątek.

- Przed ślubem opowiadałem jej o Szkocji, bo nigdy tu nie była. Wyobrażała sobie romantyczny kraj spowity mgłami i Szkotów w spódniczkach, grających na kobzach... Ale po ślubie jakoś tak się układało, że na nic nie było czasu.

- Czy po... rozwodzie przeniosłeś się do Londynu?

- Tak, chodziło między innymi o to, żeby odciąć się od tego wszystkiego.

- Dzieci mieliście?
- Nie, i dobrze się stało.

Wiktoria zdała sobie sprawę, jak bardzo się myliła w ocenie Johna. Kiedy go poznała, zrobił na niej wrażenie osobnika chłodnego, opanowanego i zadowolonego z siebie. Okazało się, że za tą fasadą krył się człowiek wrażliwy, którego łatwo urazić, może nawet samotny. Pamiętała, że wtedy miała z nim być jakaś dziewczyna, tylko w ostatniej chwili wystawiła go do wiatru. Przypomniała sobie też, że została przez Johna zaproszona na kolację, ale odmówiła. Teraz miała mętne przeświadczenie, że ona też wystawiła go do wiatru.

- Moi rodzice rozwiedli się, kiedy miałam osiemnaście lat - zaczęła wspominać. - Pewnie pomyślisz, że byłam już na tyle dorosła, żeby poradzić sobie w tej sytuacji. Jednak coś się zmieniło i moje życie nigdy już nie było takie jak przedtem. Utraciłam poczucie bezpieczeństwa. Natomiast tu, w Benchoile - dorzuciła z uśmiechem - czuję się bezpieczna jak w dzieciństwie. Może dlatego, że od stuleci nic się tu nie zmieniło.

- To prawda, przynajmniej nie za mojego życia. Nawet zapach jest stale taki sam.

- I co się teraz stanie z tym majątkiem? - zapytała wprost.

- Sprzedam go - odpowiedział nie od razu, lecz po pewnym namyśle.

Wiktoria wlepiła w niego zdumione spojrzenie, ale poważny wyraz jego ciemnych oczu upewnił ją, że John rzeczywiście ma taki zamiar.

- Ależ nie możesz tego zrobić! - wykrzyknęła.

- A jakie mam wyjście?

- Zatrzymać tę posiadłość.

- Nie jestem ani rolnikiem, ani myśliwym, ani nawet rodowitym Szkotem, tylko amerykańskim bankowcem. Po co mi taka posiadłość jak Benchoile?

- A nie mógłbyś zarządzać nią...

- Z Wall Street?
- Mógłbyś ustanowić zarządę...
- Kogo?

Wiktoria szukała w myślach właściwego **kandydata**, ale odpowiedź mogła być tylko jedna.

- Roddy'ego.

- Ja jestem bankowcem, a on pisarzem, więc żaden z nas nie zna się na prowadzeniu majątku. W tych sprawach decydujący głos miał Jock. On nie tylko tym wszystkim zarządzał, lecz sam ciężko pracował. Pomagał Daveyowi Guthrie'emu zaganiać owce, dozorował wykoty i odrobaczanie. Jeździł na targ do Lairg, zajmował się także lasem i ogrodem.

- To tu nie ma ogrodnika?

- Jest taki staruszek, który dojeżdża trzy razy w tygodniu z Creagan, ale zajmuje się głównie zaopatrywaniem kuchni w świeże warzywa i drewno opałowe.

- Ale Roddy zna się na wszystkim - upierała się.
- Wczoraj wieczorem...

- Z pewnością, przeżył tu przecież całe swoje życie. Ale to, co on wie, a to, co rzeczywiście może zrobić, to są dwie różne rzeczy. Obawiam się, że bez Jocka, który go pobudzał do działania, Roddy zginie jak mydło w praniu.

- Mógłbyś przynajmniej dać mu szansę.

John z wyraźną przykrością potrząsnął głową.

- To olbrzymi majątek - wyjaśnił. - Około pięciu tysięcy hektarów użytków rolnych, kilometry ogrodzeń do konserwacji, ponad tysiąc owiec. Do tego dochodzi jeszcze hodowla bydła i nowoczesne maszyny rolnicze. Jest w tym wszystkim zamrożony ogromny kapitał.

- I pewnie nie chciałbyś ryzykować jego utraty?

- Żaden bankowiec nie chciałby zaryzykować czegoś takiego. Nie chodzi nawet o to, ostatecznie pewnie" straty mógłbym jakoś przeboleć, gdyby były perspektywy rozwoju i Benchoile mogło przynajmniej na siebie zarobić...

Wiktoria odwróciła się i spojrzała na drugi brzeg jeziora,

w stronę Wielkiego Domu. Przypomniała sobie panującą w nim ciepłą atmosferę i życzliwość ludzi... Wszystko to jednak było za mało na konkretne „perspektywy rozwoju”.

- A co będzie z Ellen? - spytała zrezygnowana.

- Z tym właśnie jest problem. Z nią i z rodziną Daveya Guthrie'ego.

- Czy oni wiedzą, że zamierzasz sprzedać Benchoile?

- Jeszcze nie.

- A Roddy?

- Powiedziałem mu o tym wczoraj.

- I co on na to?

- Wcale go to nie zaskoczyło. Twierdził, że nie spodziewał się niczego innego. Potem nalał sobie olbrzymią szklanicę koniaku i zmienił temat.

- Jak sądzisz, co on teraz zrobi?

- Nie wiem - odpowiedział szczerze John i po raz pierwszy w jego głosie zabrzmiał smutek.

Wiktoria zwróciła głowę ku niemu i napotkała posępne spojrzenie jego oczu. Współczuła mu, że musi przeżywać takie dylematy moralne.

- Roddy stanowczo za dużo pije - stwierdziła z przejęciem.

- Wiem o tym.

- Mimo to uwielbiam go.

- Ja też. Kocham tych wszystkich ludzi i dlatego to jest takie okropne.

Wiktoria poczuła się w obowiązku podnieść go na duchu.

- Może wszystko się jeszcze jakoś ułoży?

- Nie ma się co oszukiwać. Muszę sprzedać Benchoile. Ten adwokat, Robert McKenzie z Inverness, ułożył już tekst ogłoszenia, które w tym tygodniu ma się ukazać w najpoczytniejszych krajowych dziennikach. *Sprzedam atrakcyjny majątek ziemski z terenami łowieckimi w Szkocji.* Sama widzisz, że nie mogę się już wycofać.

- Chciałabym cię przekonać, żebyś zmienił zdanie.

- Ale nie dasz rady, więc nie mówmy już o tym.

Tymczasem Tomek miał już dość zabawy, no i zgłodniał. Rzucił plastikowy kubek na ziemię i próbował wdrapać się na kolana Wiktorii. John spojrzął na zegarek.

- Dochodzi pierwsza - stwierdził. - Myślę, że powinniśmy już coś zjeść.

Oboje dźwignęli się z ziemi i otrzepali spodnie ze żwiru.

- Co z tamtymi? - spytała, zwracając się w kierunku wzgórza, na które weszli Oliver i Roddy. Ujrzała ich schodzących w dużo szybszym tempie, niż weszli.

- Im na pewno też chce się jeść i pić - stwierdził John. Pochylił się, wziął Tomka na ręce i skierował się w stronę dogasającego ogniska. - Chodźmy zobaczyć, co tam Ellen dla nas naszykowała...

* * *

Podczas kolacji nie poruszano już poważnych problemów: ani środowiska literackiego Londynu, ani przyszłości szkockiej gospodarki narodowej. Dzięki udanemu piknikowi, który przywołał na pamięć urządzone tu kiedyś imprezy, spotkanie zamieniło się w wieczór wspomnień.

Roddy, ożywiony świeżym powietrzem, wzmocniony winem i dobrym jedzeniem, czuł się w swoim żywiole. John wciąż prowokował go do przypominania różnych zabawnych zdarzeń z przeszłości. W nastrojowym świetle świec przywołano z zaświatów dawnych pracowników majątku, ekscentrycznych krewnych i despotyczne dziedziczki. Potoczyły się opowieści o wieczerzy wigilijnej, podczas której zapaliła się choinka; o polowaniu na pardwy, zepsutym przez powszechnie nie lubianego kuzyna, który wyrwał się ze swoim strzałem przed gościa honorowego; o wyjątkowo ostrej zimie, kiedy zasypany śniegiem dom był przez miesiąc odcięty od świata, a jego mieszkańcy pozyskiwali wodę z topionego śniegu i dla zabicia czasu bawili się w różne gry... O przewróconej łodzi i szeryfie, który

zapomniał zaciągnąć hamulec ręczny w swoim bentleyu, wskutek czego samochód stoczył się do jeziora... Wreszcie o zubożałej szlachciance, która miała spędzić w majątku weekend, a została dwa lata.

Opowieści sypały się jak z rogu obfitości, a Roddy tryskał dowcipem i humorem. Było już po północy i Wiktoria miała właśnie zamiar zaproponować udanie się do łóżek, gdy Roddy wstał od stołu i zaprosił całe towarzystwo do nie używanego od lat salonu, gdzie wszystkie meble stały w pokrowcach, a wśród nich fortepian. Odsłonił instrument, przysunął taboret do klawiatury i zaczął grać.

W salonie panował przejmujący chłód. Okna były na głucho pozamykane, a story zapuszczone. Ze środka bogato zdobionego sztukaterią sufitu zwieszał się kryształowy żyrandol, którego wisioriki przypominały soplek lodu. Rozszczepione w rżniętym szkle światło odbijało się w mosiężnych prętach kraty białego marmurowego kominka.

Roddy grał i śpiewał sentymentalne przedwojenne przeboje w stylu Noela Cowarda i Cole'a Portera, a dźwięki starych melodii odbijały się od pustych ścian.

*Nie rozgrzewa mnie szampan,
Nie upaja mnie wino.
Więc czego chcesz, jeszcze, dziewczyno?*

Oliver był szczególnie poruszony niespodziewanym zakończeniem wieczoru. Oparty o fortepian, palił cygaro i uporczywie wpatrywał się w Roddy'ego, jakby nie chciał uronić najmniejszego szczegółu, który mógłby się kiedyś przydać jako pierwowzór jakiejś postaci dramatu.

John stał z rękami w kieszeniach przy kominku, opierając się plecami o gzyms. Wiktoria upatrzyła sobie stojący pośrodku fotel, obity spłowiała niebieską bawełnianą tkaniną, i przysiadła na poręczy. Nad fortepianem, po obu stronach dużego lustra, wisiały dwa portrety. Nikt nie

musiał jej wyjaśniać, że przedstawiają Jocka Dunbeatha i jego żonę Lucy.

Zasłuchana w dźwięki starej melodii, Wiktoria przenosiła wzrok z jednego portretu na drugi. Jock został odmalowany w pełnym umundurowaniu swojego pułku, a Lucy w szkockiej spódnicy i zielonkawobrazowym swetrze. Oczy miała brązowe, a w kącikach ust zastygły uśmiech. Wiktoria zastanawiała się, czy to ona sama urządziła ten salon i wybrała wzór dywanu w girlandy róż, czy też zaakceptowała to, co otrzymała w spadku po teściowej.

Przyłapała się na rozważaniu, co by było, gdyby Jock i Lucy wiedzieli, że ich następca chce sprzedać Benchoile. Ciekawe, czy zmartwiłoby ich to, czy rozgniewało, a może zrozumieliby decyzję Johna? Patrząc na twarz Lucy z portretu, Wiktoria przypuszczała, że ona by zrozumiała. Natomiast Jock w swym galowym mundurze ze złotymi epoletami miał na obrazie przepisowo głupią minę, z której nic nie wynikało. Z jego jasnych, głęboko osadzonych oczu nie można było wyczytać żadnej myśli.

Nagle Wiktoria uświadomiła sobie, że strasznie zmarzła. Nie wiadomo dlaczego przebrała się do kolacji w suknię całkowicie nieodpowiednią na zimowy wieczór w Szkocji: bez rękawów, z lekkiego materiału, pasowała raczej do nagich, opalonych ramion i sandałów nałożonych na bose stopy. Wiktoria wyglądała w niej chudo, blado i bezbarwnie.

Jesteś dla mnie z samego ranka

Jak kremowa do kawy śmietanka...

- wyśpiewywał Roddy słowa starego przeboju. Wiktoria zadrżała i zaczęła rozcierać ramiona, aby się ogrzać. Z drugiego końca pokoju dotarło do niej 'pytanie Johna:

- Zimno ci?

Zorientowała się, że John ją obserwuje i zrobiło jej się

głupio. Położyła dłonie na kolanach i skinęła głową, robiąc równocześnie minę wskazującą, że nie chce przerywać Roddy'emu.

John wyjął ręce z kieszeni i spokojnym krokiem przeszedł w przeciwny koniec pokoju po narzutę ze starego fotela w stylu francuskim. Złożył ją na pół i jak szalem okrył ramiona Wiktorii. Stara bawełniana tkanina okazała się miękka i przyjemna w dotyku.

John nie wrócił już na swój posterunek przy kominku, tylko usiadł na drugiej poręczy tego samego fotela, kładąc rękę na jego oparciu. Jego bliskość była dla Wiktorii równie miła i przyjemna, jak narzuta, którą ją okrył. Po chwili nie czuła już zimna.

Roddy przerwał na chwilę śpiew, aby złapać oddech i przepłukać gardło.

- Myślę, że na dziś dosyć - oświadczył.

- O, nie! - zaoponował John. - Musisz nam jeszcze zagrać „Dziki tymianek”!

Roddy odwrócił się i zdziwionym wzrokiem popatrzał na bratanka.

- Kiedy słyszałeś, jak grałem tę starą piosenkę?

- Miałem wtedy pięć lat, ale później ojciec też często ją śpiewał.

- Kto by pomyślał, żeś taki sentymentalny? - uśmiechnął się Roddy, ale odwrócił się z powrotem do klawiatury i w rytmie na trzy czwarte zagrał starą szkocką piosenkę:

*W piękny słoneczny poranek
pójdę z dziewczyną przez las,
gdzie kwitnie dziki tymianek,
bo letni nastał już czas...
O, miła, pójdź ze mną wraz!*

*Gdzie czyste źródółko tryska,
ptaszek zaśpiewa nam w głos.
Pójdziemy przez wrzosowiska -*

*pachnie tymianek i wrzos...
O, mila, pójdz ze mną wraz!*

*Lecz gdy nie zechce dziewczyna
pójść ze mną w letni poranek -
nie będzie ta, będzie inna,
gdzie kwitnie dziki tymianek...
O, mila, pójdz ze mną wraz!*

XII

Niedziela

Była już dziesiąta rano. Znów wiał chłodny wiatr od morza, a niebo zasnuwane ciągnącymi po nim chmurami tylko z rzadka prześwitywało błękitem. Trudno było uwierzyć, że jeszcze wczoraj, w czasie pikniku przy wodospadzie, świeciło słońce i można było pomarzyć o nadchodzącej wiosnie.

John Dunbeath popijał herbatę w ciepłej kuchni w domku owczarza. Kuchnia była przytulna jak gniazdko, pod blachą płonął suty ogień, a grube ściany i szczelnie zamknięte okna chroniły przed hulającym na zewnątrz wiatrem. W powietrzu unosiła się mieszanina zapachów palącego się torfu i perkoczącej na blasze zupy. Stół w pokoju był już nakryty do obiadu.

Jess wybierała się do kościoła. Przeglądając się w lustrze, nałożyła kapelusz. Patrząc na nią i na Daveya, John skonstatował, że ze wszystkich mieszkańców Benchoile tych dwoje zmieniło się najmniej. Jess była wciąż ładną, szczupłą blondynką, tylko ze śladem siwizny w gęstych włosach. Davey wyglądał nawet jeszcze młodziej, niż John go zapamiętał. Sprawiały to głównie jego żywe, niebieskie oczy pod krzaczastymi, rudawymi brwiami.

- Przepraszam, ale już muszę jechać - usprawiedliwiała się Jess, nakładając rękawiczki. - Obiecałam Ellen Tarbat, że podwiezę ją do kościoła. - Patrząc na zegar stojący na parapecie kominka, uzupełniła: - Wy też nie

powinniście zwlekać, jeśli chcecie pójść w góry i wrócić na obiad.

Wyszła i po chwili dał się słyszeć zgrzyt wrzucanych biegów i wycie silnika nabierającego obrotów. Po chwili mały szary minivan, podskakując na wybojach, wypadł na drogę wiodącą do Benchoile.

- Ona jest fatalnym kierowcą - stwierdził Davey, obserwując wyjazd żony. Dopił swoją filiżankę herbaty, wstał od stołu i dodał: - Ale ma rację, musimy już iść, skoro mamy wrócić na obiad.

Wziął z sieni swoją nieprzemakalną kurtkę, myśliwską czapkę z daszkiem, laskę i składany teleskop. Na widok tych przygotowań dwa złociste labradory, dotychczas drzemiące przy kominku, zerwały się na równe nogi, przeczuwając wyprawę tropem zwierzyny. Biegały w kółko, trącając Daveya nosami i merdając ogonami. John wiedział od Jess, że psy te należały do Jocka Dunbeatha.

- Biedactwa, były przy nim w godzinie śmierci - opowiadała. - Potem snuły się jak błędne po całym majątku. Ktoś nam nawet radził, żeby uspić starszą sukę, która ma już dziewięć lat, ale nie chcieliśmy o tym słyszeć. Ona jeszcze świetnie aportuje i pan pułkownik był do niej taki przywiązany! No więc wzięliśmy je do siebie, chociaż Davey nie lubi trzymać psów w mieszkaniu, ale one nigdy nie były uwiązane do budy. W końcu mąż zgodził się wziąć je do domu. Mogły zostać w Benchoile, ale pan Roddy ma już jednego psa, a Ellen i bez tego jest zapracowana.

Kiedy Davey otworzył drzwi wejściowe, psy wypadły na dwór i jak szczeniaki zaczęły harcować po ogrodzie, pod sznurem do wieszania bielizny. Psy pasterskie, zamknięte w kojcu, gwałtownie się rozszczękały i biegały wzdłuż ogrodzenia.

- Cicho tam, głupty! - łagodnie upomniął je Davey, ale bez skutku. Szczekanie było słychać jeszcze długo potem, jak obaj mężczyźni z psami wyszli z podwórza i szli na przełaj przez wrzosowisko.

Dojście do murku granicznego, oddzielającego północne krańce Benchoile od zaniedbanych dóbr Glen Feosaig, zabrało im godzinę. Davey szedł spokojnym, równym krokiem, zatrzymując się przy kopcach granicznych, rozglądając się za jeleniami lub śledząc lot pustułki. Psy trzymały się tuż przy panu. Co jakiś czas spod nóg zrywały się pardwy i przenikliwie nawołując, kołowały nisko nad zboczem wzgórza.

Dopiero z góry było widać, jakie to rozległe tereny. Jezioro wyglądało jak ołowianoszara wstęga, a dom i drzewa ginęły za wzniesieniem terenu. Bardziej ku północy szczyty były okryte śniegiem; śnieg leżał także w kotlinkach na stokach wzgórz. Kiedy wspięli się wyżej, zobaczyli Creagan, które z daleka wydawało się grupką szarych domków, ozdobionych zielonym paskiem toru golfowego i ostrosłupem kościoła. Dalej było już tylko morze, a horyzont tonął we mgle.

- Kiepska dzisiaj pogoda - zauważył Davey.

Na samym szczycie wzgórza ziały jamy po wybranym torfie, upstrzone mchami i porostami. Grunt był bagnisty; przy każdym kroku tryskała spod stóp czarna woda, a wokół widniały tropy i odchody jeleni. Kiedy doszli do murku granicznego, uderzył w nich wiatr z północy - przenikający do szpiku kości i wyciskający łzy z oczu. John oparł się o murek i spojrzał w dół, gdzie rozciągały się czarne i głębokie wody jeziora Feosaig. Wokół nie było widać żywej duszy, tylko owce, pustułki i parę białych mew, które leciały w głąb łądu.

- Czy to nasze owce? - zapytał głośno John, próbując przekrzyczeć wiatr.

Davey przytaknął. Usiadł po zawietrznej stronie murku i oparł się o niego plecami.

- Ale to już nie nasza земля! - zauważył John, przysiadając się.

- No... Ale po tej stronie nasza i razem z naszymi pasą się na niej owce z Feosaig.

- I co, robicie później spęd?
- Mniej więcej pod koniec tego miesiąca zaczniemy ściągać je z gór do owczarni na dole.
- Kiedy zaczynają się wykoty?
- Około szesnastego kwietnia.
- Czy wtedy też będzie tak zimno?
- Może być nawet chłodniej. W kwietniu czasem szaleją zawieje śnieżne, jak w środku zimy.
- To pewnie utrudnia ci pracę?
- Owszem. Nieraz wyciągam wysokokotne owce z rowów i zasp. Czasem zdarza się, że matka odrzuci jagnię. Wtedy trzeba zabrać je do domu i karmić z butelki. Jess świetnie to robi.
- Nie wątpię, ale to jeszcze za mało, abyś mógł sam dać sobie radę. Roddy mówił mi, że stryj Jock doglądał wszystkich wykotów. W ciągu tych sześciu tygodni przydałby ci się do pomocy jakiś facet albo i dwóch.
- Tak, to rzeczywiście jest problem - zgodził się bez oporów Davey. Z kieszeni wyjął papierową torebkę, a z niej - dwie duże kanapki. Podał jedną Johnowi i zaczął jeść swoją, przeżuując każdy kęs jak krowa. - Rozmawiałem już z Archiem Tullochem i obiecał, że pomoże mi w tym sezonie.
- Kto to jest?
- Dzierżawca. Gospodarzy na paru hektarach przy szosie do Creagan. To już starszy gość, chyba po siedemdziesiątce, więc sam nie daje rady z obrabianiem pola, a następcy nie ma. Twój stryj jeszcze na miesiąc przed śmiercią rozmawiał ze mną o tym, co zrobić z tą ziemią. Miał zamiar odkupić ją od Archiego i przyłączyć do Benchoile. Nam parę hektarów więcej nie robi różnicy, a poza tym tam nad rzeką jest dobre pastwisko dla krów.
- Czy Archie zgodziłby się na to?
- Tak, bo ma siostrę w Creagan i już dawno chciał się do niej przenieść.

- Tym sposobem przybyłoby nam trochę ziemi i jeden dom więcej.

- Twój stryj myślał też o wydzierżawieniu tej farmy komu innemu. Po pierwszym zawale zaczął zdawać sobie sprawę, że kiedyś umrze, tak jak każdy z nas.

Davey ugryzł następną kęs. W tym momencie zauważył, że na stoku wzgórze coś się rusza, więc odłożył nie dojedzoną kanapkę, wbił w ziemię laskę i sięgnął po składaną lunetkę. Używając laski i swojej lewej ręki jako statywu, ustawił teleskop na podejrzanym punkcie. Po długiej chwili ciszy, zmaconej jedynie kolejnym porywem wiatru, oświadczył:

- To tylko zajac.

Złożył teleskop, schował do kieszeni i sięgnął po resztkę swojej kanapki. Okazało się jednak, że zjadła ją stara suka.

- Aleś nienażarta! - ofuknął ją.

John oparł się plecami o murek, mimo że uwierały go wystające kamienie. Zgrzał się forsowną wspinaczką, ale wiatr chłodził mu twarz. Między chmurami powstał prześwit, w którym zabłysło słońce i jego złoty promień padł na ciemne wody jeziora Loch Muie. W tym świetle porastające wzgórze paprocie nabrały rdzaworudej barwy. Nagle wokół zrobiło się tak pięknie, że John przeżył wstrząs, uświadamiając sobie, iż cała ta ziemia, jak okiem sięgnąć, należy do niego. A kiedy wziął garść czarnej torfowej ziemi - uprzytomnił sobie, że to też jest Benchoile.

Zdał sobie sprawę, jak bardzo ponadczasowe jest to wszystko, co widział. Tak jak teraz, było od dziesięcioleci i prawdopodobnie jutro ani za tydzień czy miesiąc też się nic nie zmieni. Wszelkie zmiany wydały mu się nagle mocno nie na miejscu. Sam się tym zdziwił, gdyż własną karierę zawodową zawdzięczał przede wszystkim elastyczności, zdolności do szybkiego podejmowania decyzji i przekonaniu o ich celowości. Do tej pory nigdy się przed niczym nie cofał.

Całą tę poranną wyprawę przedsięwziął po to, aby dyskretnie dać Daveyowi do zrozumienia, że w połowie

przyszłego tygodnia oficjalnie wystawi Benchoile na sprzedaż. A tymczasem omawiał z nim plany dalszego rozwoju majątku, jakby chciał się tu zagrzebać do końca świata.

Wyraźnie grał na zwłokę, ale czy rzeczywiście był to właściwy moment, aby zniszczyć dorobek całego życia Daveya Guthrie'ego? John zdawał sobie sprawę, że stara się unikać tej drażliwej materii, ale sam sobie wmawiał, że lepiej będzie, jeśli nada swojemu komunikatowi bardziej formalną oprawę. Mógłby na przykład zwołać coś w rodzaju konferencji okrągłego stołu. Posadziłby przy tym stole także Ellen Tarbat i Jess Guthrie, zapewniając sobie moralną podporę w osobie Roddy'ego. Albo, jeszcze lepiej, zaprosiłby na posiedzenie również Roberta McKenzie, aby zreferował prawne aspekty sprawy. Wtedy zaserwowałby gorzką pigułkę wszystkim za jednym zamachem.

Słońce znów się schowało i znów zrobiło się chłodno i ponuro. Między obydwojma mężczyznami chwilowo zapanało milczenie, lecz atmosfera była przyjazna i pozbawiona napięcia. John pomyślał, że Davey Guthrie, choć rodowity szkocki góral, bardzo przypomina kowbojów pracujących na ranchu jego ojca w Kolorado. Cechowała go taka sama niezależność, godność i poczucie własnej wartości. Ludzie ci mieli świadomość, że nie są w niczym gorsi, a może nawet lepsi od innych, więc nie musieli się sztucznie dowartościowywać i zachowywali się całkiem naturalnie i bezpośrednio.

John wyczuł więc, że musi być tak samo szczery i otwarty w stosunku do Daveya. Aby przełamać milczenie, odezwał się pierwszy.

- Od jak dawna pracujesz w Benchoile?
- Będzie już prawie dwadzieścia lat.
- A ty ile masz lat?
- Czterdzieści cztery.
- Nie wyglądasz na tyle.
- Tu zdrowe powietrze, to i człowiek zdrowy - oświadczył Davey całkiem poważnie. - W takim Londynie czy

Nowym Jorku nie ma chyba czym oddychać. Kiedy czasem wyjeżdżamy z Jess na cały dzień do Inverness po zakupy, nie mogę się doczekać, żeby wrócić do Benchoile i zaczerpnąć świeżego powietrza.

- Mam wrażenie - stwierdził John - że tam, gdzie się pracuje, człowiek nie myśli o tym, czym oddycha. Jeśli jest mi już bardzo duszno, wyskakuję na ranczo do Kolorado. Tam powietrze jest tak rozrzedzone, że już pierwszy haust uderza do głowy jak kieliszek dobrej whisky.

- Pewnie, na ranczu musi być przyjemnie. A i przestrzeni dużo!

- Nie aż tak dużo, jak w Benchoile. Mamy około dwóch i pół tysiąca hektarów, ale hodujemy więcej bydła. Samych zmeliorowanych łąk jest dwieście pięćdziesiąt hektarów, a reszta to tereny pastwiskowe.

- Jaką rasę bydła hodujecie?

- Różne, od czystych herefordów i aberdeen angusów do dawnego bydła roboczego z zachodnich stanów. Jeśli zimą spadnie wystarczająco dużo śniegu, żeby nagromadzić w glebie dość wilgoci, a późną wiosną nie ma przymrozków, to jesteśmy w stanie wykarmić tysiąc sztuk.

Davey przetrawiał te informacje, gryząc trawkę i patrząc beznamiętnym wzrokiem przed siebie. Po chwili milczenia zaczął opowiadać inną historię.

- Kiedyś pewien gospodarz pojechał do Perth na aukcję byków. Poznał tam bogatego hodowcę bydła z Teksasu i wdał się z nim w rozmowę. Ten Teksaszyk zapytał naszego człowieka, ile ma ziemi...

W tym momencie John zorientował się, że Davey nie kontynuuje rozpoczętej dyskusji o gospodarce rolnej, tylko po prostu opowiada dowcip. Nastawił więc pilnie uszu, aby nie przepuścić pointy lub, co gorsza, nie roześmiać się w niewłaściwym miejscu.

- A na to gospodarz zapytał Teksaszyka, ile on ma ziemi. To ten Teksaszyk zaczął mu klarować: „Nawet gdybym ci powiedział, i tak sobie tego nie wyobrazisz.

Więc dam ci taki przykład: gdybym wsiadł w samochód i jechał cały czas wzdłuż ogrodzenia mojego rancza, to dnia by nie starczyło, żeby je objechać dookoła". A nasz brat z mety mu odpalił: „Też coś! Miałem kiedyś taki samochód, ale już dawno oddałem go na złom!"

Kiedy skończył, zapadła cisza. Davey jakby nigdy nie patrzył nadal przed siebie. John przez jakiś czas próbował zachować obojętność, ale w końcu parsknął śmiechem. Rysy Daveya miały surowy wyraz jak zawsze, ale w jego niebieskich oczach pojawiły się wesołe iskierki.

- Fajny kawał, no nie? - skwitował w gwarze regionu Sutherland.

* * *

Ellen Tarbat, odświętnie ubrana w uroczystą czerń, nasunęła kapelusz głęboko na oczy i przypięła go ogromną szpilą. Był to jeszcze bardzo porządny kapelusz, gdyż miała go dopiero od dwóch lat. Przybrany był ozdobną klamrą, która nadawała mu dostojny wygląd. Spojrzała na zegar w kuchni. Wybierała się do kościoła, a było już kwadrans po dziesiątej. Poda dzisiaj domownikom zimny lunch zamiast zwykłego pieczonego. Zawczasu, w ramach przygotowań do obiadu, obrała kartofle, upiekła placek z dżemem i nakryła do stołu. Czekala już tylko na Jess, która miała po nią wstąpić. Davey tym razem nie jechał z nimi do kościoła, gdyż wybrał się z Johnem w góry. Ellen uważała, że niedziela nie jest odpowiednim dniem na wycieczki i powiedziała o tym Johnowi. Ten jednak stwierdził, że ma bardzo mało czasu i musi niedługo wracać do Londynu. Ellen nie mogła zrozumieć, po co on tam wraca. Sama nigdy nie była w Londynie, ale jej siostrzenica Anna pojechała tam kiedyś na wycieczkę i to, co powiedziała po powrocie, nie zachęcało do odwiedzenia tego miasta.

Kiedy już nałożyła kapelusz, sięgnęła po palto. Zawczasu już zniosła swoje rzeczy na dół, żeby nie gramolić

się jeszcze raz po schodach do sypialni na poddaszu. Wchodzenie po schodach męczyło ją, a Ellen nie cierpiała się męczyć, gdyż przyspieszone bicie serca przypominało jej, że jest stara.

Zapięła palto, wpinając w klapę swoją najlepszą broszkę. Kiedy sięgnęła po wypchaną torebkę i czarne rękawiczki, zadzwonił telefon.

Zanim go odebrała, na wszelki wypadek usiłowała przypomnieć sobie, kto jest w domu, a kogo nie ma. Pani Dobbs wyszła z synkiem na spacer, a John poszedł w góry z Daveyem... Telefon nie przestawał dzwonić, więc Ellen z westchnieniem odłożyła torebkę i rękawiczki. Aparat telefoniczny znajdował się w bibliotece na biurku nieboszczyka Jocka, więc aby tam dotrzeć, musiała przejść przez hol. Podniosła słuchawkę.

- Słucham.

Z tamtej strony słychać było jakieś brzęczenia i piski. Telefon był jednym z tych urządzeń, których Ellen nie cierpiała.

- Słucham - powtórzyła podejrzliwym tonem.

Jeszcze raz coś brzęknęło i odezwał się męski głos:

- Czy to Benchoile?

- Tak.

- Chciałbym mówić z panem Oliverem Dobbsem.

- Nie ma go tu - odrzekła sucho. Lada chwila mogła przyjechać po nią Jess Guthrie, więc nie mogła kazać jej czekać. Rozmówca jednak nie dał się tak łatwo spławić.

- Czy nie mogłaby pani go odszukać? To bardzo ważna sprawa.

Słowo „ważna” zainteresowało Ellen, lubiła bowiem, kiedy przyjeżdżali ważni goście i działy się ważne rzeczy. Wtedy rozmowy toczyły się na inne tematy niż pogoda czy ceny jagniąt.

- Może jest w drugim domu - zaryzykowała.

- A nie mogłaby go pani przywołać?

- To trochę potrwa.

- Nie szkodzi, poczekam.

- Ale to będzie pana drogo kosztować! - ostrzegła.

Uważała, że wyrzucanie pieniędzy to grzech, choćby sprawa była nie wiadomo jak ważna.

- Że co proszę? - W głosie nieznajomego zabrzmiało zrozumiałe zaskoczenie, ale zaraz zorientował się i uspokoił ją: - Proszę się tym nie przejmować. Będę wdzięczny, jeśli pani go przywoła. Proszę mu powiedzieć, że dzwoni jego agent.

Ellen z westchnieniem zdecydowała, że najwyżej spóźni się na mszę, i obiecała:

- No, dobrze.

Odłożyła słuchawkę na bok i przebyła całe podwórze obok dawnych stajen, aż do domku Roddy'ego. Kiedy otwierała zewnętrzne drzwi, nagły poryw wiatru o mało nie wyrwał jej klamki z ręki. Kuląc się pod wiatrem i przytrzymując kapelusz, dotarła do drugich drzwi.

- Panie Roddy! - zawołała głośno i ochryple.

Po chwili ciszy dały się słyszeć kroki i u szczytu schodów pojawił się... Oliver Dobbs, wysoki jak słup telegraficzny.

- Nie ma go w domu, Ellen, pojechał do Creagan po gazety.

- Telefon do pana, panie Dobbs. Jakiś facet mówi, że jest pańskim agentem i że to bardzo ważne.

Oliverowi rozjaśniła się twarz.

- To wspaniale! - wykrzyknął i tak szybko zbiegł ze schodów, że byłby potracił Ellen, gdyby nie odskoczyła.

- Dziękuję! - rzucił w biegu.

- On czeka przy telefonie - krzyknęła za nim Ellen - i Bóg raczy wiedzieć, ile go to będzie kosztować...

Oliver był już jednak poza zasięgiem jej głosu, więc Ellen zrobiła zdegustowaną minę, naciągnęła kapelusz na uszy i wróciła do kuchni. Z okna zobaczyła samochód z Jess Guthrie za kierownicą, więc z pośpiechu dopiero w ostatniej chwili zorientowała się, że zapomniała rękawiczek.

* * *

Rozmowa z Londynem trwała ponad pół godziny, toteż tymczasem Roddy zdążył już wrócić z Creagan z niedzielnymi wydaniem wszystkich możliwych gazet. Zasiadł przy kominku w najgłębszym ze swych obitych skórą foteli i nabrał już ochoty na pierwszą w tym dniu szklanekę dzinu z tonikiem, gdy usłyszał, jak Oliver wbiega na górę, sadząc po dwa stopnie naraz. Odłożył „Observera” i spojrzął znad okularów.

- Cześć! - przywitał go. - Już myślałem, że nie będę miał z kim się napić.

- Miałem telefon - oświadczył Oliver, siadając naprzeciw Roddy'ego. Ten obrzucił go bystrym spojrzeniem, wyczuwając skrywane podniecenie.

- Dobra wiadomość?

- Nawet bardzo dobra. Dzwonił mój agent. Wszystko już gotowe do wystawienia mojej sztuki w Londynie, kiedy tylko zejdzie z afisza w Bristolu. Reżyser i obsada zostają bez zmian.

Roddy z wrażenia aż upuścił gazetę na podłogę i zdjął okulary.

- To wspaniale! Drogi chłopcze, to najlepsza wiadomość, jaką mogłem usłyszeć!

- Zapowiadają się różne inne rewelacje, ale nie tak szybko.

- Naprawdę bardzo się cieszę - podsumował Roddy, spoglądając na zegarek. - Słońce jeszcze nie jest wysoko, ale myślę, że moglibyśmy...

- Jeszcze chwileczkę - przerwał mu Oliver. - Czy mógłbym na jakieś dwa dni zostawić tu Wiktorię i Tomka? Będę musiał jutro skoczyć do Londynu. Gdyby ktoś podrzucił mnie do Inverness, złapałbym samolot, który odlataje o piątej po południu.

- Ależ oczywiście, mogą tu zostać, jak długo będzie trzeba. Chętnie podrucę cię jutro na lotnisko.

- Pojutrze będę z powrotem, a wtedy pakujemy się i wracamy do siebie na południe.

Roddy'emu zrobiło się przykro na myśl, że zostanie sam. Nie chodziło tylko o towarzystwo, ale wiedział, że w końcu będzie musiał spojrzeć prawdzie w oczy, przed czym dotychczas się uchylał. A prawda była taka, że Jock nie żył, a John zamierzał sprzedać Benchoile. Oznaczało to koniec tradycji, więzi rodzinnych i pewnego stylu życia. Był to chyba ostatni zjazd rodzinny w tym miejscu. Ze słabą nadzieją na to, że jeszcze odwlecze ten przykry moment, zaczął protestować:

- Ależ wcale nie musicie jeszcze wracać! Przecież wiesz, że wcale nie musicie!

- Wiesz równie dobrze jak my, że musimy. Jesteśmy ci bardzo wdzięczni za gościnę, ale nie możemy jej nadużywać. Mówią, że gość i ryba po trzech dniach śmierdzą, więc akurat jutro zaczniemy śmierdzieć.

- Będzie mi was brakowało. Ellen tak polubiła Tomka! Bez was już nie będzie tak, jak było.

- Jest jeszcze John.

- John nie zostanie tu ani chwili dłużej niż to konieczne, bo musi wracać do Londynu.

- Wiktoria mówiła, że on ma zamiar sprzedać Benchoile.

- Coś takiego! - Roddy był wyraźnie zaskoczony. - Nie przypuszczałem, że będzie rozmawiał o tym z Wiktoria!

- Powiedziała mi o tym wczoraj.

- To prawda. Zresztą spodziewałem się tego, bo jakie ma inne wyjście?

- No, a co będzie z tobą?

- To zależy od tego, kto kupi ten majątek. Jeśli jakiś bogaty Amerykanin, który lubi polować, to może zatrudni mnie jako gajowego. Już widzę, jak daje mi napiwki, a ja trzaskam obcasami i salutuję!

- Powinieneś się ożenić! - oświadczył stanowczo Oliver. Roddy rzucił mu gniewne spojrzenie.

- I ty to mówisz?

- Ja to co innego - wywinął się gładko Oliver. - Należę

do innego pokolenia, więc mam prawo stosować odmienne zasady moralne i wyznawać inny system wartości.

- No i wyznajesz!

- Nie podoba ci się to, prawda?

- Nieważne, czy mi się podoba czy nie. Jestem za leniwy, żeby zajmować się sprawami, które mnie nie dotyczą. Może byłem także za leniwy, aby się ożenić, chociaż oczekiwano tego ode mnie. Właściwie nie spełniłem żadnych nadziei, które we mnie pokładano. Starokawalerstwo było częścią mojego stylu życia, tak samo jak pisanie książek, podglądanie ptaków i picie drinków. Jock zawsze ubolewał nade mną z tego powodu.

- A mnie się taki styl życia podoba! - zaproponował Oliver. - Właściwie prowadzę podobny.

- Zgoda - zauważył Roddy. - Z tym tylko, że ja stosowałem w życiu jedną żelazną zasadę. Nie angażowałem się w żadne związki uczuciowe, gdyż wiedziałem, że mogę kogoś skrzywdzić.

Oliver spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Masz na myśli Wiktorię, prawda?

- Tak, ona jest bardzo wrażliwa.

- Jest także inteligentna.

- Serce i głowa to dwie odrębne całości.

- Tak jak uczucie i rozum?

- Dokładnie.

- Nie mogę wiązać się na stałe.

- Już się związałeś - podkreślił z naciskiem Roddy.

- Masz przecież dziecko!

Oliver sięgnął po papierosa i zapalił go od gałązki wyciągniętej z paleniska. Kiedy ogieniek rozbłysł, wrzucił gałązkę z powrotem w płomień.

- Więc chyba już trochę za późno, żebyś udzielał mi ojcowskich rad! - zaprotestował.

- Nigdy nie jest za późno, aby uregulować swoje sprawy.

Kiedy skrzyżowały się ich spojrzenia, Roddy wyczuł

chłód we wzroku Olivera. Ten zaś skorzystał z pierwszej okazji, by zmienić temat.

- Nie wiesz, gdzie może być Wiktoria?

Oznaczało to koniec dyskusji, więc Roddy z westchnieniem odpowiedział:

- Chyba wyszła z Tomkiem na spacer.

- Pójdę jej poszukać. Powinna wiedzieć, jaka jest sytuacja - powiedział Oliver szybko i wstał z fotela. Zbiegł po drewnianych schodach i zatrzasnął za sobą drzwi wejściowe. Jeszcze słychać było dudnienie jego kroków na kocich łbach podwórza.

Roddy z przykrością stwierdził, że nie dowiedział się niczego konkretnego o prawdziwych intencjach Olivera. Miał wrażenie, że swoimi słowami wyrządził więcej szkody niż pożytku i żałował, że w ogóle się odezwał. W końcu z westchnieniem zwlókł się z fotela i nalał sobie długo oczekiwanego drinka.

* * *

Wiktoria wracała ze spaceru przez laszek brzoźowy, niosąc Tomka na barana. Zobaczyła stamtąd, że Oliver wyszedł z domku Roddy'ego i z papierosem w ustach idzie przez podwórze. Chciała zawołać na niego, ale w tym momencie dostrzegł ją i ruszył na spotkanie. Postawiła Tomka na ziemi, a on wybiegł tatusiowi naprzeciw. Dotarł do niego szybciej niż Wiktoria, wtulił głowę w kolana ojca i objął ramionami jego nogi.

Oliver nie podniósł go z ziemi, ale trzymany za nogi nie mógł się ruszyć, więc czekał, aż Wiktoria znajdzie się w zasięgu głosu.

- Gdzie byłaś? - spytał.

- Na spacerze. Odkryliśmy jeszcze jeden strumyk, ale nie tak piękny jak ten z wodospadem. A ty co robiłeś?

- Rozmawiałem przez telefon.

Spacer na chłodnym powietrzu dodał Wiktorii rumień-

ców. Jej blond włosy powiewały, a w butonierce kurtki tkwiło kilka żółtych podbiałów, które zerwała po drodze. Oliver przytulił ją i pocałował. Pachniała chłodem, jabłkami i rześkim powietrzem. Jej usta miały świeżość i słodycz, a pocałunek - czystość źródlanej wody.

- Do kogo dzwoniłeś? - chciała wiedzieć.
- Nie ja dzwoniłem, tylko do mnie ktoś dzwonił.
- Kto?
- Mój agent.

Puścił Wiktorię i pochylił się, aby uwolnić swoje nogi od rączek synka. Razem ruszyli w stronę domu, ale Tomek nie chciał iść sam, więc Wiktoria znowu wzięła go na ręce. Zrównała się z Oliverem i dalej indagowała:

- Czego chciał?
- Przekazał mi dobrą wiadomość. „Złamany szeląg” będzie wystawiony w Londynie.
- To wspaniałe! - Stanęła jak wryta.
- I w związku z tym muszę jutro jechać do Londynu, a wy z Tomkiem zostaniecie tutaj.

Wiktorii zrzęda mina.

- Chyba nie mówisz poważnie?
- Roześmiał się.
- Nie bądź taka przerażona, głuptasie! Pojutrze już będę z powrotem.
 - A dlaczego nie możemy jechać z tobą?
 - Jaki jest sens jechać do Londynu na jeden dzień? Poza tym nie załatwię żadnej sprawy, jeśli Tomek będzie mi się bezustannie plątał pod nogami.

- Ale ja nie mogę zostać tu sama.
- Dlaczego?
- Bo nie chcę, żebyś mnie znowu opuścił.

Tym razem Oliver już się na dobre zdenerwował.

- Nie opuszczam cię, głuptasie. Będę z powrotem za dwa dni. Kiedy wrócę, pakujemy manatki, wsiadamy do samochodu i wszyscy razem jedziemy do domu. Zadowolona?

- Ale co ja tu będę robić bez ciebie?
- Jakoś przeżyjesz. To nie powinno być trudne.
- Strasznie mi głupio wobec Roddy'ego. Najpierw zwaliliśmy mu się na kark, a teraz...
- Akurat. Wiesz, jak on się cieszy, że dzień czy dwa będzie was miał tylko dla siebie? Tak w ogóle, to on wcale nie chciałby, żebyśmy stąd wyjeżdżali. Kiedy zostanie sam, będzie musiał spojrzeć prawdzie w oczy, a ona nie jest zbyt miła.
- Jak możesz mówić o nim takie przykre rzeczy?
- Może i przykre, ale prawdziwe. Zgoda, jest czarujący i zabawny, jak postać z typowej komedii lat trzydziestych. Wątpię jednak, czy kiedykolwiek w życiu samodzielnie dał sobie radę z czymkolwiek.
- Przecież był na wojnie, więc musiał dawać sobie radę ze wszystkim.
- Mam na myśli problemy osobiste, a nie Sprawy Wagi Państwowej. Przed Sprawami Wagi Państwowej nie można się ukryć za szklanką koniaku z wodą sodową.
- Och, jak ja nie znoszę, kiedy tak mówisz! I nadal nie chcę, żebyś wyjeżdżał i zostawiał nas samych!
- Jednak pojedę.
- Ponieważ milczała, otoczył ją ramieniem i pocałował w czubek głowy.
- Nie masz powodu, żeby się złościć. We wtorek wyjedziesz po mnie na lotnisko. A jeśli będziesz bardzo grzeczna, postawię ci kolację w Inverness. Podjemy sobie baranich żołądków i będziemy tańczyć szkockie tańce. Czy możesz wyobrazić sobie coś zabawniejszego?
- Wolałabym, żebyś nie jechał - upierała się, ale na jej twarz wrócił uśmiech.
- Muszę, obowiązki mnie wzywają. Odniosłem sukces, a każdy sukces ma swoją cenę.
- Czasem wolałabym, abyś nie odnosił takich sukcesów. Znów ją pocałował.
- Wiesz, na czym polega twój problem? Nie umiesz się niczym naprawdę cieszyć.

- To nieprawda!
- Wiem, że nieprawda. - Wycofał się.
- Bardzo się cieszę, że tu jestem - powiedziała nagle, ku własnemu zaskoczeniu.

Spodziewała się po Oliverze natychmiastowego potwierdzenia, że i jego to cieszy. Niczego takiego jednak nie usłyszała, więc tylko przerzuciła Tomka z jednego ramienia na drugie i razem poszli w kierunku domu.

XIII

Poniedziałek

Wiktoria przez cały ranek prasowała koszule i chusteczki Olivera, przeglądała jego garderobę i pakowała walizkę. Kiedy usłyszała głos Roddy'ego wołający ją ze szczytu schodów - oderwała się od tej roboty i odgarnęła z twarzy nieposłuszny kosmyk.

- Tu jestem! - odrzyknęła z sypialni.

- Chodź do nas na drinka! Jesteśmy tu wszyscy, John i Oliver też.

Dochodziło już wpół do pierwszej. Dzień był pogodny, ale chłodny. Roddy miał po lunchu odwiedzić Olivera na lotnisko. Ellen postanowiła, że w tym dniu lunch będzie czymś wyjątkowym. Zawsze uważała, że osoba wybierająca się w podróż, choćby najkrótszą, powinna solidnie się najeść, toteż obie z Jess Guthrie były od rana zajęte. W powietrzu unosiły się apetyczne zapachy i panował szczególnie uroczysty nastrój. Tak jakby akurat przypadały czyjeś urodziny lub nadszedł ostatni dzień wakacji.

Wiktoria słyszała szmer rozmów dochodzących z saloniku Roddy'ego nad sypialnią. Zamknęła walizkę, zatrzasnęła zamki, podeszła do lustra i przyczesła włosy. Rozejrzała się po pokoju i sprawdziła, czy o niczym nie zapomniała. Dopiero wtedy poszła na górę i dołączyła do reszty.

Dzień był tak słoneczny, że całe towarzystwo zgromadziło się nie przy kominku, lecz przy oknie. Oliver i Roddy

usiedli na ławie przy samym parapecie, a John przysunął sobie krzesło od biurka.

- Chodź, czekamy na ciebie! - przywitał ją Roddy.

- Czego się napijesz?

- Tak naprawdę, to nie mam ochoty na alkohol - wymawiała się Wiktoria.

- Dobra, dobra, chodź tu i nie wykręcaj się. - Oliver przyciągnął Wiktorię do siebie. - Całe rano krzątałaś się jak mróweczka, zasłużyłaś sobie na drinka.

- No, dobrze, niech będzie.

John wstał i odsunął swoje krzesło, aby zrobić jej przejście.

- Na co masz ochotę? - zapytał.

- Może być piwo - zgodziła się wreszcie, ciągle tkwiąc w objęciach Olivera.

Ledwo John zdążył otworzyć puszkę i nalać Wiktorii piwa, gdy drzwi frontowe otworzyły się z trzaskiem i tubalny głos Ellen oznajmił, że lunch jest już na stole i wystygnie, jeśli zaraz nie przyjdą.

- A niech tę babę gęś kopnie! - zaklął pod nosem Roddy.

Nie było innego wyjścia, musieli zabrać swoje szklanki i przejść do Wielkiego Domu.

W nasłonecznionej jadalni stół był już nakryty białym obrusem. Na kredensie stał półmisek z dymiącą pieczenia wołową i podgrzane salaterki z warzywami. Tomek w śliniaczku siedział na wysokim krzesełku, które Jess specjalnie przytасzczyła z dawnego pokoju dziecinnego.

Ellen kręciła się tu i tam, usadzając gości przy stole i narzekając, że nawet najlepsze potrawy będą na nic, jeżeli stołownicy nie usiądą w porę do posiłku.

- No, nie przesadzaj, Ellen! - zaoponował łagodnie John. - Przybiegliśmy natychmiast, jak tylko nas zawołałaś. Kto pokroi mięso?

- Ty! - odrzekł bez namysłu Roddy i na wszelki wypadek usiadł tyłem do okna, jak najdalej od kredensu.

Krojenie mięsa nigdy mu dobrze nie wychodziło, zawsze robił to Jock.

John naostrzył nóż o rogowej ręczce z biegłością zawodowego rzeźnika i przystąpił do dzieła. Pierwszą porcję zabrała Ellen dla Tomka. Na talerzu posiekała drobno mięso i pogniotła widelcem warzywa, tak że razem z sosem wszystko zamieniło się w brązową papkę.

- A to dla naszego małego mężczyzny - zaanonsowała.
- Zjedz to ładnie, skarbie, a wyrośniesz na dużego, silnego chłopaka.

- Byle nie na takiego, który tylko przysparza nam kłopotów - mruknął Roddy, kiedy Ellen już wyszła.

Wszyscy się rozeźmieli, bo było widać, że Tomek robi się coraz bardziej pyzaty na buzi.

Skończyli właśnie pierwsze danie i zabierali się do upieczonej przez Ellen szarlotki z kremem, gdy zadzwonił telefon. W Benchoile panował zwyczaj, że każdy czekał, aż kto inny podniesie słuchawkę. W końcu ruszył się Roddy.

- A niech to diabli! - zaklął.

Wiktorii zrobiło się go żal.

- Mam odebrać? - zaproponowała.

- Nie trudź się.

Odgryzł na zapas jeszcze jeden kęs szarlotki, odsunął swoje krzesło i przeczłapał przez pokój, mrużąc pod nosem:

- Że też ludzie nie mają kiedy dzwonić!

Ponieważ nie zamknął za sobą drzwi od jadalni, słysząc było, jak mówi do słuchawki:

- Tu Benchoile, Roddy Dunbeath z tej strony. - A po chwili: - Kogo? Tak, oczywiście, proszę poczekać, zaraz go poproszę.

Ponownie pojawił się w jadalni, z serwetką w rękę, którą przedtem zabrał ze sobą.

- Oliver, to do ciebie, mój drogi.

- Do mnie? - Oliver podniósł wzrok znad talerza.

- A kto dzwoni?

- Nie mam pojęcia. Jakiś facet.

Zabrał się do pałaszowania szarlotki. Oliver, chociaż niechętnie, wstał od stołu i poszedł odebrać telefon.

- Ciekawym - rozmarzył się Roddy - dlaczego nikt dotąd nie wymyślił urządzenia, które wyłączałoby telefon na czas, kiedy się siada do stołu.

- Zawsze możesz odłożyć słuchawkę - podsunął John.

- Tak, ale mogę zapomnieć położyć ją na widełki.

Tomek zmęczył się już samodzielnym jedzeniem, więc Wiktoria wzięła łyżeczkę i zaczęła go karmić.

- Możesz też nie podnosić słuchawki, niech sobie dzwoni - zgłosiła swoją propozycję.

- Nie mam aż tak silnych nerwów. Przez jakiś czas pozwalałam mu dzwonić, ale w końcu nie mogę już tego znieść. Zawsze mi się wydaje, że ktoś tam po drugiej stronie ma mi coś strasznie ważnego do powiedzenia, więc spieszę się podnieść słuchawkę po to, żeby usłyszeć na przykład: „Tu kontrola skarbowa”. Albo pomyłka.

- Jeśli to pomyłka, to po co podchodzisz do telefonu? - zażartował John, co wywołało tym większą wesołość, że nieczęsto zbierało mu się na dowcipy.

Zanim wrócił Oliver, wszyscy skończyli już jeść. Roddy zapalił cygaro, a John przyniósł tacę z serwisem do kawy. Wiktoria obierała pomarańczę dla Tomka, gdyż te owoce lubił najbardziej i chętnie otwierał buzię, nawet gdy był najedzony. Soczysta pomarańcza zaprzątnęła całą jej uwagę, więc nie zwróciła uwagi, kiedy Oliver wrócił do jadalni.

- Mam nadzieję, że usłyszałaś dobre wiadomości? - To był głos Roddy'ego. Właśnie obrała do końca pomarańczę, podzieliła ją na części i jedną z nich dała Tomkowi do rączki. Nie słysząc było jednak odpowiedzi Olivera. Roddy, tym razem zaniepokojony, indagował dalej: - Czy coś się stało?

Ponieważ Oliver nadal milczał, zaniepokoiła się również Wiktoria. Milczenie trwało, napięcie rosło i udzieliło się również Tomkowi, który trzymał swoją część

pomarańczy w ręczce, lecz nie jadł jej, tylko patrzył na ojca przerażonymi oczami. Wiktoria poczuła, że pieką ją policzki, jakby wszyscy naraz patrzyli tylko na nią. Spojrzała więc na Roddy'ego, a potem przeniosła wzrok na Olivera. Zmartwiała, widząc jego bladość i zimne, nieruchome oczy. Poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy, a w żołądku narasta dziwny ucisk. Przełknęła ślinę i nie naturalnie cieniem głosem spytała:

- Co się stało?

- Wiesz, kto dzwonił? - sucho zapytał Oliver.

- Nie mam pojęcia - wyjąkała, nie mogąc zapanować nad drżeniem głosu.

- Ten stary łajdak Archer z Hampshire.

„Przecież prosiłam ją, żeby nie dzwoniła! Obiecowałam, że dam znać! Uprzedzałam, że Oliver jest źle nastawiony...”
W mózgu Wiktorii kłębiły się rozpaczliwe myśli.

- Napisałaś do nich! - zarzucił jej Oliver.

- Jj... ja... - Zaszło jej w gardle, więc znów musiała przełknąć ślinę. - Nie pisałam do n i e g o, tylko do n i e j.

Oliver podszedł do stołu, opierając na nim płasko dłoń. Nachylił się nad Wiktoria.

- Powiedziałem ci, żebyś do niej nie pisała! - Akcentował każde słowo. - Powiedziałem, że nie wolno ci ani pisać, ani dzwonić, ani w żaden inny sposób nawiązywać z nią kontaktu!

- Musiałam to zrobić!

- A w ogóle skąd wiedziałaś, dokąd pisać?

- Znalazłam adres w książce telefonicznej.

- Kiedy zdążyłaś to zrobić?

- W czwartek... czy może w piątek... - zaczynała już tracić panowanie nad sobą... - Nie mogę sobie przypomnieć.

- A gdzie ja wtedy byłem?

- Chyba... jeszcze spałeś. - To, że działała za jego plecami, nagle wydało się Wiktorii niewłaściwie, toteż zaczęła się usprawiedliwiać. - Przecież mówiłam ci, że chcę

do niej napisać! Nie mogłam znieść myśli, że ona nie wie, co się dzieje z Tomkiem!

Wyraz twarzy Olivera nie złagodniał ani trochę. Wiktoria z przerażeniem zorientowała się, że zbiera jej się na płacz. Czuła, jak drżą jej wargi, w gardle narasta ucisk, a do oczu napływają kompromitujące łzy. Lada chwila, a rozpłacze się na oczach wszystkich!

- Ona, kurde, wiedziała, gdzie on jest!

- Jak to, skąd?

- Wiedziała, że jest ze mną i to powinno jej wystarczyć. Jestem jego ojcem i mogę z nim robić, co zechcę, i zabrać go, dokąd zechcę. I nikogo to nie obchodzi, a najmniej ciebie!

Łzy polały się jej ciurkiem.

- Myślałam... - zaczęła, lecz jej przerwał.

- Nie prosiłem cię, żebyś myślała. Kazałem ci trzymać ten twój głupi dziób na kłódkę!

Słowom tym towarzyszyło walnięcie pięścią w stół, aż podskoczyły i zabrzęczały wszystkie naczynia. Tomek, początkowo oszołomiony powodzią ostrych słów, których nie znał, lecz na pewno rozumiał ich sens - zawtórował Wiktorii i też wybuchnął płaczem. Z jego wykrzywionej, otwartej buzi wypadły na wpół pożute kawałki pomarańczy.

- Oliverze, na miłość boską, przestań! Nie przy dziecku!

- błagała Wiktoria, wyciągając Tomka z zamykanego krzeselka, aby go wziąć na ręce i uspokoić. Przyłgnął do niej lepką od jedzenia i łez buzią, próbując w jej ramionach ukryć się przed gniewnymi słowami ojca. Oliver jednak bynajmniej nie zamierzał przerywać tyrady.

- Wiesz, dlaczego nie chciałem, żebyś komunikowała się z Archerami? - grzmiał. - Bo przypuszczałem, że najpierw będą próbowali przemówić mi do sumienia, a gdyby to nie poskutkowało, zaczną grozić. No i zaczęli! Na następnym etapie jakiś umundurowany śmierdziel przyniesie mi list z pogróżkami od ich adwokata.

- Ale przecież sam mówiłeś... - zaczęła, ale nie mogła sobie przypomnieć, co właściwie mówił. - Z nosa jej ciekło, a płacz tłumił słowa. - Ja... ja... - próbowała coś powiedzieć, ale nie bardzo wiedziała co.

Może „przepraszam”, ale równie dobrze mogła nic nie mówić, gdyż Oliver i tak nie przyjmował do wiadomości żadnego usprawiedliwienia. Nawet łzy jego syna nie były w stanie go zmiękczyć.

- Wiesz, co ci powiem? Jesteś fałszywą, małą dziwką! - wyrwał w końcu, odwrócił się na pięcie i wypadł z pokoju.

Zapłakana Wiktoria została sama z rozhisteryzowanym dzieckiem, wśród resztek jedzenia na stole, w atmosferze zażenowanego milczenia obu mężczyzn. A przede wszystkim ze świadomością swego upokorzenia.

- Och, kochanie... - zaczął Roddy, wstając od stołu i podchodząc do niej.

Wiktoria wiedziała, że powinna natychmiast przestać płakać, wytrzeć oczy lub przynajmniej rozejrzeć się za chusteczką. Nie mogła jednak powstrzymać łez, tym bardziej że Tomek ryczał wniebogłosy.

- Zaraz coś poradzimy - włączył się John Dunbeath. Wziął od niej dziecko i sam utulił je w ramionach.

- Chodź, poszukamy Ellen, może ma jakieś cukierki - zagadał do dziecka, idąc w stronę drzwi. - Albo czekoladowe ciasteczka... Lubisz ciasteczka?

Kiedy wyszedł, Roddy znów próbował pocieszyć Wiktorię.

- No już, moja droga, nie płacz...

- Kiedy nie mogę... nie mogę się powstrzymać! - załkała.

Teraz już i Roddy nie mógł tego dłużej znieść. Przygarnął do siebie rozszlochaną kobietę, podtrzymując delikatnie ręką tył jej głowy. Potem sięgnął do kieszeni swojej starej tweedowej marynarki i wyjął chusteczkę w czerwono-białą kratę. Podał ją Wiktorii, aby mogła wytrzeć oczy i wydmuchać nos.

Zaraz poczuła się trochę lepiej. Dobrze, że ten koszmar już minął.

* * *

Wiktoria wyruszyła na poszukiwanie Olivera. Znalazła go nad jeziorem. Stał na moło i palił papierosa. Nie wiadomo, czy słyszał jej kroki po trawie, w każdym razie nie dał tego poznać po sobie.

Kiedy podeszła bliżej, zawołała go po imieniu. Przez chwilę jakby się wahał, potem wyrzucił niedopałek do wody i odwrócił się. Wiktoria wspomniała jego słowa: „Spróbuj wziąć do ręki słuchawkę, a spiorę cię na kwaśne jabłko”. Dotychczas nie traktowała poważnie tej groźby, gdyż jeszcze nigdy nie widziała go w ataku niepohamowanej złości. Teraz wiedziała już, jak to wygląda. Była ciekawa, czy żona Olivera, Jeannette, widziała go kiedyś w takim stanie. Może widziała i właśnie dlatego ich związek przetrwał tylko kilka miesięcy.

- Oliverze! - powtórzyła.

Zatrzymał wzrok na jej twarzy. Wiedziała, że wygląda okropnie, zapuchnięta od płaczu, ale nie miało to w tej chwili żadnego znaczenia. Ważne było tylko to, żeby dla dobra Tomka zakończyć jak najszybciej tę okropną kłótnię.

- Naprawdę bardzo mi przykro - zaczęła.

Nadal się nie odezwał, tylko westchnął i wzruszył ramionami.

Ze smutkiem w głosie mówiła dalej:

- Wiem, że może trudno ci to zrozumieć. Ja tego też dotychczas nie rozumiałam, ponieważ nie miałam własnego dziecka. Wystarczy jednak trochę побыć z Tomkiem, aby zrozumieć, co to znaczy mieć takie maleństwo i kochać je. - Wyszło jej trochę nie tak, jak chciała. Niezamierzenie wpadła w sentymentalny ton. - ...I kiedy przywiązujesz się do tego dziecka, wydaje ci się, że jest ono częścią ciebie.

Wtedy czujesz, że mógłbyś zabić każdego, kto by je skrzywdził lub tylko mu zagrażał...

- Myślisz, że pani Archer miała zamiar mnie zabić?

- przerwał jej.

- Nie sądzę, ale na pewno odchodzi od zmysłów z niepokojem o Tomka.

- Oni oboje mnie nienawidzą. Zawsze mnie nienawidzili.

- Wydaje mi się, że nie dałeś im powodów, aby żyli do ciebie jakiegokolwiek inne uczucia.

- Jak to, przecież ożeniłem się z ich córką.

- I spłodziłeś im wnuka?

- No właśnie, on jest moim synem.

- I o to chodzi. Już mnie przekonywałeś chyba z dziesięć razy, że Archerowie nie mają do niego żadnych praw. No więc co ci szkodzi okazać im trochę życzliwości? Przecież tylko on jeden pozostał im po zmarłej córce. Musisz spróbować to zrozumieć, jesteś taki inteligentny i wrażliwy. Twoje utwory chwytają ludzi za serce, a sam nie możesz poradzić sobie z sytuacją, która wymaga okazania serca.

- A może ja nie mam serca?

- Ależ masz, na pewno! - Spróbowała wprowadzić lekki ton. - A co słyszę w nocy, gdy przykładam ucho do twojej piersi? No, co to tak robi: stuk, stuk, stuk?

Chwył poskutkowało, bo ponury wyraz twarzy Olivera nieco złagodniał, jakby próbował dostrzec swoisty komizm tej sytuacji. Ośmieliło to Wiktorię do tego stopnia, że podeszła do niego, objęła go w talii i przyłgnęła policzkiem do jego puszystego swetra.

- Ci Archerowie nic nie znaczą - zapewniła. - Nie mają żadnego wpływu...

Machinalnie głaskał jej plecy w górę i w dół, jakby głaskał psa.

- Na co nie mają wpływu? - chciał wiedzieć dokładnie.

- Na moją miłość do ciebie - wyznała, odkładając tym

samym na bok wszelką dumę i godność. Liczyła się tylko miłość do Olivera, bo była ogniwem spajającym w jedno ich oboje i Tomka.

- Chyba oszalałaś - stwierdził.

Tyle tylko miał do powiedzenia po tych wszystkich obelgach i oskarżeniach, które na nią rzucał. Zastanawiała się, czy będzie próbował jakoś usprawiedliwić swoje postępowanie przed Roddym i Johnem, ale z góry wiedziała, że nie będzie. Po prostu dlatego, że był sobą - Oliverem Dobbsem. Zresztą nie miało to znaczenia. Ważne było to, że udało się jej zasypać przepaść między nimi. Rany zadane w tej brutalnej kłótni były jeszcze świeże, ale na pewno z czasem się zagoją. W końcu po każdym upadku - ilekolek by ich było - można się pozbierać i zacząć wszystko od początku.

- A bardzo ci to przeszkadza? - odpowiedziała pytaniem na jego insynuację.

Nic na to nie odpowiedział. Położył ręce na jej ramionach i odsunął ją od siebie.

- Muszę już jechać - oznajmił - bo spóźnię się na samolot.

Wrócili razem do domku Roddy'ego po walizkę i kilka książek. Kiedy znów wyszli na dwór - przed domem stał już stary daimler Jocka, a obok czekali Roddy i John. Musieli chyba się umówić, że będą zachowywali się tak, jakby nic nie zaszło.

- Pomyślałem, że większy wóz będzie lepszy - wyjaśnił Roddy. - W MG jest mało miejsca na bagaż.

Powiedział to bardzo rzeczowo, za co Wiktoria była mu wdzięczna.

- To wspaniale! - ucieszył się Oliver, otwierając tylne drzwi wozu i lokując w bagażniku swoją walizkę, a na niej książki. - No więc będę się żegnał - uśmiechnął się szeroko, bez cienia skruchy. Wydawało się nawet, że bawi go obojętny wyraz twarzy Johna Dunbeatha. - Do widzenia, Johnie!

- Jeszcze się zobaczymy. - John nie podał mu ręki na pożegnanie. - Nie wyjadę stąd przed środą.

- To świetnie. Cześć, Wiktorio - pocałował ją w policzek.

- O której jutro przylatujesz?

- Około wpół do ósmej wieczorem.

- Wyjadę po ciebie.

- No to do jutra.

Wsiadli z Roddym do samochodu i ruszyli. Daimler ciężko i dostojnie wytoczył się po żwirowym podjeździe, przejechał aleją różaneczników, obok wybiegu dla bydła i dalej za bramę, a potem znikł z pola widzenia.

* * *

John najbardziej bał się tego, że kiedy zostanie sam z Wiktorią, ona znów zacznie płakać. Nie chodziło o to, że bał się jej łez czy wprawiałyby go w zakłopotanie. Odwrotnie, można by powiedzieć, że nawet ich oczekiwał, tyle że nie był to jeszcze właściwy moment, aby próbować utulić Wiktorię w ramionach, tak jak to zrobił Roddy.

Stała odwrócona do niego plecami i machała ręką za odjeżdżającymi. Jej szczupła i wyprostowana sylwetka w połączeniu z linią ramion odcinającą się wyraźnie pod grubym swetrem i końskim ogonem z jedwabistych włosów przypominała Johnowi ogierka, którego kiedyś wychodował jego ojciec na ranchu w Kolorado. Tamten żrebak zraził się do ludzi przez czyjeś nieumiejętne postępowanie. Ileż potem trzeba było cierpliwości i delikatności, aby powoli, krok po kroku, odzyskać jego zaufanie! Udało się to dopiero Johnowi.

Dlatego i tym razem wiedział, że musi postępować ostrożnie, więc po prostu czekał. I rzeczywiście, -kiedy po chwili Wiktorcia przekonała się, że ten młody człowiek sam z siebie nie zniknie ani dyskretnie się nie wycofa - odgarnęła włosy z czoła i odwróciła się ku niemu. Nie płakała.

Wręcz przeciwnie - nawet uśmiechała się, jednak był to ten rodzaj uśmiechu, który rozjaśnia twarz, nie obejmując oczu.

- A więc tak to wygląda - stwierdziła dosyć rażno.

- Mają piękną pogodę na podróż. - John próbował zacząć rozmowę. - Szczególnie nad Struie musi być teraz ładnie.

- Rzeczywiście.

- Może i my wybralibyśmy się na małą przejażdżkę?

Uśmiech natychmiast znikł z twarzy Wiktorii i John pojął, że się zagalopował. To było właśnie to, czego się bała - że będzie starał się być dla niej miły, ponieważ mu jej żal. Dlatego szybko spróbował naprawić swój błąd.

- I tak muszę jechać do Creagan, bo skończył mi się krem do golenia. Może też dostanę „Financial Timesa”, bo już od trzech dni nie śledziłem notowań giełdowych.

Oczywiście kłamał, lecz była to dobra wymówka.

- A co zrobimy z Tomkiem?

- Możemy go tu zostawić. Ellen się nim zaopiekuje.

- Ale nie byłam z nim jeszcze na plaży!

- Zabierzesz go kiedy indziej. Jeśli nie powiesz mu, dokąd jedziesz, to nie będzie się napierał.

Po namyśle ustąpiła.

- No, dobrze, ale najpierw muszę uprzedzić Ellen, że wyjeżdżamy.

To było dobre wyjście.

- Są za domem, tam, gdzie się suszy bielizna. Ja tymczasem wyprowadzę wóz i spotkamy się tutaj.

Kiedy podjechał wynajętym fordem, Wiktoria już czekała przed domem. Nie założyła cieplejszego okrycia, lecz John, wiedząc, że w Creagan może być zimno i wietrznie, na wszelki wypadek miał w samochodzie zapasowy sweter. Przechylił się przez przednie siedzenie i otworzył jej drzwi. Wiktoria usiadła przy nim i w milczeniu ruszyli.

John zdawał sobie sprawę, że nie ma co się spieszyć. Miał nadzieję, że atmosfera stopniowo się rozluźni.

- Co porabia Tomek? - spytał obojętnym tonem.
- Miałeś rację, jest im bardzo dobrze ze sobą. Ellen wyniosła sobie na dwór krzesło i robi na drutach, a Tomek bawi się Prosiaczkim i spinaczami do bielizny. Taki sielski obrazek - dodała z westchnieniem.

- Tomek nie jest twoim dzieckiem, prawda? - zapytał znienacka.

Wiktoria nawet się nie poruszyła. Z dłońmi ciasno splecionymi na kolanach wpatrywała się w zakręty wąskiej szosy.

- Nie - potwierdziła.

- Nie wiem dlaczego, ale wydawało mi się, że jest. Roddy też tak myślał. Najzabawniejsze, że jesteście do siebie podobni. Może jest trochę okraglejszy na buzi, ale bardzo ciebie przypomina.

- On nie jest moim synem, tylko Olivera. Jego matką była Jeannette Archer. Byli małżeństwem, lecz długo ze sobą nie wytrzymali, a wkrótce potem ona zginęła w katastrofie lotniczej.

- A skąd ty się wzięłaś w tym wszystkim?

- To już trwa od kilku lat... - zaczęła, lecz głos jej się załamał. - Przepraszam, ale chyba zaraz znowu zacznę płakać.

- Mnie to nie przeszkadza.

- Naprawdę? - Była tym zdziwiona.

- A cóż mi to szkodzi? - Otworzył schowek przy desce rozdzielczej i pokazał jej duży zapas chusteczek higienicznych. - Jestem na to przygotowany!

- Słyszałam, że Amerykanie zawsze wożą ze sobą papierowe chusteczki. - Wiktoria wzięła jedną i wysiąkała nos. - Płacz jest czymś okropnym. Kiedy raz się zacznie, trudno przestać, jakby to był jakiś nałóg. Przestajesz i znowu zaczynasz. Na ogół nie płaczę.

Mimo tego stanowczego stwierdzenia ponownie uderzyła w płacz. John spokojnie czekał, nie czyniąc żadnych uwag. Po jakimś czasie, kiedy już tylko pociągała nosem, zauważył:

- Jeśli komuś chce się płakać, nie widzę powodu, aby mu w tym przeszkadzać. Sam jako dziecko zawsze płakałem, kiedy musiałem po wakacjach wracać do szkoły. Ojciec nigdy nie kazał mi przestać ani nie zawstydzał mnie, że mężczyzna nie płacze. Przeciwnie, wyglądał wtedy tak, jakby sam miał ochotę się rozpłakać.

Wiktoria skwitowała to wspomnienie bladym uśmiechem, ale go nie skomentowała, więc John nie wracał do tego tematu. Do Creagan dojechali w milczeniu. Ulice miasteczka, w chłodnym słońcu zimowego popołudnia, były czysto uprzątnięte i puste. Większe tłumy pojawiały się tu tylko w sezonie letnim.

John zatrzymał się przed drogerią.

- Czy chcesz coś kupić? - zapytał Wiktorię.

- Dziękuję, na razie nie potrzebuję niczego.

Zostawił ją więc w samochodzie, a sam poszedł kupić krem do golenia i żyletki na zapas. Obok drogerii znajdował się kiosk z prasą, lecz nie było „Financial Timesa”. Kupił tylko torebkę miętówek i wrócił do samochodu.

- Lubisz takie cukierki? - rzucił torebkę Wiktorii na podołek. - Jeśli nie, możesz dać je Tomkowi.

- Może raczej Ellen. Starsi ludzie zwykle lubią miętówki.

- To są miętowe toffi, a Ellen ma sztuczną szczękę. Co teraz robimy?

- Możemy wracać do Benchoile.

- Naprawdę chcesz, czy może raczej wolałabyś pójść gdzieś na spacer. Na przykład na plażę.

- A znasz drogę?

- Włączyłem się tu, ledwo od ziemi odrośłem.

- Na pewno nie masz nic lepszego do roboty?

- Absolutnie nic.

* * *

Plażę od reszty miasteczka oddzielał tor golfowy i nie można było bezpośrednio dojechać do niej samochodem. John zaparkował wóz przed budynkiem klubu golfowego, a kiedy wyłączył silnik, dał się słyszeć szum wiatru. Jego powiew przyginał płasko do ziemi źdźbła zeszłorocznych traw i wydymał jak balony kurtki nielicznych wytrwałych graczy w golfa. John zaciągnął suwak swojej skórzanej kurtki, a Wiktorii podał zapasowy sweter.

Był to gruby niebieski sweter robiony ściągaczem. Kiedy wciągała go przez głowę, ciasny golf potargał jej włosy, więc rozpuściła je luźno. Rękawy były za długie, a obrębek swetra sięgał znacznie poniżej jej smukłych bioder.

Kiedy wysiedli z wozu, wiatr szarpnął drzwiczkami, aż ciężko było je zatrzasać. Ścieżka wiodąca nad morze przecinała tor golfowy, na którym funkcję przeszkód pełniły zarośla ostrokrzewu, a pod nogami rósł dziki tymianek. Za torem znajdowały się już wydmy porośnięte psią trawką, a pomiędzy nimi - niewielkie pole kempinowe, otoczone budkami, w których latem sprzedawano napoje i lody. Wydmy przechodziły w wysoki, piaszczysty brzeg. Na plaży nie było żywej duszy, choćby dziecka czy psa. Tylko w oddali bieleły się grzywy fal na pełnym morzu, a nad głowami krążyły mewy, których pisk wyrażał najgłębszą pogardę dla świata.

Piasek na wydmach był suchy i sypki, na plaży zaś odwrotnie - równo i twardo ugnieciony. Wiktoria i John dla rozgrzewki zaczęli biegać po gładkiej nawierzchni. Ponieważ trwał odpływ, woda pozostająca w zagłębieniach tworzyła małe stawki, w których odbijało się niebo, a na mokrym piasku było pełno muszli. Wiktoria zaczęła je zbierać, zauważając ze zdziwieniem, że są duże i nie uszkodzone.

- Jeszcze nigdy nie widziałam takich pięknych muszli. Zawsze były popękane, a dlaczego te są całe?

- Pewnie dlatego, że strefa brzegowa jest tu płytka, a dno piaszczyste - wyjaśniał, szukając razem z nią muszli.

Był zadowolony, że znalazła coś, co odwróciło jej uwagę od przykrych przeżyć. Tu dojrzał wysuszoną rozgwiazdę, gdzie indziej znów skamieniałe odnóże kraba...

- Co to jest? - pytała, coraz to podsuwając mu pod nos muszle.

Skrupulatnie oglądał je i podawał ich nazwy:

- To racicznica, a tamto ciemnoniebieskie to omułek jadalny.

- A to, co wygląda jak dziecięcy paznokietek?

- Sercówka.

- Jak ty je rozróżniasz?

- Kiedy byłem mały, lubiłem zbierać muszelki, więc Roddy podarował mi specjalny atlas.

Zbliżyli się już do samego morza i stali na wietrze, patrząc na rozbryzgujące się fale, z sykiem wpełzające na mokry piasek. Woda była czysta i przejrzysta, w odcieniu akwamaryny.

Poza zasięgiem fali odpływu leżała duża, półkulista muszla o barwie koralu, cała karbowana w wypukłe prążki. John podniósł ją i położył Wiktorii na dłoni.

- To dopiero jest zdobycz - powiedział.

Wiktoria oniemiała z zachwytu.

- A cóż to takiego?

- Przegrzebek, i to jaki duży!

Rzeczywiście, gdyby złożyć tę muszlę z drugą taką samą, razem miałyby wielkość piłki tenisowej.

- Myślałam, że takie muszle można znaleźć tylko w Indiach Zachodnich!

- Jak widzisz, są także w Szkocji.

Wiktoria trzymała muszlę w takiej odległości, aby móc podziwiać jej kształt i fakturę.

- Zatrzymam ją na zawsze, jest taka piękna! - postanowiła.

- Myślę, że będzie to dla ciebie miła pamiątka.

- Tak, pamiątka też. - Na jej twarzy pojawił się ślad uśmiechu.

Odwrócili się od morza i ruszyli w drogę powrotną. Wydawało im się, że piaszczysta plaża nie ma końca, a do wydm jest bardzo daleko. Wysoki brzeg, z którego tak łatwo zbiegli, okazał się bardzo stromy. John musiał podać Wiktorii rękę i pomóc jej się wdrapać, ale obojgu zaczęło brakować tchu, nim dotarli na samą górę. Równocześnie, jakby się umówili, przycupnęli dla odpoczynku w zagłębieniu gruntu, osłoniętym od wiatru kępami zeschniętych traw.

Miejsce to było tak nagrzane słońcem, że John położył się na plecach, czując, jak ciepło przenika przez zamszowego kurtki. Wiktoria oparła podbródek na kolanach i podziwiała swoją muszlę. Włosy rozdzieliły się po obu stronach jej karku, a w obszernym swetrze wyglądała na jeszcze chudsza i węższa niż w rzeczywistości.

Po chwili milczenia przysłała jej do głowy pewna myśl.

- Właściwie nie powinnam zatrzymywać tej muszli, tylko dać ją Tomkowi.

- On i tak tego nie doceni.

- Doceni później, kiedy podrośnie.

- Chyba go bardzo kochasz, mimo że nie jest twoim dzieckiem.

- Tak.

- Chciałabyś o tym porozmawiać?

- Nie wiem, od czego zacząć, i czy mnie dobrze zrozumiesz.

- W każdym razie możesz spróbować.

- No więc... - nabrała powietrza w płuca. - Archerowie to dziadkowie Tomka.

- To już załapałem.

- Mieszkają w Woodbridge, to jest w Hampshire. Kiedy Oliver wracał z Bristolu, przejeżdżał tamtędy...

Powoli opowiadanie zaczynało nabierać tempa. Johna denerwowało tylko to, że Wiktoria przez cały czas siedziała odwrócona do niego tyłem.

- ...pamiętasz, kiedy wracaliśmy od Fairburnów i To-

mek tak strasznie płakał? To właśnie wtedy Oliver znowu pojawił się w moim życiu.

Oczywiście, że John doskonale pamiętał wieczór przed swoim odlotem do Bahrajnu, psią pogodę i domek w zaułku Pendleton. Wiktoria miała wtedy wysoko podniesiony kołnierz futra, a w oczach jakiś dziwny niepokój.

- Postanowiliśmy zrobić sobie takie małe wakacje - mówiła dalej Wiktoria. - Dzięki temu, że Oliver znał Roddy'ego, trafiliśmy do Benchoile. Mówiłam ci już o tym.

- To znaczy, że nie masz w Londynie pracy, do której musiałabyś wracać?

- Mam, w sklepie odzieżowym na Beauchamp Place, ale moja szefowa już od dawna chciała wysłać mnie na urlop. Skorzystałam więc z okazji i wzięłam miesiąc wolnego. W tym czasie ma mnie zastępować inna dziewczyna.

- Więc po urlopie wracasz do pracy?

- Jeszcze nie wiem.

- Jak to nie wiesz?

- Może po prostu zostanę z Oliverem.

Johna aż zatkało. Nie mieściło mu się w głowie, że można wytrzymać z takim zaślepionym egoistą jak Oliver. Mimo najlepszych chęci, aby zachować jasność i trzeźwość sądów, czuł, jak ogarnia go coraz większa wściekłość.

- Wiedziałam, że pani Archer na pewno niepokoi się o Tomka - kontynuowała swoje zwierzenia. - Powiedziałam Oliverowi, że powinniśmy przekazać jej jakąś wiadomość, ale on za nic w świecie nie chciał o tym słyszeć. Ja mimo to napisałam do pani Archer, ale prosiłam, żeby ze względu na Olivera nie próbowała nawiązać z nami kontaktu. Widocznie jednak jej mąż przechwycił mój list.

Teraz, kiedy powiedziała już wszystko, odważyła się wreszcie spojrzeć Johnowi w oczy. Oparła brodę na rękę, podwinęła nogi i spojrzała na niego z ufnością.

- To właśnie on dzwonił podczas lunchu. Teraz już wiesz, dlaczego Oliver był taki zły.

- Chyba wiem, ale nadal uważam, że ta scena była zenująca.

- Ale rozumiesz, o co tu chodzi?

Najwyraźniej miało to dla niej duże znaczenie. Jednak John wcale się nie cieszył, że zrozumiał istotę konfliktu. Odwrotnie, uważał, że to nawet gorzej, bo sprawdziły się jego najbardziej pesymistyczne przypuszczenia. Teraz wszystkie części układanki pasowały do siebie. Ktoś tu był egoistą, kto inny - chciwy i zaborczy. Do tego dochodziła urażona duma i chęć odwetu. Z tego sporu nikt nie wyszedł bez szwanku, a najmocniej ucierpieli niewinni. Może „niewinni” to niezbyt odpowiednie określenie, ale jak inaczej nazwać Wiktorię i Tomka?

Ponownie przyszedł mu na myśl Oliver. Poczuli do siebie niechęć od pierwszego wejrzenia, jak dwa psy, które okrażają się nawzajem ze zjezoną sierścią. John próbował sobie wmówić, że ta antypatia jest nieuzasadniona, a dobre maniere nie pozwalały mu jej ujawniać, zwłaszcza będąc w gościnie. Nie dało się jednak ukryć, że niechęć była obopólna. Johna najbardziej drażniło u Olivera traktowanie Wiktorii z góry, lekceważący stosunek do Roddy'ego i brak zainteresowania własnym dzieckiem. Po dwóch dniach przebywania w jego towarzystwie był już pewien, że go nie trawi, a po odrażającym incydencie podczas lunchu wręcz go znienawidził.

- A gdybyś została z Oliverem, wyszłabyś za niego?
- zadał pytanie.

- Nie wiem.

- Czego nie wiesz? Tego, czy wyszłabyś za niego, czy że on ożeniłby się z tobą?

- Nie wiem - powtórzyła rumieniąc się. - To znaczy, nie wiem, czy on by się ze mną ożenił. On jest taki dziwny...

Teraz już Johna formalnie krew zalała. Przerwał jej ostro:

- Nie bądź idiotką!

Spojrzała na niego oczami wielkimi jak spodki, więc powtórzył z naciskiem:

- Mówię poważnie, nie bądź idiotką! Masz całe życie przed sobą, a chcesz zmarnować je dla człowieka, o którym nie wiesz nawet tego, czy kocha cię na tyle, aby się z tobą ożenić. Małżeństwo to coś więcej niż romans czy miódowy miesiąc. To ciężka praca, która wymaga wysiłku obu stron. W dobrym małżeństwie, takim jak moich rodziców, mimo różnych perturbacji dzieje się coraz lepiej. Natomiast nieudane małżeństwo rozpada się pod wpływem wzajemnych zadrażeń i pretensji. Mogłem to zaobserwować na własnym przykładzie, kiedy daremnie próbowałem uszczęśliwić moją żonę. Taka sytuacja nie jest nigdy zawiniona tylko przez jedną stronę, ale stanowi sumę drobnych błędów, nieporozumień i nic nie znaczących drobiazków. W normalnym związku takie szczegóły nie mają znaczenia albo je likwiduje uzdrawiająca moc miłości. Rozwód niczego już nie zmienia, to tylko radykalna operacja chirurgiczna. Ale wy z Oliverem macie dziecko, Tomka.

- Nie mogę się już wycofać - zaoponowała nieśmiało.

- Ależ możesz!

- Dobrze ci mówić. Gdy twoje małżeństwo się rozpadło, miałeś jeszcze kochających rodziców i ciekawą pracę. Masz Benchoile i możesz z nim zrobić, co zechcesz. A ja nie mam niczego, co stanowiłoby dla mnie jakąś wartość. Jeśli stracę Olivera i Tomka, nie pozostanie mi nikt ani nic. Nikt, do kogo bym należała, ani nikt, kto by mnie potrzebował.

- Masz jeszcze siebie.

- Widać to nie wystarczy.

- To znaczy, że masz cholerny kompleks niższości.

Wiktoria znów odwróciła się do niego plecami. John był zaskoczony tym, że od wielu lat po raz pierwszy zaangażował się emocjonalnie do tego stopnia, że krzyczał na kogoś.

- Przepraszam - wymamrotał chrapliwym głosem. - Po prostu nie mogę spokojnie patrzeć, jak ktoś marnuje sobie życie.

- Nie zapominaj, że to moje życie - odparła tonem urażonego dziecka.

- Także Tomka i Olivera - uzupełnił.

Nawet się nie poruszyła, więc położył rękę na jej ramieniu i odwrócił ją twarzą do siebie. Chcąc nie chcąc, musiała mu spojrzeć w oczy.

- Musisz bardzo kochać Olivera - powiedział cicho.

- Dużo bardziej niż on ciebie.

- Wiem o tym.

- No więc sama wiesz, w co się pakujesz.

- Wiem - powtórzyła, delikatnie uwalniając się z jego uchwytu. - Widzisz, w moim życiu nigdy nie było nikogo innego. Tylko Oliver.

XIV

Wtorek

Ten sam wiatr, który wiał w tych dniach w Szkocji, hulał także po Londynie, ale w mieście to nie było to samo. Tu jego nagłe porywy uderzały zza węgła, niszczyły pierwsze pączki na drzewach i rozrzucały śmiecie po ulicach. Ludzie z wykrzywionymi twarzami przyciskali się do murów i szczelnie zapinali palta, jakby miasto zaatakował nieprzyjaciel.

Wiatr przyniósł deszcz, który lunął akurat wtedy, kiedy Oliver zajechał taksówką na lotnisko Heathrow. Wjeżdżało się tam przez niezliczone ronda i tunele. W mokrej jezdni odbijały się światła, nad głowami kołowały samoloty, a w powietrzu unosił się zapach benzyny.

Długi sznur taksówek zajeżdżał kolejno pod gmach dworca lotniczego. Oliver wysiadł, wyciągnął swoją walizkę i już tylko szukał pieniędzy w kieszeni. W tym czasie kierowca taksował wzrokiem i jego, i bagaż.

- Chwileczkę - zagadnął swojego pasażera w chwili, gdy ten płacił. - Czy na pewno chciał pan jechać na to lotnisko? Stąd odlatują tylko samoloty linii krajowych.

- Tak, wiem.

- Bo wie pan, zauważyłem nalepkę na pana walizce i wydawało mi się, że powinien pan pojechać raczej na lotnisko międzynarodowe.

- Dziękuję, ale wszystko jest w porządku. Reszty nie trzeba.

- Dobrze, ostatecznie to pana sprawa. Dziękuję bardzo.

Oliver wziął swoją walizkę i przeszedł przez oszklone drzwi do hali odlotów na piętrze. Jak zwykle, było tam pełno ludzi oczekujących na samolot. Pachniało kawą i dymem papierosowym, było też czuć typową woń dużych zbiorowisk ludzkich. Oliver wolnym krokiem przechadzał się wzdłuż hali, jakby miał tu umówione spotkanie, i przyglądał się podróżnym. Zwrócił uwagę na kobietę obciążoną pięciorgiem dzieci i na dwie zakonnice, lecz najbardziej wpadł mu w oko mężczyzna w tweedowym płaszczu i kapeluszu. Był pogrążony w lekturze gazety, a na podłodze między jego nogami stała teczka. Oliver zdecydował się go zagadnąć:

- Przepraszam pana!

Nieznajomy spojrział zdziwionym wzrokiem znad gazety. Miał pociągłą twarz, nosił okulary. Spod płaszcza wystawał biały kołnierzyk i ciemny krawat. Wyglądał na prawnika albo biznesmena.

- Przepraszam - powtórzył Oliver - ale po nalepce na teczce zorientowałem się, że leci pan do Inverness.

- Owszem, lecę - potwierdził obcy takim tonem, jakby chciał dodać: „A co to pana obchodzi?”

- Tym samolotem o wpół do szóstej?

- Zgadza się.

- Czy byłby pan tak uprzejmy i doręczył mój list? - rzekł Oliver, wyciągając z kieszeni kopertę. - Miałem lecieć tym samolotem, ale coś mi wypadło, a w Inverness ktoś ma na mnie czekać.

Mężczyzna w okularach nie był zachwycony tą propozycją. Przypuszczalnie obawiał się, że w kopercie może znajdować się ładunek wybuchowy i cały samolot wyleci w powietrze nad Górami Pennińskimi.

- W ostatniej chwili coś mi wypadło - uspokajał go Oliver - i nie zdążyłem uprzedzić tej dziewczyny, która ma na mnie czekać.

Nieznajomy spoglądał to na kopertę, to na Olivera,

który na tę okazję przybrał wyjątkowo szczerzy i prostoduszny wyraz twarzy. W końcu mężczyzna w kapeluszu odłożył gazetę.

- A jak ja poznam tę panią? - dopytywał się.

- Młoda blondynka, z długimi włosami, zwykle chodzi w spodniach. Nazywa się Wiktorina Bradshaw. - Po chwili dodał zachęcającym tonem: - I jest bardzo ładna!

Nieznajomy nie dał się tak łatwo przekonać.

- A co mam zrobić, jeśli jej tam nie będzie?

- Na pewno będzie czekała. Gwarantuję to panu.

Mężczyzna w końcu wziął kopertę, ale tak ostrożnie, jakby brał do ręki bombę zegarową.

- Czy nie lepiej byłoby oddać to stewardesie? - próbował się jeszcze wymówić.

- Może i lepiej, ale wie pan, one są zawsze zajęte. Poza tym nie mam czasu czekać na którąś z nich, bo muszę złapać samolot z lotniska międzynarodowego.

- No, dobrze, załatwię to panu - zgodził się w końcu pan w okularach i lekki uśmiech okraślił jego poważną twarz.

- Dziękuję panu bardzo - nie posiadał się z wdzięczności Oliver. - Przepraszam, że zawracałem panu głowę, i życzę szczęśliwej podróży!

- Nawzajem - odrzekł chłodno nieznajomy i wrócił do lektury gazety.

Oliver wziął swoją walizkę i zawrócił w stronę wyjścia. Musiał teraz przejść w deszczu do budynku międzynarodowego dworca lotniczego i zarejestrować się na lot do Nowego Jorku. Potem będzie już panem swojego losu, będzie znów wolny!

Ten krótki epizod w jego życiu już się skończył. Aktorzy rozeszli się do domów, scena była pusta. Oliver mógł teraz wypełnić ją nowymi postaciami zrodzonymi w swojej wyobraźni.

- *A więc wróciłeś.*

- *Ano, tak.*

- *A ona odeszła.*
- *Tak, odeszła.*
- *To zabawne uczucie, kiedy ostatnie dziecko odchodzi z domu. Wydawało się, że będą tu zawsze, ale wszystkie odchodzą. A wtedy pozostaje tylko telewizor.*
- *Przepraszam, jeszcze chwileczkę!* - Z obłoków ściągnął go głos pana w kapeluszu. Zanim Oliver skojarzył głos i osobę z sytuacją na dworcu, musiał błyskawicznie przedstawić swój umysł na inne tory. Zaaferowany pan trzymał w jednym ręku swoją teczkę, w drugim - list Olivera.
- *Przepraszam - powtórzył - ale zapomniałem, jak się nazywa ta pani, której mam oddać list, a tu jest niewyraźnie napisane. Weronika Bradshaw?*
- *Nie, Wiktoria* - odpowiedział Oliver, choć nie od razu to sobie przypomniał.

* * *

Roddy raptem poczuł, że jest już stary. Nie „dojrzały” czy „doświadczony”, ale po prostu stary. Miał już sześćdziesiąt lat, a Jock dożył sześćdziesięciu dziewięciu. Jeśli i on ma żyć tyle samo, to zostało mu jeszcze dziewięć lat. Czy to znaczy, że przez ten czas będzie mógł cieszyć się życiem - czy też, że musi te dziewięć lat czymś wypełnić, zanim wreszcie będzie miał spokój? A jeśli tak, to czym je wypełnić? Nie będzie mógł już chronić się w Benchoile przed nieprzyjnym światem zewnętrznym. Od pewnego czasu zdawał sobie sprawę, że przeżył już swoją epokę. Jego rówieśnicy powoli wymierali; piękne kobiety, które niegdyś adorował, stały się babciami; starzy służący przeszli na emeryturę, a galopująca inflacja nie pozwalała na prowadzenie tak wystawnego życia towarzyskiego jak kiedyś.

Roddy nalał sobie kolejnego drinka, w nadziei, że alkohol podniesie go na duchu. Próbował się pocieszyć, że i tak ma szczęście: może mu grozić starość i samotność,

ale nie ubóstwo. Nawet jeśli nowy właściciel sprzeda Benchoile, jest na tyle zabezpieczony finansowo, że będzie mógł kupić jakiś mały domek i dożyć w nim swoich dni. Mniejsza o to, gdzie on sam będzie mieszkał - gorszy problem jest z Ellen. Nie ma przecież mowy o tym, aby ją zostawić na lodzie. Jeśli nikt z jej licznych krewnych nie zgodzi się wziąć do siebie tej starej jędzy, będzie musiał męczyć się z nią sam. Perspektywa mieszkania pod jednym dachem tylko we dwoje z Ellen Tarbat przyprawiała go o mdłości, toteż modlił się, aby do tego nie doszło.

Wpadł w taki wisielczy nastrój, ponieważ była już ósma wieczór, a on siedział sam w domu. Oliver był w Londynie, no, może już w drodze powrotnej do Szkocji. Wiktoria wyjechała po niego na lotnisko tym ogromnym volvo. Tomek, wykąpany i ułożony do snu przez Ellen, spał w sypialni na dole. John siedział w Wielkim Domu i nie wiadomo, co tam robił. Widać było, że problem Benchoile spędza mu sen z powiek, bo chodził cały dzień jak struty i prawie się nie odzywał. Jakby tego było mało, pogoda się popsowała - lał ulewny deszcz i huczał sztorm o sile wiatru osiem w skali Beauforta.

Roddy był w takim nastroju, że już zaczynał wątpić, czy w ogóle przyjdzie wiosna. Może wskutek jakiegoś kataklizmu w naturze, zderzenia komet czy trzęsienia ziemi na naszej planecie zapanuje wieczna zima?

No nie, dosyć już tego poddawania się przygnębieniu! Roddy podjął męską decyzję: przejdzie do Wielkiego Domu i napije się z Johnem. Potem zjedzą razem kolację, a kiedy Oliver i Wiktoria wrócą z Inverness - wszyscy zasiądą przy kominku i będą słuchać Olivera, jak opowiada o swoich wrażeniach z podróży. Ta miła perspektywa skłoniła go do podjęcia wysiłku. Podniósł się z fotela, zrzucając przy tym gazetę na podłogę.

Na zewnątrz hulał wiatr. Jego lodowate tchnienie wdzierało się nawet do pokojów na górze, poruszając dywany na wyfroterowanym parkiecie. Domek Roddy'ego był

zwykle dość zaciszny, ale żadne mury nie były w stanie oprzeć się porywistym, północno-zachodnim podmuchom. Ogień dogasał i w pokoju zaczynało robić się chłodno. Roddy dołożył więc drewno do żaru, aby ogień jeszcze się palił, kiedy wróci do pokoju.

Zgasił lampę i zawołał swojego starego psa, który z trudem dźwignął się z dywanika. Roddy wyłączył główne światło i razem z psem zaczął powoli schodzić ze schodów.

W ciemnym pokoju słychać było tylko trzaski płonących drewn. Deszcz iskier spadał prosto na dywanik przed kominkiem. Ponieważ nikt ich nie przydeptał, dywanik zaczął się tlić, a kiedy z dołu wtargnęła przeciąg, zajął się żywym płomieniem. Od niego zapaliła się pozostawiona przez Roddy'ego gazeta. Płomienie rozgorzały i ogarnęły stojak na gazety, wysuszoną wiklinę koszyka na drewno opałowe. Wkrótce zajął się także rąbek firanki...

* * *

John Dunbeath spędził prawie całe popołudnie w bibliotece, przeglądając papiery pozostałe po zmarłym stryju. Sortował je skrupulatnie, oddzielając dokumenty osobiste od rachunków z farmy. Te zaś rozkładał na kupki, w zależności od tego, czy ich treść mogłaby zainteresować Roberta McKenzie, agenta giełdowego Jocka czy księgowego z jego banku.

Było to zajęcie monotonne, lecz niezbyt uciążliwe, bo starszy pan prowadził dokładną rachunkowość. Wśród papierów John znajdował pamiętki, które napawały go smutkiem: pożółkłe listy i karnety, wyblakłe zdjęcia osób, których nigdy w życiu nie widział. Były na, nich pododdziały żołnierzy z Czerwonego Fortu w Delhi, grupa myśliwych w dżungli (pewnie przed polowaniem na tygrysa), wreszcie czyjś ślub. Niektóre zdjęcia pochodziły

z Benchoile. Na jednym John rozpoznał swego ojca jako małego chłopca, a na innym Roddy, wówczas jeszcze wysmukły młody człowiek w białym flanelowym garniturze, wyglądał jak odtwórca głównej roli w przedwojennym musicalu.

Akurat w tym momencie otworzyły się drzwi i do środka wszedł Roddy w swej współczesnej postaci. John ucieszył się na jego widok, gdyż miał pretekst, aby oderwać się od sortowania dokumentów. Odsunął się od biurka i pokazał Roddy'emu zdjęcie.

- Popatrz, co znalazłem!

- Rany boskie! - Roddy zajrzał mu przez ramię. - Chyba każdy gruby facet ma w środku drugiego, chudego. Gdzie to było?

- W tych starych papierach. Która jest godzina? - spojrzął na zegarek. - Już piętnaście po ósmej? Nie przypuszczałem, że jest tak późno.

- Późny zimowy wieczór - powtórzył Roddy i zatrzęsł się z zimna. - To wietrzyśko mało mnie nie porwało, kiedy szedłem przez podwórze.

- No to napijmy się czegoś.

- Świetny pomysł! - Roddy zareagował z takim entuzjazmem, jakby sam o tym przedtem nie myślał.

Skierował się w stronę stolika, na którym Ellen zawsze ustawiała butelki i szklanki. John zastanawiał się, ile takich drinków stryj już wypił, ale w duchu powtarzał sobie, że w końcu to nie jego sprawa. Czuł się zmęczony i wiedział, że coś orzeźwiającego dobrze mu zrobi.

Wstał, aby dołożyć do ognia i przysunąć bliżej kominka fotel dla Roddy'ego. Tymczasem Roddy przyniósł gotowe drinki i podał Johnowi szklankę, a sam z westchnieniem ulgi opadł na fotel. John wolał na stojąco grzać plecy w ciepłe ognia, bo zeszywniał z zimna, siedząc przy oknie.

- Zdrówko! - wzniosł toast Roddy. - Nie wiesz, kiedy oni wrócą?

- Nie mam pojęcia - mruknął beznamytnie John.
- Chyba około dziesiątej, jeśli samolot przyleci o czasie. Ta wichura może spowodować opóźnienie.

- Naprawdę chcesz już jutro wracać do Londynu?

- Nie chcę, ale muszę. Prawdopodobnie za tydzień lub dwa przyjadę znowu, ale najpierw musimy załatwić tę sprawę do końca.

- Pewnie; dobrze, że w ogóle przyjechałeś.

- Bardzo mi tu było dobrze. Żał mi tego miejsca. Wolałbym, aby Benchoile pozostało w rodzinie.

- Kochany, nic nie jest wieczne, a cośmy sobie użyli, to nasze!

Siedząc w ciepłe kominka, zaczęli wspominać dawne dobre czasy. Pili właśnie drugiego drinka (dla Johna, bo dla Roddy'ego to był już czwarty), gdy usłyszeli szuranie nóg za drzwiami. Do pokoju weszła Ellen, jak zwykle, bez pukania. Wyglądała dziś na wyjątkowo starą i zmęczoną. Nic dziwnego, skoro była cały dzień na nogach, a zimny wiatr nie służył jej zreumatyzowanym stawom. Widać to zresztą było po cierpięcniczym wyrazie jej zasznurowanych ust.

- Nie wiem, kiedy będziecie chcieli zjeść kolację, ale możecie ją dostać w każdej chwili.

- Dziękuję, Ellen! - Roddy nadał swemu głosowi lekko ironiczne zabarwienie, czego ona i tak nie wyczuła.

- Nie wiem, kiedy oni wrócą, ale będą musieli się zadowolić zupą.

- To im całkowicie wystarczy - zapewnił ją John. Chcąc ją ułagodzić, dodał szybko: - Zaraz przejdziemy do jadalni, Ellen, tylko chcieliśmy jeszcze się napić.

- Właśnie widzę. - Zawahała się, próbując wynaleźć jeszcze coś, do czego mogłaby się przyczepić. - Zaglądał pan może do małego, panie Roddy?

- No, nie. A powinienem?

- Wydaje mi się, że takiego maleństwa nie można zostawiać samego przez cały wieczór.

- Dopiero co przyszedłem, Ellen! - zdenerwował się Roddy. - Zresztą co wieczór zostawiamy go samego.

- Już dobrze, sama pójde i sprawdzę, czy wszystko w porządku.

Jednak John nie mógł spokojnie patrzeć, jak ta stara, zmęczona kobieta powłóczy patykowatymi nogami w zdeptanych buciorach. Odstawił szklanke i zaproponował:

- Nie trudź się, Ellen. Ja pójde.

- Ależ to dla mnie żaden trud!

- Dla mnie też, a szybciej obróce tam i z powrotem. Potem zjemy kolację i będziesz mogła spokojnie pójść spać.

- Kto tu mówi o spaniu?

- Ja, bo wyglądasz, jakbyś tego bardzo potrzebowała.

- No, nie wiem...

Powlokła się do kuchni, a John ruszył w drogę przez kręte, wyłożone płytami korytarze. Tego wieczoru było tam zimno jak w grobowcu, a nagie żarówki poruszane przeciągiem rzucały na ściany tańczące cienie i upiorne błyski.

Kiedy otworzył tylne drzwi, wiatr omal nie wyrwał mu ich z ręki. Stał w tych drzwiach może sekundę, ale wydała mu się ona wiekiem. Poraził go widok po drugiej stronie podwórza.

Na piętrze domku Roddy'ego przez wszystkie okna przeświecały pomarańczowo płomienie. Z dachu buchał dym i ogień podsycany przez wiatr. Słyszał było suche trzaski walących się drewnianych konstrukcji, jakby ktoś strzelał z karabinu. Na oczach Johna z wypalanej futryny wypadło okno i rozbiło się w drobny mak. Z pustego otworu okiennego buchnęły na zewnątrz płomienie, aż John poczuł gorący powiew na twarzy.

Przecież tam w środku był Tomek! John jak oszalały przebiegł przez podwórze i bez namysłu otworzył drzwi domku Roddy'ego. Aż się zachwiał, bo schody stały w ogniu, w kłębach duszącego dymu. Już w całym budynku buzował ogień, jak w wielkim piecu hutniczym. John zasłonił twarz ramieniem, wbiegł w wąski korytarz i kop-

niakiem wywalił drzwi do pierwszej sypialni. Niestety, nie wiedział, w której z nich śpi Tomek.

- Tomku! - zawołał, ale pokój był pusty. Wbiegł więc do drugiej sypialni, znajdującej się bezpośrednio pod salonikiem Roddy'ego. Dym był tu tak gęsty, że John zaczął kaszleć, a oczy zaczęły go piec i zaszyły łzami. - Tomku! - zawołał zachrypniętym głosem. Przedarł się do następnej sypialni, gdzie powietrze było trochę czystsze. - Tomku!

Odpowiedział mu płacz. Dzięki Bogu, Tomek nie udusił się w dymie! Trzeba było działać szybko, przepalony sufit mógł lada chwila runąć. W chwili gdy John porwał dziecko na ręce, ze stropu wyłupał się kawał zwęglonej łąty wraz z bryłą cementu i z hukiem runął na podłogę... Przez powstałą dziurę John zobaczył piekło, jakie rozpełtało się piętro wyżej. Tomek przeraźliwie zakrzyczał. Nie było czasu do stracenia - John przycisnął go do piersi i potykając się wybiegł z pokoju.

Ledwo znalazł się za drzwiami, resztki sufitu zwały się na podłogę, dywan i łóżeczko Tomka, grzebiąc wszystko pod lawiną wypalonego gruzu.

* * *

Samolot z Londynu miał piętnaście minut opóźnienia z powodu silnych przeciwnych wiatrów. Pokrywa chmur była tak gruba, że samolot dużo wcześniej dał się słyszeć niż zobaczyć. W polu widzenia pojawił się nagle, schodząc do lądowania na końcu pasa startowego.

Do samolotu podjechały ciężarówki i cysterny, a dwóch pracowników w czarnych kurtkach przytoczyło schodki. Kiedy otworzyły się drzwiczki, u szczytu schodów pojawiła się najpierw stewardesa. Potem pasażerowie pojedynczo zaczęli przechodzić przez rękaw do hali przylotów dworca lotniczego. Po drodze borykali się ze swym różnokształtnym bagażem i porywami wiatru, który jakiejś kobiecie zerwał kapelusz z głowy.

Wiktoria stała w hali przylotów, z rękami w kieszeniach i czekała na Olivera, przyglądając się powitaniom powracających krewnych i znajomych. „Ach, jesteś nareszcie, kochanie. Jak ci się leciało?” - pytaniem towarzyszyły serdeczne pocałunki. „Samochód już czeka” - rzeczowo informował ksiądz witający dwie zakonnice. Na kobietę z gromadką dzieci nikt nie czekał. Jedynym bagażem kilku biznesmenów były teczki.

Tłum podróżnych zrzedniał, a Olivera wciąż nie było widać. Pomyślała, że pewnie siedzi jeszcze w samolocie, żeby się nie tłoczył. Potem rozprostuje swoje długie nogi, nałoży kurtkę i niespiesznie wyjdzie, nie zapominając po drodze zamienić paru słów ze stewardesą. Aż zaśmiała się w duchu na myśl, że jej przypuszczenia wkrótce się sprawdzą. Już ona go zna!

- Przepraszam panią! - usłyszała nagle czyjś głos za plecami. Kiedy przestraszona odwróciła głowę - ujrzała mężczyznę wyglądającego na biznesmena, w kapeluszu, sztywnym kołnierzyku i z teczką. W ręku trzymał kopertę.

- Czy panna Wiktoria Bradshaw?

- Tak, to ja.

- Tak przypuszczałem. Mam dla pani list, który dał mi pani przyjaciel.

- Mój przyjaciel? - Nie wyciągnęła ręki po list.

- No, taki młody człowiek z brodą, nie dosłyszałem jego nazwiska. Prosił mnie, żebym go pani przekazała.

- To w samolocie go nie ma?

- Nie, nie mógł nim lecieć. Myślę, że ten list wyjaśni wszystko.

Wiktoria wzięła kopertę, odczytując napisane czarnym tuszem i ścisłym pismem Olivera swoje nazwisko: „Panna Wiktoria Bradshaw”.

- Ale gdzie on jest?

- Powiedział mi tylko tyle, że nie może lecieć tym samolotem. Opisał, jak pani wygląda, i prosił, żebym przekazał ten list.

- Rozumiem. Dziękuję bardzo i przepraszam za kłopot.
- To żaden kłopot - uspokoił ją. - Muszę już iść, bo żona czeka na mnie w samochodzie. Na pewno się niepokoi. - Przytknął palce do ronda melonika. - Będę się już żegnał.

- Do widzenia!

Wiktoria została sama, bo i powracający, i oczekujący już wyszli. W pobliżu krzątało się tylko paru ludzi o wyglądzie urzędników, a robotnik w kombinezonie pchał wózek bagażowy. Stała stropiona, nie wiedząc, co dalej robić.

W drugim końcu hali przylotów zauważyła barek. Przeszła tam, usiadła na wysokim stołku i zamówiła kawę.

- Czy podać pani cukier? - zapytała uprzejmie bufetowa.

- Dziękuję, nie słodzę. - Rozcięła kopertę i wydobyła z niej list.

- Ależ fatalna pogoda! - zagadywała barmanka.

- Rzeczywiście. - Wiktoria wyjęła portmonetkę i zapłaciła za kawę.

- Z daleka pani przyjechała?

- Tak, z Sutherland.

- To ma pani kawał drogi przed sobą.

Wiktoria rozłożyła kartkę. Oliver napisał ten list na swojej starej rozklekotanej maszynie. Zacisnęła w rękę filiżankę z gorącą kawą i zaczęła czytać.

Fulham

24 luty, wtorek

Droga Wiktorio!

Gdybym był innym człowiekiem niż jestem, zacząłbym ten list od słów, że trudno mi przyszło go napisać. Byłaby to jednak nieprawda, gdyż pisanie jest jedyną czynnością, z którą nie mam nigdy kłopotów, nawet jeżeli ma to być list takiej treści jak ten.

Nie wrócę już do Szkocji. Przegadałem prawie cały dzień

z moim agentem, który przekonał mnie, że powinienem jechać do Nowego Jorku. Pewien dyrektor teatru, nazwiskiem Sol Bernstein, czeka już na mnie z umową gotową do podpisania. Tak więc moja sztuka „Człowiek w ciemnościach” rozpocznie swój triumfalny pochód na Broadway.

Zatem dziś wieczorem wylatuję z Heathrow.

„Nie, on nie może mi tego zrobić - myślała rozpaczliwie Wiktoria. - Ależ może. Właśnie zrobił”.

Nie wiem, kiedy wrócę. Może w tym roku, może w przyszłym, a może nigdy. W każdym razie nie w przewidywalnej przyszłości. Za dużo mam teraz na głowie, aby cokolwiek planować.

Kiedy podejmowałem tę decyzję, myślałem również o Tobie prawie całą noc. Noc jest dobrą porą, żeby wszystko sobie poukładać, bo jest ciemno, cicho i łatwiej dostrzec prawdę.

A prawda jest taka, że nie mogę być z Tobą, tak jak nie mógłbym być z żadną inną kobietą. Już wtedy kiedy odszedłem od Ciebie po raz pierwszy, powiedziałem Ci, że nie potrafię nikogo pokochać. Tosię nie zmieniło. Wydawało mi się, że coś do ciebie czułem, ale tym, co mnie naprawdę bierze, jest tylko to, co rodzi się w mojej wyobraźni, i co udaje mi się przelać na papier.

Moja decyzja nie ma nic wspólnego z tym, co zaszło w Benchoiłe, z listem, który napisałaś do Archerów, ani w ogóle z Tobą. Te dni, które spędziliśmy razem, były czymś zupełnie wyjątkowym, a rozkosz, którą mi dałaś - jedyna w swoim rodzaju. Ale były to dni jakby wyrwane z życiorysu, więc pora wracać do rzeczywistości.

Będziesz teraz musiała załatwić kilka spraw. Po pierwsze, odwiedziesz Tomka do Archerów i powierzysz go ich czułej opiece. Aż mnie skręca na myśl, jak będą wychowywać mojego syna i jaka przyszłość go czeka, ale nie mam innego wyjścia i muszę się z tym pogodzić.

Następny problem to volvo. Chyba nie czujesz się na siłach jechać nim sama przez cały kraj. Poproś Roddy'ego,

może znajdzie na niego kupca w Creagan? Przekaż mu, że do niego napiszę.

Pozostał jeszcze przykry problem pieniędzy. Rozmawiałem już o tym z moim agentem - jego nazwisko i adres znajdziesz u dołu strony. Skontaktuj się z nim, jak tylko wrócisz do Londynu - upoważniłem go, aby zwrócił Ci wszystkie poniesione wydatki.

To by było na tyle. Nie chciałem kończyć tego listu tak przyziemnymi sprawami. W ogóle nie chciałem, aby się to tak skończyło, ale happy endy nigdy nie były moją specjalnością. Nie oczekiwałem ich ani nawet nie pragnąłem.

Czytając te słowa, Wiktoria płakała. Przez łzy ledwo mogła przeczytać dopisane ręcznie zakończenie:

Uważaj na siebie. Chciałbym móc napisać w tym miejscu, że Cię kochałem. Może trochę tak, ale za mało zarówno dla mnie, jak i dla Ciebie.

Oliver

Złożyła kartkę i włożyła z powrotem do koperty. Pogrzebała w torebce i wyciągnęła chusteczkę. Za wszelką cenę musiała przestać płakać, przecież czekały ją dwie godziny jazdy po ciemku. Prowadząc samochód z oczami pełnymi łez, jeszcze w taką pogodę, łatwo mogłaby zjechać do rowu albo spaść z mostu do rzeki lub zderzyć się z innym pojazdem. Co wtedy stałoby się z Tomkiem?

Barmanka musiała zauważyć, w jakim stanie jest jej klientka.

- Dobrze się pani czuje, kochana?
- Tak - skłamała Wiktoria.
- Jakież złe wiadomości?
- Nic takiego. - Wysiąkała nos i usiłowała się uśmiechnąć. - Muszę już jechać.
- Jeszcze kawy? A może by pani coś zjadła?
- Nie, dziękuję, wszystko w porządku.

* * *

Na opustoszałym parkingu stało już tylko volvo. Wiktoria otworzyła drzwiczki, siadła za kierownicą i zapięła pas. W górze kołował samolot. Nagle zapragnęła znaleźć się na jego pokładzie i polecieć w nieznaną, na przykład na bezludną wyspę, gdzie w słońcu, pod palmami, mogłaby dojść do siebie. Chciałaby zacząć wszystko od początku, zyskać nową osobowość i jako inna Wiktoria wejść w nowe życie.

Tak właśnie postąpił Oliver, rozwiązując wszystkie swoje problemy życiowe za pomocą jednego listu i zrzucając z siebie odpowiedzialność jak stary płaszcz. Pewnie leciał teraz nad oceanem, myśląc o Wiktorii i Tomku jak o reliktach przeszłości. Już się dla niego nie liczyli, ważna była tylko przyszłość. Wiktoria wyobraziła go sobie, jak pociąga drinka i oczyma duszy widzi już swoją nową sztukę wystawianą w Nowym Jorku. Taki właśnie był Oliver Dobbs.

Tym, co mnie naprawdę bierze, jest tylko to, co rodzi się w mojej wyobraźni...

Tu właśnie znajdował się klucz do skomplikowanej osobowości Olivera. Prawdę mówiąc, Wiktoria nawet nie próbowała zgłębiać tajników jego umysłu. Być może, gdyby była wyrafinowaną intelektualistką, znała go dłużej i miała silniejszą psychikę, by móc znieść jego zmienne humory, wydarzenia potoczyłyby się inaczej. Gdyby nie była tak od niego uzależniona, może potrafiłaby zatrzymać go przy sobie.

„Przecież oddałam mu całą siebie” - buntowała się w głębi duszy, ale zaraz odpowiedziała sama sobie: „Widać to było za mało”.

„Kochałam go”!

„Cóż z tego, skoro on nigdy nie kochał ciebie?”

„Chciałam stworzyć dom dla niego i dla Tomka...”

Kiedy powróciła myślami do Tomka, owładnęło ją uczucie czułości. W tej chwili Tomek potrzebował jej najbardziej. Dla niego musiała być silna, opanowana

i rozsądna. Musiała koniecznie i jak najszybciej oddać go dziadkom, żeby jego psychika nie doznała zbyt wielkiego wstrząsu. A więc spakuje rzeczy swoje i jego, kupi bilet na pociąg, na miejscu weźmie taksówkę do Woodbridge. A kiedy odnajdzie dom Archerów, zadzwoni do drzwi i...

Dalej już nie sięgała jej wyobraźnia. Kiedy Tomek zniknie z jej życia, wszystko się skończy. Nie tylko w rzeczywistości, ale i w marzeniach.

Zapуściła silnik, włączyła światła i wycieraczki, po czym wyjechała z parkingu i skierowała się ku głównej szosie.

Po dwóch godzinach dojechała do Creagan, ale gdy skręciła w jednokierunkową szosę wiodącą do Benchoile, ogarnęły ją złe przeczucia. Pogoda jakby się poprawiła, wiatr ustał, chmury się przeredziły, a na niebie ukazały się gwiazdy i księżyc w fazie nowiu.

Jednak to nie gwiazdy ogrzały powietrze i rozjaśniły niebo jak światła wielkiego miasta! I nie gwiazdy przecież wysyłałyby w niebo kłęby dymu! Kiedy Wiktoria opuściła szybę w samochodzie, poczuła jakby swąd ogniska. Ognisko o tej porze? Może ktoś wypalał suchy wrzos, ogień rozprzestrzenił się i zajęły się od niego zeszłoroczne trawy. Tylko kto wypala wrzos w lutym? A gdyby nawet ktoś to robił, ogień prędko by wygasł.

Ogarnął ją taki strach, że dodała gazu. Volvo aż kołysało się na zakrętach wąskiej drogi, jasność zbliżała się coraz bardziej i rosła, zamiast maleć. Wiktoria z dużą szybkością minęła dom Daveya Guthriego i weszła w ostatni zakręt. A kiedy zobaczyła przed sobą bramę majątku, sosny i dwór - była już pewna, że nikt nie pali ogniska ani nie wypala wrzosu, tylko że to Benchoile płonie.

Z rykiem silnika volvo przemknęło obok wybiegu dla bydła i z piskiem hamulców zaryło w żwir przed Wielkim Domem. Jasno było jak w dzień. Wiktorii od razu rzucił się w oczy wóz strażacki, sikawki i powyprowadzane na dwór samochody. Wokół uwijali się zasmoleni ludzie z zaczerwienionymi oczami. Jeden z nich, którego zoba-

czyła w światłach swego wozu, głośno instruował drugiego, co ma robić. Rozpoznała Daveya Guthrie'ego.

Wielki Dom pozostał nienaruszony i we wszystkich oknach paliło się światło. Natomiast na widok domku Roddy'ego Wiktoria w panice zaczęła odpinać pas bezpieczeństwa, zaciągać hamulec ręczny i szarpać klamkę drzwiczek wozu. Strach ścisnął ją za gardło aż do mdłości. Tam był Tomek!

Z domu Roddy'ego pozostał tylko kamienny łuk nad przejściem i ruiny ściany szczytowej z ziejącym pustką otworem okiennym. Wewnątrz wciąż szalało morze płomieni.

Tomek spał w sypialni na parterze! Nie było czasu pytać o nic ani czekać na odpowiedź. Zaczęła biec w kierunku pożaru, ale gryzący dym uderzył ją w nozdrza, a poryw gorącego powietrza niemal zatrzymał w miejscu.

- Tomku!

- Uważaj! - krzyknął ktoś za nią.

Nie słuchała, pędziła dalej, była już w pobliżu domku. Ktoś z okrzykiem „Wiktorio!” złapał ją w pole, otoczył ramionami, przytrzymał. Był to John Dunbeath.

Wrywała się wściekle, wierzyła nogami, kopiąc go w golenie. John obrócił ją twarzą do siebie.

- Tam jest Tomek, nie rozumiesz? - krzyknęła mu prosto w twarz. Znów go kopnęła.

- Uspokój się! Tomek jest w bezpiecznym miejscu. Nic mu się nie stało. - John chwycił ją za ramiona i mocno potrząsnął.

Wiktoria ciężko łapała powietrze, jakby za chwilę miała umrzeć. Uspokoiła się wreszcie na tyle, aby spojrzeć na Johna. Zobaczyła jego ciemne oczy nabiegłe krwią, zaczerwienione powieki, zabrudzoną twarz i koszulę.

- Nie ma go tam? - wyjąkała w końcu słabym głosem.

- Nie, wynieśliśmy go w porę, jest zdrowy i bezpieczny.

Z radości aż się pod nią nogi ugięły, jakby robiło się jej

niedobrze lub miała zemdleć. Chciała wytłumaczyć Johnowi, że nogi ma miękkie jak gotowany makaron, ale zabrakło jej odpowiednich słów, jak też energii, żeby je wypowiedzieć. Nie miało to jednak żadnego znaczenia, gdyż John wziął ją na ręce i zaniósł przez frontowe drzwi do Wielkiego Domu.

* * *

O północy było już mniej więcej po wszystkim. Ogień został ugaszony, tlił się jeszcze tylko gdzieś na zgliszczach. Na szczęście John zdążył uratować samochody, wyprowadzając je z garażu. Udało się też wynieść z garażu zbiorniki z paliwem, więc John był spokojny o bezpieczeństwo Wielkiego Domu. Płomień strawił jednak dach garażu, jak i wszystko, co w nim pozostało.

Tomek rozzdzierająco płakał, nie ze strachu, lecz dlatego, że stracił Prosiaczka. Trudno było mu wytłumaczyć, że już go nie odzyska. Ellen, w najlepszej wierze, chcąc znaleźć mu nową zabawkę, wygrzebała skądś misia, którym bawił się jeszcze ojciec Johna. Jednak na widok wytartego pluszowego zwierzaka Tomek podniósł jeszcze głośniejszy wrzask. W końcu zasnął, ściskając w objęciach drewnianą lokomotywę, odrapaną i bez jednego kółka.

Ellen bardzo dzielnie zniosła kataklizm. Dopiero pod koniec akcji ratowniczej osłabła i zaczęła się trząść na całym ciele. John musiał posadzić ją na krześle i włąć do ust kieliszek koniaku, a Jess Guthrie odprowadziła ją do łóżka. Jess i Davey przez cały czas brali udział w akcji. Davey natychmiast zorganizował w Creagan grupę ochotników do gaszenia pożaru - powyciągał ludzi z domów i pomógł uruchomić sprzęt gaśniczy.

Natomiast co do Wiktorii... John musiał panować nad swoimi myślami, trzymać je na wodzy jak ponoszące konie. Tylko jeden fakt był bezsporny: z Inverness wróciła sama. Oczywiście w tej sytuacji nikt nie miał czasu ani ochoty

wypytywać, co się stało z Oliverem. Dla Johna jednak nagłe pojawienie się Wiktorii wśród ogólnego chaosu i jej szaleńczy bieg w stronę płonących zgliszczy domku Roddy'ego było swego rodzaju punktem kulminacyjnym. Pierwszą rzeczą, o której pomyślał, było to, żeby odciągnąć ją od ognia i wynieść w bezpieczne miejsce.

Nim zdążył pomyśleć, zaniósł ją do swojej sypialni i położył we własnym łóżku. Otworzyła na chwilę oczy, po to tylko, aby zapytać, czy Tomkowi naprawdę już nic nie grozi. John śpieszył się, ale zapewnił ją, że tak właśnie jest. Zresztą zaraz zakrzątnęła się przy niej Jess Guthrie, uspokajając i proponując coś gorącego do picia. Teraz pewnie Wiktorie już spała. Przy dobrych układach pośpi spokojnie do rana, a wtedy będzie dużo czasu na rozmowę.

Teraz, po północy, kiedy niebezpieczeństwo już minęło, John stał na brzegu jeziora. Odwrócony plecami do wody, patrzył w stronę domu i dopiero w tej chwili zdał sobie sprawę, jak bardzo jest zmęczony. Mimo to jednak w głębi duszy czuł jakiś dziwny spokój i ulgę - coś, czego nie przeżywał od lat.

Nie miał pojęcia, skąd się wziął właśnie taki nastrój. Wiedział tylko, że Tomek żyje, a Oliver nie wrócił z Londynu. Świadomość tych faktów dawała mu taką satysfakcję, jakby sam jeden dał radę jakiejś pozornie niewykonalnej pracy.

Burzliwy wieczór przeistoczył się tymczasem w spokojną noc. Wiatr ustał, po niebie żeglowały tylko pojedyncze obłoczki, a srebrny półksiężyc odbijał się w wodach jeziora. W powietrze wzbiły się dwie kaczki krzyżówki. John rozpoznał ich sylwetki i przez chwilę patrzył za nimi, dopóki nie znikły w ciemności i nie umilkł ich krzyk.

Przez nocną ciszę przebijały się jednak inne dźwięki - szum wiatru w wierzchołkach sosen i plusk wody o deski starego mola. Kiedy John obejrzał się, światła w oknach Wielkiego Domu przywiodły mu na myśl ciepło i przytulność. W tle wznosiły się ciemne garby wzgórz. John

uświadomił sobie, że to przecież j e g o wzgórza, w j e g o Benchoile!

Postał tak jeszcze przez dłuższy czas, dopóki nie zaczęło mu się robić zimno. Ogarnął jezioro pożegnalnym spojrzeniem i po trawiastym zboczu wspiał się z powrotem do domu.

* * *

Roddy nie spał, lecz siedział skurczony w fotelu Jocka, w bibliotece, przy dogasającym ogniu. Johnowi serce się krajało na jego widok, bo to Roddy najwięcej ucierpiał wskutek pożaru. Nie chodziło nawet o to, że stracił w ogniu wszystko, co posiadał, wszystko, co gromadził przez lata bądź stanowiło dla niego jakąś wartość. Najgorsze było to, że sam siebie obwiniął o spowodowanie tego nieszczęścia.

- Powinienem był o tym pomyśleć! Dlaczego nie pomyślałem? - powtarzał w kółko, zapominając o swojej zwykłej gadatliwości. Cierpł na myśl, comogło stać się z Tomkiem.

W końcu nie od dziś dorzucał drewno do otwartego paleniska w kominku. Nie pierwszy raz beztrudnie przydeptywał iskry spadające na dywanik. Mimo przestróg Jocka nie zainstalował kraty lub ekranu.

- Odwlekałem to w nieskończoność. Co za idiota ze mnie! A gdyby Ellen nie wpadła na pomysł, żeby sprawdzić, co się dzieje z dzieckiem? A co by było, gdybyś ty tam wtedy nie poszedł? - powtarzał do znudzenia, a głos mu drżał z udreki.

John nie mógł dłużej tego wytrzymać.

- Nie myśl już o tym. Widocznie miała przecucie. Rozumując w tym duchu, równie dobrze sam powinienem był na to wpaść, nie czekając na zachętę, więc tyleż w tym mojej winy, co twojej.

- Nie, to tylko moja wina. Powinienem był pomyśleć...

John czuł coraz więcej sympatii do swego nieszczęśliwego stryja. Cóż z tego, kiedy nie umiał go pocieszyć?

W przygasającym ogniu zwęglona kłoda rozsypała się na popiół. Minęło już piętnaście minut po północy.

- Dlaczego nie idziesz spać? - zagadnął John. - Jess przygotowała dla nas łóżka. Nie ma sensu sterczeć tu bez końca.

- Może i nie ma sensu - przetarł oczy Roddy. - Nie sądzę jednak, abym mógł zasnąć.

- W takim razie... - John nie skończył zdania. Wstał, rozgarnął żar w palenisku i dołożył trochę drewna, które natychmiast zajęły się płomieniem. Roddy patrzył na nie ponurym wzrokiem. - Już po wszystkim - powtórzył John z naciskiem. - Nie myśl o tym więcej. Może ci poprawi samopoczucie, jeśli przypomnisz sobie, że straciłeś wszystko, co miałeś.

- To mało ważne. Nigdy nie przykładałem wagi do dóbr materialnych.

- To czemu się nie napijesz?

- Nie mam ochoty na drinka.

John starał się nie okazać zdziwienia.

- A nie będzie ci przeszkadzało, jeśli ja się napiję?

- Proszę bardzo.

Młody człowiek nalał do szklanki trochę koniaku i dopełnił wodą sodową. Usiadł naprzeciw stryja i szkockim akcentem wznosił toast:

- Zdrówko!

W oku Roddy'ego błysnęła iskierka.

- Ej, widzę, że stary Szkot z ciebie!

- Zawsze nim byłem, przynajmniej w połowie.

Roddy dźwignął się z fotela.

- Oliver nie wrócił z Londynu - zmienił temat.

- Ano, nie.

- Ciekawe, dlaczego?

- Nie mam pojęcia.

- Myślisz, że przyjedzie?

- Też nie mam pojęcia. Położyłem Wiktorię do swojego łóżka, a dalej już Jess się nią zajęła. Na pewno jutro dowiemy się reszty.

- To dziwny człowiek - głośno myślał Roddy. - Ale i sprytny, nawet aż za sprytny. Szczególnie dla tej młodziutkiej dziewczyny.

- Chyba masz rację.

- No i ona ma dziecko.

- Powiem ci coś ciekawego. Tomek nie jest jej dzieckiem.

- Coś takiego! - Roddy aż podniósł brwi i potrząsnął głową. - Teraz mnie zastrześliłeś. No cóż, świat jest pełen niespodzianek.

- Mam dla ciebie więcej takich niespodzianek.

- Naprawdę?

- Chciałbyś je usłyszeć?

- Teraz?

- Dopiero co powiedziałeś, że nie chce ci się spać. Jeśli mamy tu przesiedzieć całą noc, możemy o tym wszystkim pogadać.

- No więc gadajmy - zgodził się Roddy, usiłując się skupić.

XV

Środa

John miał obie ręce zajęte tacą ze śniadaniem, więc otworzył sobie drzwi od kuchni, wypychając je plecami. Ostrożnie poniósł tacę przez hol i po schodach w górę. Na dworze, po wczorajszej wicherze, powiewał tylko słaby wietrzyk, lekko marszcząc tafłę jeziora i poruszając czubki drzew. Z chłodnego błękitu nieba słońce koloru mosiądzu zaglądało już do okien. Stary pies Roddy'ego wyciągnął się w słonecznej plamie, rozkoszując się słabym ciepłem.

John, jak kelner balansując tacą trzymaną w jednym ręku, zapukał do drzwi własnego pokoju. Odezwał się stamtąd głos Wiktorii:

- Kto tam?

- Pokojówka! - zażartował John. - Śniadanko dla jaśnie pani!

Siedziała jeszcze w łóżku, ale była w pełni rozbudzona, jakby już od jakiegoś czasu nie spała. Przez odsłonięte okno do pokoju wdzierały się pierwsze promienie słońca, złocąc komodę i dywan.

- Zapowiada się piękny dzień - zaanonsował z emfazą, stawiając tacę na kolanach Wiktorii.

- Przecież wcale nie prosiłam o śniadanie do łóżka! - protestowała.

- Nie szkodzi. Dobrze spałaś?

- Jak zabita. Chciałam już zejść na dół, bo zapomniałam wczoraj nakręcić zegarek i nie wiem, która godzina.

- Dochodzi wpół do dziewiątej.
- Czemu nie obudziłeś mnie wcześniej?
- Uważałem, że powinnaś się dobrze wyspać.

Wiktoria miała na sobie nocną koszulę, którą znalazła dla niej Ellen po nieboszczce Lucy Dunbeath. Koszula była z brzoskwińowego jedwabiu, bogato marszczona i haftowana. Na ramiona, zamiast szlafroka, Wiktoria narzuciła puszysty biały szal. Potargane ze snu włosy luźno opadały na piersi, oczy miała podkrążone, jakby podbite. Johnowi wydała się istotą szalenie delikatną i wrażliwą. Wyobraził sobie, że gdyby nagle zapragnął porwać ją w ramiona, mogłaby się pokruszyć, jakby była z porcelany.

- Kiedy się obudziłam, nie wiedziałam, gdzie jestem - stwierdziła, rozglądając się wokół. - To twój pokój, prawda?

- Tak, bo wtedy tylko to łóżko było posłane.
- A ty gdzie spałeś?
- W garderobie stryja Jocka.
- A Roddy?
- W sypialni Jocka. Jeszcze śpi, bo wczoraj gadaliśmy do czwartej nad ranem, więc musi to odespać.
- A... Tomek? - To pytanie ledwo jej przeszło przez gardło.

John przysunął sobie krzesło, usiadł naprzeciw niej, wyciągając przed siebie nogi i zakładając ręce.

- Tomek jest w kuchni, Ellen i Jess właśnie go karmią. Możesz spokojnie zjeść śniadanie, zanim wystygnie.

Wiktoria bez zbytniego entuzjazmu spojrzała na jajka, grzanki i dzbanuszek z kawą.

- Właściwie nie jestem głodna - próbowała się wykręcić.
- Mimo to zjedz.

Bez przekonania ścięła czubek jajka na miękko i zanurzyła w nim łyżeczkę. Zaraz jednak odłożyła ją, jakby sobie coś przypomniała.

- Co tu się wczoraj działo? To znaczy, skąd wziął się pożar?

- Nikt z nas nie wie tego na pewno. Akurat byliśmy z Roddym w bibliotece i chcieliśmy napić się czegoś przed kolacją, ale Roddy, zanim wyszedł do mnie, dołożył do ognia. Pewnie, jak zwykle, iskry posypały się na dywanik, tylko że nie było komu ich zdeptać. Do tego wiał strasznie silny wiatr, tak że cały pokój od razu stanął w płomieniach.

- Kiedy zauważyliście, że dom się pali?

- Ellen przyszła zawołać nas na kolację i przypomniała sobie, że Tomek śpi sam w tamtym domu. Poszedłem więc zajrzeć do niego, a tam już wszystko płonęło jak pochodnia.

- Nie mogę tego słuchać! - wyjęczała. - I co wtedy zrobiłeś?

John opowiedział jej wydarzenia poprzedniego wieczoru, starając się nie eksponować zbyt drastycznych szczegółów. Uważał, że Wiktoria ma i tak dość zmartwień, aby jeszcze szokować ją opisem wypełnionej dymem sypialni, walącego się sufitu czy zięjącej ogniem otchłani nad głową. Wystarczyło, że jego samego to wspomnienie będzie przesładować do końca życia, niczym koszmarny sen.

- Czy Tomek się przestraszył?

- Jeszcze jak! Bałby się i dorosły. Na szczęście udało się wydostać go przez okno. Ellen zajęła się Tomkiem, a ja jeszcze wróciłem, żeby szybko wyprowadzić samochody z garażu, podczas gdy Roddy dzwonił po straż pożarną. Gdyby wybuchły zbiorniki z paliwem, wszyscy wylecielibyśmy w powietrze.

- Czy udało się uratować cokolwiek z domku Roddy'ego?

- Nic, przepadło wszystko, co posiadał.

- Biedny Roddy!

- Ale nie to najbardziej go martwi. Gryzie się, bo uważa, że pożar wybuchł z jego winy. Wciąż powtarza, że mógł być ostrożniejszy, powinien był zaopatrzyć palenisko w kratę i nie zostawiać Tomka samego.

- Wolę nie myśleć, jak to zniósł.
- To właśnie dlatego przegadaliśmy wczoraj pół nocy. Tomek czuje się dobrze, ale rozpaczał, że stracił Prosiaczka. Na szczęście polubił tę starą drewnianą lokomotywę i zasnął z nią w objęciach. Oczywiście stracił wszystkie ubranka, z wyjątkiem pizamy, którą miał na sobie. Po śniadaniu Jess pojedzie z nim do Creagan i kupi mu jakieś nowe rzeczy.

- A ja myślałam, że on został tam w środku - wyznała Wiktoria. - Już kiedy wracałam z lotniska, z daleka widziałam ogień. Najpierw myślałam, że ktoś pali ognisko, potem, że wypalają wrzos... Ale kiedy zobaczyłam, że to domek Roddy'ego się pali...Wtedy miałam w głowie tylko jedno, że on tam jest...

Głosej zadrżał. John łagodnym, uspokajającym głosem ponownie ją zapewnił:

- Był w bezpiecznym miejscu.

Wiktoria odetchnęła głęboko i spokojniejszym już głosem zaczęła:

- Przez całą drogę powrotną z Inverness myślałam tylko o Tomku, a droga wlokła się w nieskończoność...

- Oliver nie wrócił z Londynu. - W ustach Johna zabrzmiało to nie jak pytanie, ale jak stwierdzenie faktu.

- W ogóle nie leciał tym samolotem.

- A jak dał ci znać? Dzwonił?

- Nie, napisał list.

Wiktoria postanowiła najwidoczniej porzucić wszelkie złudzenia i wrócić do rzeczywistości, bo z pasją wzięła się do przerwanego jedzenia.

- Kiedy zdążył go wysłać? - nie dowierzał John.

- Podał list przez jakiegoś pasażera. Musiał mu opisać, jak wyglądam, bo facet rozpoznał mnie od razu. Czekałam właśnie, aż Oliver wyjdzie z samolotu, kiedy-ten człowiek podszedł do mnie.

- I co napisał?

Wiktoria zrezygnowała ze śniadania i odsunęła tacę. Opadła na poduszki i przymknęła oczy.

- Napisał, że nie wraca - powiedziała zmęczonym głosem. - Wyjeżdża do Nowego Jorku. Już tam pewnie jest, bo wyleciał z Londynu wczoraj wieczorem. Mają wystawić jego sztukę „Człowiek w ciemnościach”.

John zdobył się na odwagę, żeby zadać następne pytanie, choć bał się usłyszeć odpowiedź.

- A czy ma zamiar wrócić?

- Może kiedyś... W tym roku albo w przyszłym, albo nigdy... Napisał, że „nie w przewidywalnej przyszłości”.

- Wyczuwając ton oczekiwania w głosie Johna, dodała:

- On mnie opuścił, Johnie! - Jakby mógł mieć jeszcze co do tego wątpliwości.

Nic nie odpowiedział, więc mówiła dalej, siłąc się na lekki ton głosu:

- Już drugi raz mnie opuścił. Chyba weszło mu to w nawyk - usiłowała zdobyć się na uśmiech. - Miałaś rację, zwariowałam na jego punkcie. Ale wtedy, kiedy byliśmy ze sobą, naprawdę myślałam, że tym razem będzie inaczej... Wydawało mi się, że rozbudzę w nim pragnienie posiadania czegoś, czego nigdy nie miał. Domu, rodziny... że we trójkę stworzymy prawdziwy dom dla Tomka...

John obserwował wyraz jej twarzy. Może to nagłe zniknięcie Olivera lub wstrząs wywołany pożarem podziały tak oczyszczająco, ale dzielący ich dotychczas mur jej chłodnej oziębłości runął nagle. Dopiero teraz była naprawdę szczerą i niczego przed nim nie ukrywała. Dla niego było to zwycięstwo, coś w rodzaju dalszego ciągu tej satysfakcji, jaką odczuwał poprzedniej nocy.

- Wczoraj, na plaży w Creagan, nie chciałam nawet słuchać tego, co mówiłeś - przyznała Wiktoria. - Ale miałaś zupełną rację co do Olivera.

- Chciałbym móc ci powiedzieć, że wolałbym jej nie mieć, ale naprawdę nie przejdzie mi to przez gardło.

- Ale nie powiesz: „A nie mówiłem?”

- Nigdy nie mówię takich rzeczy.
- Widzisz, największym problemem Olivera jest to, że nikogo nie potrzebuje. Napisał, że jedyne, co go bierze, jest jego pisarstwo. A dla mnie był to cios w samo serce, bo zawsze się łądziłam, że też na niego działałam.

- Co teraz zrobisz?

- Sama nie wiem - wzruszyła ramionami. - Najgorsze, że nie wiem, od czego zacząć. Oliver życzy sobie, żebym odwiozła Tomka do Archerów, więc już zaczęłam kombinować, jak to zrobić. Nie wiem, gdzie oni mieszkają, ani co im powiedzieć, kiedy tam trafię. Nie chcę rozstawać się z Tomkiem, więc czuję się rozdarta wewnątrz. I jeszcze będę musiała coś zrobić z samochodem. Oliver pisze, żeby zostawić go tutaj, to może Roddy'emu uda się go sprzedać. To znaczy, gdybym chciała, mogłabym sama nim wrócić, ale obawiam się, że nie dam rady, zwłaszcza z Tomkiem. Lepiej będzie, jeśli pojedę pociągiem albo samolotem z Inverness, ale to wymaga...

John poczuł, że nie wytrzyma już ani chwili dłużej. Przerwał więc jej gwałtownie:

- Dostyc. Nie chcę słyszeć ani słowa więcej.

Wiktoria tak zmroził ostry ton jego głosu, że przerwała w pół zdania.

- Jak to? Musimy jeszcze o tym pomówić. Mam kupę spraw do załatwienia...

- Nie masz już nic do załatwienia. Ja zajmę się wszystkim. Osobiście odwiozę Tomka do dziadków...

- Ależ i bez tego masz dostyc roboty...

- Myślę, że uda mi się ich udobruchać.

- ...ze skutkami pożaru, z Roddym i Benchoile...

- ...bo po tym wszystkim są na pewno wściekli. Zajmę się i Tomkiem, i tobą, ale wóz OHvera niech diabli porwą! I niech diabli porwą Olivera Dobbsa razem z jego podbojami miłosnymi i geniuszem literackim! Nie chcę słyszeć ani słowa więcej o tym samolubnym skurwielu, jasne?

Wiktoria wzięła sobie te słowa do serca.

- Nigdy go nie lubiłeś, prawda?
- Staralem się tego nie okazywać.
- Ale to było widać.
- Miał szczęście, że nie dostał ode mnie po ryju! - John uśmiechnął się, spojrzął na zegarek, przeciągnął się jak kot i wstał.
- Dokąd się wybierasz? - zapytała Wiktoria.
- Do telefonu. Muszę przeprowadzić mnóstwo rozmów. Tymczasem mogłabyś zjeść śniadanie, przecież nie musisz się już o nic martwić.
- Jest jeszcze jedna rzecz.
- Co takiego?
- Moja muszla. Leżała na parapecie w mojej sypialni.
- Znajdziemy inną.
- Ale ona mi się tak podobała!
- Morze jest pełne darów - zauważył John, idąc w stronę drzwi.

* * *

W kuchni Jess Guthrie obierała kartofle.

- Gdzie jest Davey? - zapytał John.
- Poszedł rano w góry.
- Ale będziesz się jeszcze dziś z nim widziała?
- Tak, wróci na obiad.
- To powiedz mu, żeby przyszedł do mnie. Mam z nim do pogadania. Powiedzmy o wpół do trzeciej, dobrze?
- Oczywiście, przekażę mu tę wiadomość.

Idąc do biblioteki, John po drodze nucił urywek starej piosenki Roddy'ego.

*Lecz gdy nie zechce dziewczyna
Pójść ze mną w letni poranek -
Nie będzie ta, będzie inna,
Gdzie kwitnie dziki tymianek.*

W bibliotece zamknął drzwi od wewnątrz, rozpałił w kominku, usiadł przy biurku zmarłego stryja i zaczął załatwiać telefonicznie po kolei wszystkie sprawy.

Najpierw zadzwonił do swojej firmy w Londynie. Rozmawiał z wiceprezesem, kilkoma kolegami i sekretarką - panną Ridgeway.

Potem zadzwonił do biura numerów i poprosił o adres i numer telefonu Archerów w Woodbridge, i od razu zatelefonował do nich, co zajęło mu trochę czasu. Mając już z głowy te dwie sprawy, połączył się z dworcem kolejowym w Inverness i zarezerwował na jutro trzy miejsca w ekspresie „Latający Szkot”. Zadzwonił też do zespołu adwokackiego McKenzie, Leith i Dudgeon. Załatwił to, co chciał, z Robertem McKenzie, a następnie wykrcił numer towarzystwa ubezpieczeniowego i omówił z nimi kwestię odszkodowania za straty spowodowane pożarem.

Zbliżało się południe, kiedy John przeliczył szybko czas europejski na amerykański i zatelefonował do swojego ojca w Kolorado. Wyciągnął starszego pana z łóżka, gdyż w Stanach o tej porze był dopiero wczesny ranek, i rozmawiał z nim ponad godzinę.

W końcu zadzwonił do Tani Mansell, której numer znał na pamięć. Jednak telefon u niej był zajęty, więc John po krótkim oczekiwaniu odwiesił słuchawkę i nie próbował już więcej dodzwonić się pod ten numer.

XVI

Czwartek

Pakowanie rzeczy nie zabrało wiele czasu, bo nie było co pakować – wszystko spłonęło w pożarze. Jedyнным bagażem Wiktorii była papierowa torba z piżamą Tomka i drewnianą lokomotywą, którą podarowała mu Ellen.

Pożegnanie było krótkie i zwięzłe, bo szkoccy górale nie są zbyt wylewni. Brakło zresztą czasu na przedłużające się ceremonie, gdyż śniadanie podano na krótko przed odjazdem. John wszedł już w rolę głowy rodziny i poganiał wszystkich.

Wprawdzie Wiktoria podejrzewała, że celowo przesadnie odgrywa tę rolę, niemniej jednak była mu za to wdzięczna. Samochód już czekał, w nim walizka Johna, a on sam pojawił się na śniadaniu w zupełnie nowym wcieleniu. Zamiast wygodnego, sportowego ubioru, jaki nosił na co dzień – ubrał się w uroczysty garnitur i krawat.

Wraz ze zmianą stroju zmienił także styl bycia. Nie był to już dotychczasowy brat łąta, ale człowiek nawykły do rządzenia, z którym należało się liczyć. Dawało to Wiktorii poczucie bezpieczeństwa, jakby rodzaj gwarancji, że wszystko będzie dobrze: w drodze nie złapią gumi, nie zgubią biletów, na dworcu zastaną bagażowych, nie spóźnią się na pociąg i będą na nich czekać zarezerwowane miejsca.

- Czas już na nas - ponaglał John.

Ellen wsadziła Tomkowi do ust ostatni kawałek grzanki,

wytarła buzię i zsadziła z wysokiego krzesełka. Chłopczyk miał na sobie ogrodniczki w kratę i niebieski sweterek, które kupiła mu Jess w małym sklepiku w Creagan. Sklepik należał do jej szwagierki, więc miała tam rabat. Oprócz tego kupiła Tomkowi brązowe sznurowane buciki i niebieski skafander w czerwone pasy. Ellen gładko wyszczotkowała jego złotorude włoski. Chciała ucałować go na pożegnanie, ale wstydziła się zrobić to przy ludziach. Jej oczy miały specyficzną właściwość - często bywały mokre. Ellen nigdy nie płakała, a winą za łzawienie oczu obarczała zwykle wiatr lub katar sienny.

- Już jesteśmy gotowi - oświadczyła, stawiając Tomka na podłodze.

Ubrała małego w nową kurtkę i pochyliła się, by zaciągnąć zamek błyskawiczny.

Wszyscy powstali z miejsc. Wiktoria dopiła ostatni łyk kawy, a Roddy niezdecydowanie drapał się w głowę. Nie wyglądał na tak rozżalonego, jak teoretycznie mógłby być. Widać jakoś otrząsnął się z szoku wywołanego pożarem i utratą mienia. Okazało się, że był całkiem dobrze zorganizowany - odbył już rozmowę z przedstawicielem towarzystwa ubezpieczeniowego i zaczął mościć sobie przytulne gniazdko w Wielkim Domu. Zajął sypialnię po swoim bracie, a teraz, beztrąsco jak zawsze, dorzucał drewno do ognia na kominku w bibliotece. Wprawdzie ten kominek był wyposażony w kamienne palenisko i metalową ramę, jednak dla pewności Roddy postanowił zaopatrzyć go w dodatkową kratę. Widział gdzieś reklamę czegoś takiego i zdecydował się ją zamówić.

- M u s i m y już jechać! - powtórzył z naciskiem John.

Na to hasło wszyscy wyszli przed dom, pozostawiając w kuchni resztki śniadania.

Na dworze było chłodno, lecz pogodnie, powietrze świeże i przejrzyste, ogród, jezioro i wzgórze za nim doskonale widoczne. Nadszedł czas rozstania z tym ciepłym, przyjaznym domem, ale i z żałosnymi zgliszczami

domku Roddy'ego. Dlatego Wiktoria nie była pewna, czy jest to pożegnanie z sennym marzeniem czy z sennym koszmarem. Odpowiedź mógł przynieść tylko czas.

Zwróciła się do Roddy'ego, który serdecznie ją uści-skał.

- Przyjedź jeszcze do nas! - powtarzał, całując ją w oba policzki.

Tymczasem Tomek, zachwycony perspektywą podróży samochodem, wśliznął się na tylne siedzenie, wyciągnął z torby swoją lokomotywę i zaczął się nią bawić.

- Do widzenia, Ellen - zwróciła się Wiktoria do starej kobiety.

- Miło mi było panią poznać - wyrecytowała Ellen, wyciągając czerwoną, spracowaną rękę.

- Byłyście dla mnie takie dobre, i ty, i Jess. Nie wiem, jak wam dziękować...

- Dobra, jedźcie już! - ucięła szorstko Ellen. - John czeka.

Johnowi okazała więcej uczucia, pozwalając pocałować się na pożegnanie. Aby go dosięgnąć, musiała stanąć na palcach, a potem pospiesznie zaczęła szukać chusteczki w rękawie.

- Ależ wietrzysko! - zamruczała, nie zwracając się do żadnej konkretnej osoby. - Znowu mi z oczu cieknie!

- Roddy... - zaczął John.

- Do widzenia, chłopcze! - Ucisnęli sobie ręce, uśmiechając się do siebie, jak ludzie, których połączyły ciężkie przejścia.

- Jeszcze tu przyjadę, ale zawczasu dam ci znać.

- Przyjeżdżaj, kiedy tylko zechcesz!

I tak skończyły się pożegnania. Wiktoria i John wsiedli do wozu, zapięli pasy, John zapuścił silnik i ruszył. Wiktoria ledwo zdążyła pomachać ręką Roddy'emu i Ellen, którzy stali na podjeździe przy białą chusteczką. W następnej chwili straciła ich z oczu, bo za szpalerem różaneczników droga skręcała.

- Nie cierpię pożegnań - podsumowała Wiktoria.
- Ani ja - dorzucił John, patrząc uważnie na szosę przed sobą, bo jechał bardzo szybko.

Na tylnym siedzeniu Tomek bawił się swoją lokomotywką, tocząc ją tam i powrotem, i podśpiewując coś po swojemu.

* * *

Tomek bawił się lokomotywką także i w pociągu, wyjąwszy krótkie przerwy, kiedy spał, wyglądał przez okno, załatwiał swoje potrzeby, jadł lunch i podwieczorek. Im dalej na południe, tym pogoda bardziej się psuła. Zaraz po przekroczeniu granicy Szkocji zachmurzyło się i zaczęło padać. Góry zostały w Szkocji, krajobraz stawał się coraz bardziej równinny i jednostajny. Im większą nudą wiały połacie rozmiękłych i przeraźliwie płaskich pól uprawnych - w tym gorszy nastrój wpadała Wiktoria.

Nagle doszła do wniosku, że z odległości ponad tysiąca kilometrów wszystko wydawało się proste i jasne, a im była bliżej celu, tym mniej była przygotowana na to, co ją czeka.

Nie chodziło nawet o to, co zrobi z resztą życia, bo przypuszczalnie wszystko jakoś się ułoży. O Ohverze w tej chwili nie myślała. Wmawiała sobie, że prędzej odzyska równowagę psychiczną, kiedy już znajdzie się w swoim mieszkaniu, wśród ulubionych przedmiotów. Wbrew pozorom, takie rzeczy czasem wywierają wręcz zbawienny wpływ. Dobrze jej także robi, jeśli zwierzy się komuś bliskiemu, na przykład Sally. Z nią byłaby w stanie rozmawiać nawet o Ohverze. Sally ma takie zdrowe podejście do życia i męskich wybryków, że na pewno pomoże jej sprowadzić cały incydent do właściwych wymiarów.

Dużo gorsza była perspektywa dostarczenia Tomka do Archerów, co oznaczało rozstanie z nim na zawsze. Wiktorii trudno było wyobrazić sobie, co powie dziadkom

chłopca. Natomiast z łatwością mogła przewidzieć, co oni powiedzą jej, jako współpracownicy OHvera.

Mogły pojawić się jeszcze dodatkowe trudności. Co będzie, jeżeli na przykład Tomek nie zechce zostać u dziadków? Jeżeli na sam ich widok histerycznie się rozpłaczę i przyłgnę kurczowo do Wiktorii?

Teoretycznie było to możliwe, gdyż przez te dwa tygodnie chłopczyk był taki szczęśliwy, zdążył się do niej przyzwyczaić i związać z nią uczuciowo. Wiktoria czuła się rozdarta wewnątrz. Z jednej strony pragnęła, aby Tomek potrzebował jej tak samo, jak ona jego; z drugiej zaś wzdrygała się na samą myśl o jakichkolwiek scenach przy pożegnaniu.

Tymczasem Tomek siedział na przeciwległym siedzeniu przedziału pierwszej klasy, z nogami wyciągniętymi przed siebie i rozczochraną główką opartą o ramię Johna. Ten zabawiał chłopca, rysując mu flamastrem zwierzaki na różowych, wewnętrznych stronach „Financial Timesa”. Narysował już konika i krówkę, a teraz rysował świnkę.

- O, popatrz, Tomeczku, tu świnka ma ryjek. Tym ryjkiem szuka sobie w ziemi dobrych rzeczy do jedzenia. A tu ma taki zakręcony ogonek...

Buzia Tomka rozpromieniła się w radosnym uśmiechu i wygodniej usadowił się przy boku Johna.

- Jeście! - zażyczył sobie, po czym wsadził palec do buzi.

Wiktoria wolała zamknąć oczy i oprzeć głowę o zalane deszczem okno. Kiedy miała zamknięte oczy, łatwiej przychodziło jej powstrzymywanie płaczu.

* * *

Zanim dojechali na dworzec Euston, zrobiło się ciemno. Tomek zasnął, więc Wiktoria wzięła go na ręce, a John niósł swoją walizkę. Wyszli na peron i wmieszali się w tłum pasażerów. Bagażowi z wózkami i kierowcy ambulansów pocztowych radzili sobie doskonale w tym rozgardiaszu.

Wiktoria czuła się zmęczona, zwłaszcza że Tomek miał swoją wagę. A tu jeszcze trzeba przebyć całą długość peronu i ustawić się w kolejce do taksówek...

Okazało się jednak, że nie doceniała Johna Dunbeatha. Z tłumu wyłonił się nagle mężczyzna w szarej liberii i mundurowej czapce.

- Dobry wieczór, szefie.

- To ty, George? Jesteś niezawodny. Skąd wiedziałeś, gdzie nas szukać?

- Dowiedziałem się od kontrolera biletów, że najpewniej wysiądą państwo z tamtej strony.

Nie tracąc czasu, George przejął walizkę z rąk Johna, który mógł teraz uwolnić Wiktorię od ciężaru Tomka. Oboje poszli w ślad za schludnie umundurowanym pracownikiem.

- Kto to jest? - dyskretnie podpytywała Wiktoria, próbując dotrzymać kroku długim nogom Johna.

- To nasz firmowy kierowca. Prosiłem moją sekretarkę, aby wysłała go po nas.

- To znaczy, że przyprowadził samochód?

- Myślę, że nawet mój.

I rzeczywiście, kiedy wyszli z dworca, George znikł na chwilę, lecz zaraz podjechał wozem marki Alfa Romeo. Natychmiast z niego wysiadł, aby mogli wsiąść John ze śpiącym Tomkiem na rękę i Wiktoria.

- Dziękuję ci, George, świetnie się spisałeś. Tylko jak ty teraz wrócisz?

- Żaden problem, szefie. Pojadę metrem.

- W każdym razie bardzo ci dziękuję.

- Cała przyjemność po mojej stronie, szefie.

- Jak to miło - wtrąciła Wiktoria.

- Miło z jego strony? No pewnie!

- Tak, ale nie tylko. Miło jest wtedy, kiedy ktoś na nas czeka i nie musimy szukać taksówki ani • tłoczyć się w metrze. I miło jest zobaczyć znajomą twarz w takim tłumie jak tutaj.

- Tym właśnie różnią się podróże od powrotów - John wygłosił patetyczną sentencję, ale Wiktorja dobrze rozumiała, co miał na myśli.

Skierowali się na zachód i po trzech kwadransach szybkiej jazdy po mokrej od deszczu szosie zjechali w boczną drogę do Woodbridge. Krajobraz był tu już bardziej urozmaicony, pojawiły się małe działki ogrodzone żywopłotami i podmokłe łąki, na których rosły wierzby. Tu i ówdzie świeciły się okna małych domków z czerwonej cegły. Kiedy przejeżdżali przez wiadukt, akurat pod spodem śmignął pociąg.

- To przynosi szczęście - zauważył John.

- Co takiego?

- Kiedy jedziesz wiaduktem, a równocześnie przejeżdża pociąg.

- I co jeszcze przynosi szczęście? - dopytywała się, bo bardzo jej to było teraz potrzebne.

- Na przykład, jeśli ty wyślesz do kogoś list, a ta osoba do ciebie i listy się miną. Podobno to bardzo dobra wróżba.

- Chyba nigdy mi się to nie zdarzyło.

- Szczęście przynoszą także czarne koty*, podniesione z ziemi szpilki i księżyc w nowiu.

- Kiedy paliło się Benchoile, księżyc też był w nowiu!

- No to księżyc możemy pominąć.

Przed nimi zabłysły już światła miasteczka i tablica z napisem „Woodbridge”. Szosa w tym miejscu skręcała, przechodząc w łagodnie opadającą główną ulicę miasteczka. John zwolnił. Minęli sklepy, bar z podświetlonym szyldem i kościół otoczony kamiennym murem.

- Nie wiemy, gdzie oni mieszkają - odezwała się Wiktorja.

- Wiemy, wiemy. To dom z czerwonej cegły po prawej

* W Anglii uważa się, że czarne koty przynoszą szczęście, odwrotnie niż u nas (przyp. tłum.).

stronie ulicy, ma żółte drzwi i jest to jedyny trzypiętrowy budynek w okolicy. O, to ten.

Podjechał do krawężnika. Wprost z chodnika wiodły schodki do drzwi wejściowych. Drzwi zdobiło wachlarzowe okienko, a w wysokich oknach domu pałło się światło.

- Skąd wiedziałeś, że to ten dom? - zainteresowała się Wiktoria.

- Po prostu zadzwoniłem do pani Archer i zapytałem, jak do nich trafić.

- Była bardzo wściekła?

- Przeciwnie, bardzo uprzejma.

John wyłączył silnik i otworzył drzwiczki po swojej stronie. W tym momencie obudził się Tomek, wytracony ze snu nagłym zatrzymaniem wozu. Ziewał, tarł oczy i rozglądał się z miną człowieka, któremu zrobiono świński kawał. Przez cały czas ścisnął drewnianą lokomotywkę.

- Jesteś w domu, Tomeczku - poinformowała go Wiktoria. Przygładziła mu włosy, żeby choć trochę porządnie wyglądał.

Tomek mrugał zaspanymi oczkami i gapił się w ciemność, gdyż najwyraźniej słowo „dom” niewiele dlań znaczyło. Tymczasem John otworzył drzwiczki od strony Wiktorii i zdjął Tomka z jej kolan. Sięgnęła jeszcze na tylne siedzenie po papierową torbę z rzeczami Tomka.

Razem stanęli przed żółtymi drzwiami i John nacisnął dzwonek. Niemal w tej samej chwili usłyszeli za drzwiami kroki, jakby ktoś już na nich czekał. Drzwi otworzyły się i światło z holu padło na stojących, jak reflektor oświetlający aktorów na scenie.

- Dobry wieczór. Jestem John Dunbeath.

- Ach, to pan! - W progu stał sympatyczny mężczyzna około sześćdziesiątki, siwowłosy, niewysoki, o miłej aparycji. Nie próbował bynajmniej wyrwać rączki Tomka z dłoni Johna, tylko spojrzał na chłopca i luźno rzucił:

- Cześć, staruszkule! - Potem cofnął się i zaprosił przybyłych: - Proszę bardzo, wejdźcie państwo do środka.

Kiedy weszli, zamknął za nimi drzwi. John postawił Tomka na podłodze, a starszy pan zapowiedział:

- Pójdę zawołać żonę, bo chyba nie słyszała dzwonka...

Musiała jednak go usłyszeć, gdyż pojawiła się w przeciwnym końcu holu. Miała srebrnobiałe loki i taką cerę, że wyglądałaby młodo jeszcze po osiemdziesiątce. Ubrana była w niebieską spódnicę, taki sam rozpinany sweter i różową bluzkę z kokardą pod szyją. W rękę trzymała zdjęte z nosa okulary. Wiktoria wyobraziła sobie, jak niecierpliwie musiała czekać na Tomka, próbując wypełnić czas lekturą lub rozwiązywaniem krzyżówki.

W tym momencie nastąpiła chwila ciszy. Starsza pani i Tomek mierzyli się wzrokiem z przeciwległych końców holu, aż ona uśmiechnęła się pierwsza. Schyliła się, opierając dłonie na kolanach, i zagadała do małego:

- A kto to czeka na Tomeczka w domciu?

Wiktoria była cała spięta, ale okazało się, że bezpodstawnie. Po chwili milczenia Tomek jakby nagle zrozumiał, co się właściwie dzieje. Na jego różowej buzi rozlał się wyraz absolutnej euforii. Nabrał w płuca olbrzymią porcję powietrza i wypuścił je wraz z pierwszym pełnym zdaniem, jakie w życiu wypowiedział:

- To apcia Tomecka!

Rzucił się ku babci, która porwała go w objęcia. To, co teraz nastąpiło, miało w sobie duży ładunek uczuciowy. Pani Archer śmiała się i płakała na przemian, ściskając swego wnuczka. Jej mąż wyciągnął chusteczkę i wysiąkał nos.

Z piętra zbiegła młoda dziewczyna, pulchna i różowa jak krew z mlekiem. Jakoś udało się jej przekonać panią Archer, żeby wypuściła z rąk Tomka, i sama porwała go na ręce. Kiedy wreszcie postawiła chłopca na podłodze - podreptał do dziadka, który przestał pociągać nosem

i zaczął podrzucać wnuka wysoko, jak to zwykle robią mężczyźni. Tomek był z tego najwyraźniej zadowolony.

W tym czasie Wiktoria i John stali z boku i przyglądali się tej rozczulającej scenie. Wiktoria miała ochotę dyskretnie się wycofać, zanim ogólna radość ustąpi miejsca prentensjom. Obawiała się jednak, że byłoby to niegrzeczne.

Tym, kto ostatecznie przerwał ceremonie powitalne, okazał się Tomek. Wyśliznął się z ramion dziadka i zdecydowanym krokiem pomaszerował ku schodom wiodącym do jego pokoju. Pamiętał przecież, że zostały tam wspaniałe zabawki!

Rozsądni dziadkowie nie przeszkadzali mu w tym, a młoda opiekunka podążyła za nim. Kiedy znikli za zakrętem schodów, Wiktoria pociągnęła Johna lekko za rękaw. Nie wiadomo, czy pani Archer zauważyła ten znak, ale nie dała tego po sobie poznać.

- Przepraszam, że tak państwa trzymałam - odezwała się w końcu, ocierając ostatnie łzy szczęścia i wydmuchując nos w koronkową chusteczkę. - Chodźmy się czegoś napić.

- Ależ my naprawdę musimy już jechać... - zaczęła Wiktoria, ale pani Archer nie dała jej skończyć.

- M u s i c i e państwo zostać, choćby na chwilę. Proszę usiąść tu, przy kominku. Edwardzie, pan Dunbeath na pewno chciałby się czegoś napić.

Nie mieli więc wyjścia, musieli iść za nią do salonu, przytulnie urządzonego meblami obitymi francuskim kretonem. W staroświeckim kominku migotał ogień, na fortepianie ustawiono całą kolekcję rodzinnych fotografii, a całości dopełniały gustownie wyeksponowane kwiaty i poduszki, na których chyba nikt nie siadał.

W tej ciepłej i przyjaznej atmosferze Wiktoria nieco się odprężyła, tym bardziej że pani Archer była jej przede wszystkim wdzięczna. Panowie wyszli przynieść drinki, toteż przez chwilę obie kobiety zostały same. Wiktoria odważyła się ostrożnie usiąść na kanapie, a pani Archer, o dziwo, nie zatroskała się o poduszki.

- Zapali pani? - zaproponowała. - Ach, pani nie pali! Na pewno jest pani zmęczona po całym dniu drogi, w dodatku z takim żywym dzieckiem jak Tomek...

Wiktoria zorientowała się, że pani Archer jest równie zdenerwowana jak ona. Kompletnie ją stropiło to, że stara dama zachowuje się zupełnie inaczej, niż się spodziewała.

- Ależ skąd, to takie grzeczne dziecko - zaprotestowała.
- Przez cały czas zachowywał się bardzo dobrze.

- Czy to pani jest tą Wiktoria, która napisała ten miły list?

- Tak, to ja.

- Bardzo ładnie, że pani o nas pomyślała.

- OHver był za to na mnie wściekły.

- Przepraszam, że tak wyszło. Sama nigdy nie próbowałabym szukać z wami kontaktu, ale mąż przeczytał ten list i tak się zdenerwował, że nie byłam w stanie wyperswadować mu telefonu do Benchoile. Na ogół zawsze udaje mi się postawić na swoim, ale tym razem po prostu nie mogłam go powstrzymać.

- Nic się nie stało.

- To chwała Bogu. Prawdę mówiąc, Edward nigdy nie przepadał za OHverem, nawet kiedy ożenił się z Jeannette. Natomiast bardzo kochał Tomka, więc może sobie pani wyobrazić, co się działo, kiedy OHver pojawił się tu ni stąd, ni zowąd i wykradł małego. Biedna Helga dostała ataku hysterii, jakby to była jej wina. Edward odgrażał się, że naśle na Olivera policję, ale nie mieliśmy pojęcia, gdzie on może być z dzieckiem. Przeżyliśmy piekło!

- Mogę to sobie wyobrazić.

- Mam nadzieję, że tak. - Pani Archer odchrząknęła, bo zaschło jej w gardle. - Pani... znajomy, pan John Dunbeath, wczoraj do mnie zadzwonił i powiedział, że przywieziecie Tomka. Powiedział też, że Oliver wyjechał do Stanów.

- To prawda.

- Czy ma to związek z jego sztuką?

- Tak - potwierdziła Wiktoria.
- Myśli pani, że on wróci?
- Kiedyś może wróci, ale nie przypuszczam, żeby jeszcze raz przypomniał sobie o Tomku. Nie, żeby go nie kochał, ale Oliver po prostu nie nadaje się do roli ojca.
- Ani do roli męża, kochanie - zaznaczyła delikatnie pani Archer.

Na jej spojrzenie Wiktoria odpowiedziała uśmiechem.

- Też mi się tak wydaje, ale nie wiem, co mam o tym myśleć.
- Ten człowiek niszczy wszystko, czego się dotknie - zauważyła pani Archer.

Może nikt inny tak by się nie wyraził, ale Wiktoria wiedziała, że to prawda. Wiedziała jednak także i coś więcej.

- Ale mnie nie zniszczył - oświadczyła stanowczo.

Tymczasem wrócili mężczyźni. Pan Archer niósł na tacy butelki i szklanki, a John syfon z wodą sodową. Rozmowa przeszła teraz na bardziej przyziemne tematy, jak różnica między pogodą w Szkocji a w Hampshire, notowania giełdowe czy różnica kursów dolara i funta. John bez pytania podał Wiktorii szklankę whisky z wodą sodową. Ten drobny gest sprawił jej dużą przyjemność. Wobec Johna czuła głęboką wdzięczność i dostrzegała coraz to nowe jego zalety. I tak, zauważyła jego niezwykłą wrażliwość na problemy innych ludzi. Był chyba najbardziej życzliwym człowiekiem, jakiego znała. Nie słyszała nigdy, aby o kimkolwiek powiedział coś obraźliwego. Wprawdzie nazwał OHvera skurwielem, jednak było to po jego ucieczce do Ameryki, która nie pozostawiała już żadnych złudzeń co do intencji jej byłego przyjaciela.

Teraz obserwowała Johna, pogrążonego w rozmowie z Archerami. Twarz o wydatnych rysach miała wyraz powagi, lecz raz po raz rozjaśniał ją uśmiech. Do tego te czarne, krótko przystryżone włosy i gorące, czarne oczy... Po całym dniu spędzonym w drodze, z małym dzieckiem

na karku, nie zdradzał żadnych oznak zmęczenia. Był pełen życia jak w chwili wyjazdu z Benchoile. Tej pogody ducha zazdrościła mu najbardziej, gdyż tego właśnie jej brakowało.

Ten człowiek nie poddawał się przeciwnościom! Mimo nieudanego małżeństwa nie zgorzkniał i zawsze wierzył, że wszystko będzie dobrze. Może dlatego, że lubił ludzi i był lubiany. Chyba dzięki tej naturalnej życzliwości udało mu się nawet przez telefon przetrzeć szlak dla Wiktorii, nastawiając do niej pozytywnie panią Archer.

Tyle tylko że nie było już czasu, aby zacząć wyciągać wnioski z tych obserwacji. Niedługo trzeba będzie się żegnać. Pewnie John odwiezie ją do Londynu i wysadzi pod drzwiami jej domu w zaułku Pendleton. Nie będzie mogła zwabić go na górę pod pretekstem pomocy w dźwiganiu bagażu, gdyż nie ma żadnego bagażu. Pewnie więc tylko powiedzą sobie: „Do widzenia”. Może John nawet ją pocałuje i rzuci przyjaźnie: „No to trzymaj się”.

I tak skończy się epizod związany z Johnem Dunbeathem. On rzuci się znów w wir wytężonej pracy, o której charakterze Wiktorii nie miała pojęcia. Przypomniała sobie natomiast, że ma dziewczynę, która nie mogła przyjść z nim wtedy na koktajl do Fairburnów. Pewnie pierwszą czynnością Johna po powrocie na własne śmieci będzie telefon do niej. Obwieści jej, że jest już z powrotem w Londynie i umówi się z nią na kolację nazajutrz, aby opowiedzieć o wszystkich swoich przeżyciach. Na co ona entuzjastycznie wykrzyknie: „Kochanie, ależ to cudowne!” Wiktorii wyobraziła ją sobie jako Imogenę Fairburn w młodszym wydaniu - równie piękną, inteligentną i wyrefinowaną.

- Nie możemy już państwu zajmować więcej czasu - oświadczył John, odstawiając pustą szklankę. - Na pewno zechcecie jeszcze nacieszyć się Tomkiem, zanim pójdzie spać.

Kiedy i Archerowie wstali ze swych miejsc, Wiktorii

musiała oderwać się od rozmyślań i wrócić do rzeczywistości. Trudno jej było podnieść się z głębokiego siedzenia kanapy, co natychmiast zauważył John. Odebrał od niej pustą szklankę i podał rękę, pomagając wstać.

- Może byście państwo coś zjedli? - zaproponowała pani Archer.

- Dziękujemy, ale naprawdę musimy już jechać. Dzisiejszy dzień był i tak pełen wrażeń.

Kiedy byli w holu, pani Archer zagadnęła Wiktorię:

- Może chciałaby pani pożegnać się z Tomkiem?

- Nie! - odpowiedziała stanowczo Wiktoria, ale zaraz, w obawie, że mogło to zabrzmieć opryskliwie, pośpieszyła z wyjaśnieniami: - Myślę, że nie trzeba go stresować. Tak się cieszył z powrotu do domu, że... no, lepiej będzie, jeżeli już sobie pójdę.

- Chyba pani zdążyła go bardzo polubić - zauważyła pani Archer.

- O, tak! - W tym momencie Wiktoria zdała sobie sprawę, że wszyscy patrzą na nią, więc się zarumieniła. - Myślę, że tak...

- Chodźmy już. - John znalazł wyjście z kłopotliwej sytuacji, otwierając drzwi od frontu.

Wiktoria pożegnała się z panią Archer. Była zaskoczona, że starsza pani serdecznie ją ucałowała.

- Pani tak wspaniale opiekowała się Tomkiem. Widzę, jest zdrowy i zadowolony! Nie wiem, jak mam pani dziękować. Myślę, że ta mała przygoda mu nie zaszkodziła.

- Też tak sędzę.

- Może kiedyś, jak będzie lepsza pogoda, przyjedzie pani do nas na weekend. Mogłaby pani zjeść z nami lunch i zabrać Tomka na spacer... - W tym momencie przypomniała sobie o Johnie i dodała: - Pan też, panie Dunbeath.

- To bardzo miło z państwa strony - odparł John.

* * *

- Czemu tak cicho siedzisz?
- Staram się znów nie rozpłakać.
- Możesz płakać, mnie to nie przeszkadza.
- W takim razie nie będę. Wiesz, że to ciekawe - kiedy wiem, że mogę śmiało płakać, bo nikomu to nie będzie przeszkadzać, wtedy odechciewa mi się.
- A czy chciało ci się płakać z jakiegoś szczególnego powodu?
- Głównie z powodu Tomka.
- No, tu już nie masz żadnych powodów do płaczu. Jasne, że będzie ci go brakowało, ale Tomek odzyskał swój dom i jest otoczony kochającymi go ludźmi. Widziałaś jak zareagował na widok babci?
- Wtedy naprawdę zbierało mi się na płacz.
- Mnie też ścisnęło w gardle. Ale sama widzisz, że nie rozstajesz się z nim na zawsze. Pani Archer cię polubiła, będziesz mogła go widywać, kiedy zechcesz.
- Oni oboje byli tacy mili!
- A myślałaś, że nie będą?
- Już sama nie wiem, co myślałam. - Po chwili milczenia coś sobie przypomniała. - Nie powiedziałam pani Archer ani słowa o pożarze.
- Ale ja wspomniałem o tym panu Archerowi, kiedy poszliśmy po szkło do kredensu. Nadmieniłem tylko krótko, co się stało, ale wcale nie przesadziłem mówiąc, że Tomek mógł spalić się na popiół.
- No wiesz!
- Przecież mam prawo mieć własny pogląd na to, co mogłoby się stać.
- Ale nic takiego się nie stało!
- No i chwała Bogu.

Nastąpiła chwila ciszy. Jechali teraz w przeciwną stronę niż przedtem. Przez cały czas padała drobna mżawka, tworząc w powietrzu mgiełkę. Wycieraczki bez przerwy poruszały się, zgniając wodę z szyby. Ciszę przerwała Wiktoria:

- Mogłabym też płakać za Benchoile.
- Co za dziewczyna, która sama szuka sobie powodów do płaczu!

- Bo przykro mi było stamtąd wyjeżdżać!

John nie skomentował tej wypowiedzi. Prowadził wóz dosyć szybko po krętej drodze, aż w którymś momencie minął znak drogowy informujący, że w pobliżu znajduje się parking. Wtedy zwolnił, zjechał z szosy na parking, zaciągnął hamulec ręczny i wyłączył silnik, a wraz z nim - wycieraczki. W ciszy, jaka zapanowała, słysząc było tylko szum deszczu i tykanie zegara w desce rozdzielczej. Wiktoria rzuciła Johnowi trwożne spojrzenie.

- Dlaczego stoimy?

- Nie bój się, nie mam zamiaru cię zgwałcić - uspokoił ją, zapalając światło wewnątrz samochodu. - Chciałbym po prostu z tobą porozmawiać, zapytać o pewne sprawy. I chciałbym widzieć twoją twarz, kiedy będziesz odpowiadała na moje pytania. Widzisz, zanim zrobię następny krok, muszę mieć stuprocentową pewność co do osoby OHvera Dobbsa.

- Przecież mówiłeś, że nie chcesz więcej słyszeć tego nazwiska.

- Bo nie chcę. Niech to będzie ostatni raz.

- Pani Archer bardzo mądrze go podsumowała. Nie wiedziałam, że to taka rozsądna osoba. Powiedziała, że on niszczy wszystko, czego się dotknie.

- A co ty na to?

- Odpowiedziałam, że mnie w każdym razie nie zniszczył.

- Czy to prawda?

Wiktoria zawahała się przez chwilę. Ale kiedy w końcu odrzekła: „Tak”, wypowiedziała to z uśmiechem i z takim przekonaniem, że Johnowi serce zabiło mocniej.

- Tak, to prawda - kontynuowała. - Może przez cały czas w głębi serca wiedziałam, że tak jest, ale nie przyznawałam się sama przed sobą? Podobno każdy musi raz

w życiu nieszczęśliwie się zakochać, więc pewnie właśnie przez to przeszłam.

- A co będzie, jeśli on wróci z tej Ameryki?

- Nie wydaje mi się, aby wrócił. Ale gdyby nawet, to nie chciałabym go więcej widzieć.

- Dlatego, że sprawił ci zawód, czy ponieważ przestałeś go kochać?

- Chyba przestałam go kochać już w Benchoile. Nie umiem powiedzieć dokładnie, kiedy to się stało, ale nie od razu. To narastało we mnie stopniowo... - Wspomogła te słowa nieokreślonym gestem ręki. - Teraz myślę, że już go nawet nie lubię.

- To by było na tyle, jeśli chodzi o Olivera Dobbsa - podsumował John. - Teraz możemy przejść do innych tematów. Przed chwilą powiedziałaś, że chce ci się płakać za Benchoile. Sądzę więc, że to dobry moment, aby ci powiedzieć, że nie masz powodu do płaczu. Będiesz mogła tam wrócić, ilekroć zechcesz, bo nie zamierzam sprzedawać Benchoile. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

- Jak to? Przecież mówiłeś...

- Zmieniłem zdanie.

Wiktoria spojrzała na niego tak, jakby miała zamiar jednak się rozpłakać, ale zamiast tego wybuchnęła śmiechem.

- Och, Johnie! - zawołała, zarzucając mu ręce na szyję, i ogniście ucałowała w policzek.

Oczywiście był tym zachwycony, lecz i zaskoczony jej spontanicznym wybuchem radości. Przypuszczał, że sprawi jej przyjemność, ale nie spodziewał się, że tak gwałtownie ją okaże.

- Uważaj, udusisz mnie! - burknął z udawanym gniewem.

- Nie sprzedajesz Benchoile! Zatrzymasz je! Wspaniały jesteś! - Piszcząca jak uradowane dziecko.

Teraz on też otoczył ją ramionami i przyciągnął mocno do siebie. Poczul wiotkie, drobnokościste ciało i jedwabistą miękkość blond włosów przy swoim policzku.

- A mówiłeś, że to gospodarstwo jest nieopłacalne i bez twojego stryja Jocka Benchoile popadnie w ruinę - przypomniała mu, próbując się odsunąć, jednak trzymał ją mocno.

- Powiedziałem ci już, że zmieniłem zdanie. Spróbuję je utrzymać przynajmniej przez jakiś rok, żeby zobaczyć, co się da zrobić.

- A co spowodowało, że zmieniłeś zdanie?

- Sam dobrze nie wiem. - Kwestia ta wprawiła go w pewne zakłopotanie. - Może to ten pożar? Jakoś tak jest, że człowiek nie zdaje sobie sprawy, jak coś jest dla niego drogie, dopóki mu nie grozi, że to straci. Tamtej nocy myślałem już, że wszystko pójdzie z dymem. I rzeczywiście łaska boska, że Wielki Dom nie spłonął do fundamentów. Później, kiedy już było po wszystkim, wyszedłem na dwór i dziękowałem Bogu, że dom stoi na swoim miejscu. I chyba nic w życiu mnie tak nie ucieszyło!

- A kto będzie tym zarządzał?

- Roddy na spótkę z Daveyem Guthrie'em. I jeszcze dobierzemy im kogoś do pomocy.

- Roddy?

- Tak, przecież to właśnie ty zwróciłaś mi uwagę, że Roddy więcej wie o tej ziemi, niż nam się wydaje, i że ja nie nauczyłbym się tego za sto lat. Tyle tylko że dotąd był za leniwy, aby swoją wiedzę stosować w praktyce, a zresztą nie musiał, bo Jock zawsze myślał za niego. Wydaje mi się, że teraz będzie miał motywację, aby przestać pić. Zobaczysz, zadziwi nas wszystkich.

- A gdzie on będzie mieszkał?

- W Wielkim Domu razem z Ellen. Tym sposobem rozwiążemy oba problemy za jednym zamachem. Na pewno będą się wечно handryczyć, ale w Wielkim Domu jest tyle miejsca, że może nie pozabijają się nawzajem... Przynajmniej mam taką nadzieję - dodał po chwili namysłu.

- Naprawdę wierzysz, że to się uda?

- Tak jak powiedziałem, poczekam rok. Jednak wierzę, że się uda. Mało tego, mój ojciec też tak uważa.

- Skąd wiesz, co o tym myśli twój ojciec, który jest aż w Colorado?

- Wczoraj rano zadzwoniłem do niego i długo rozmawialiśmy na ten temat.

Wiktoria zrobiła wielkie oczy.

- To chyba cały ranek wisiłeś przy telefonie?

- Dla mnie to normalka. W mojej firmie większość spraw załatwia się telefonicznie.

- Mimo to trudno mi wyobrazić sobie rozmowę z kimś w Colorado.

- Musisz kiedyś spróbować.

A więc przynajmniej na razie Benchoile nie zmieni właściciela. Może John ma rację i Roddy rzeczywiście rozpocznie nowe życie? W końcu ma dopiero sześćdziesiąt lat. Niewykluczone, że schudnie, opali się, nabierze lepszej formy fizycznej, zacznie chodzić po górach, ścinać drzewa i zamieni się w krzepkiego wieśniaka. Nie była to wizja zbyt przekonująca, ale teoretycznie możliwa. Może też zacznie prowadzić bardziej intensywne życie towarzyskie, wydawać przyjęcia i gościć przyjezdnych? Ellen zdjęłaby wtedy pokrowce z mebli w salonie i zawiesiła nowe firanki. Ktoś rozpaliłby w kominku, po salonie kręciliby się goście w strojach wieczorowych, a Roddy grałby na fortepianie i śpiewał swoje stare piosenki...

Ożywiona tymi wizjami, Wiktoria stanowczo oświadczyła:

- Jestem pewna, że się uda. Musi się udać!

- Tak i mnie się wydaje, a więc mamy już z głowy Olivera Dobbsa i Benchoile. Teraz możemy zająć się ważniejszymi sprawami.

- Jakimi?

- Nas obojga. - Wiktoria od razu nastroszyła się, ale zanim zdążyła zaprotestować, John ciągnął dalej: - Myślę, że moglibyśmy zacząć wszystko od początku. Kiedy spot-

kaliśmy się po raz pierwszy, chyba ruszyliśmy nie z tej nogi, co trzeba. Dopiero po tych wszystkich przeżyciach złapaliśmy właściwy rytm. Musimy więc nadrobić zaległości, a pierwszą z nich jest to, że dotąd nie zaprosiłem cię na kolację. Proponuję więc, żebyśmy gdzieś poszli, jak tylko dotrzemy do Londynu. Możemy pojechać od razu do knajpy, tak jak stoimy. Jeśli wolałabyś najpierw umyć się i przebrać, zawiozę cię do twego domu i przyjadę po ciebie później. Ewentualnie możemy pojechać do mnie, napić się czegoś i dopiero pójść na kolację. Jak widzisz, mamy do wyboru wiele wariantów. Pewne w tym wszystkim jest tylko to, że chcę być z tobą. Nie chcę się z tobą rozstać, jasne?

- Ależ naprawdę jesteś zbyt uprzejmy. I nie chciałabym, żebyś się nade mną litował.

- Nie jestem wcale uprzejmy. Odwrotnie, jestem pasukudnym egoistą, gdyż proponuję ci to, czego sam pragnę bardziej niż czegokolwiek. Zawsze wiedziałem, że kiedyś znów się zakocham, tylko nie przypuszczałem, że to stanie się w takich okolicznościach i tak szybko. Natomiast absolutnie nie chcę, żebyś angażowała się w nowy związek uczuciowy, dopóki nie dojdiesz do siebie po tamtych przeżyciach i nie oswoisz się z taką możliwością.

„Nie chcę się z tobą rozstać...” - te słowa dźwięczały Wiktorii w uszach. Przemknęło jej przez myśl, że gdyby to był film - w tym miejscu powinna zabrzmieć cikliwa, nastrojowa muzyka. Mogłaby towarzyszyć jej kaskada spadających gwiazd albo promienie słońca przeświecające przez kwitnące gałęzie jabłoni. Tymczasem na miejscu akcji znajdował się tylko samochód, wokół panowały ciemności, a obok niej siedział mężczyzna, z którym sprawy zaszyły już tak daleko.

Odpowiedziała ogólnie:

- Wiesz, że pierwszy raz w życiu spotkałam kogoś tak sympatycznego jak ty?

- Dobrze i to na początek - oświadczył poważnie John.

Kiedy się uśmiechnęła, ujął jej twarz w obie dłonie i pocałował w same usta. Potem delikatnie odsunął Wiktoria, przekreślił kluczyk w stacyjce i uruchomił silnik. Wóz ruszył i wkrótce znaleźli się na skrzyżowaniu z autostradą. John wybrał drogę przez tunel, a potem wjechał na estakadę w kształcie ślimaka. Teraz musieli czekać na możliwość włączenia się do ruchu, gdyż samochody zdążające na wschód poruszały się wszystkimi trzema pasami.

- Dzisiaj u Archerów - przypomniała sobie Wiktoria - nagle zdałam sobie sprawę, że już nigdy nie chciałabym się z tobą rozstać. Nie przypuszczałam jednak, że i ty nie zechcesz żegnać się ze mną.

Akurat John wypatrzył przerwę w potoku samochodów, błyskawicznie wrzucił bieg i wśliznął się w lukę.

- Może nie chceć się z kimś rozstać to tyle, co go kochać? - rzucił mimochodem.

Przed nimi rozpościerała się już szeroka wstęga szosy wiodącej do samego Londynu.